

Antoni Marczyński

Upiory Atlantyku

I

Nawet największe śpiochy nie spały tej pamiętnej nocy. Wszystko tłoczyło się na pokładach, wszystkie spojrzenia biegły na wschód, starając się przebić mroki pochmurnej nocy. Gwar rozmów zagłuszył zupełnie szum fal, które z bezmyślną zaciekłością dzikiego życia atakowały potężne boki naszego okrętu... Bo olbrzymi "Majestic" miał kpić z gór wody w czasie burz zimowych, a co dopiero z takich trzymetrowych bałwanów. "Majestic" miał respekt tylko przed lodowcami, które przed laty przyniosły zgubę jego starszemu bratu "Titanicowi", ale któż lęka się lodowców u schyłku lata? Więc kpił sobie z fal, torturował je ostrym dziobem i płynął z jednakową szybkością ku odległym brzegom Nowego Świata, rozbrzmiewając rozgwarem tysięcznych głosów.

Drzwi budki radiotelegrafu otwarły się z trzaskiem. Wypadł z nich najmłodszy oficer pokładowy i szybkim krokiem ruszył w stronę kapitańskiego mostka.

- Co? Co? Jaka wiadomość? - padały gorączkowe pytania.

Cizba pasażerów pierwszej klasy zrobiła szpaler bez niczyjego rozkazu. Każdy starał się zająć jak najmniej miejsca swą osobą, żebrząc tylko wzrokiem o nowiny. Niecierpliwe, natrętne spojrzenia przeskakiwały ze złożonej we dwoje depechy na wargi oficera, czekając, kiedy z tych zaciśniętych ust padnie upragniona wiadomość.

Lecz on nie widział niemych ani głośnych zaczepek, a raczej udawał, że ich nie spostrzega. W czterech skokach przebiegł schody wiodące do komendanta i zaszalutowawszy pięknie, wręczył szefowi telegram.

Gwar rozmów ucichł jeszcze wtedy, gdy otwarły się drzwi kabiny radiotelegrafisty. Teraz nastąpiła grobowa cisza, zamącona tylko pieśnią tęsknoty, nuconą od miliona lat przez fale, zakłócona tylko przez wiatr wschodni, który grał do wtóru na drutach anteny.

Stałem dość blisko, by widzieć dokładnie grę twarzy komendanta "Majesticu". Zresztą cały okręt był rześście iluminowany od szczytów masztów po najniższy pokład.

Odetchnąłem z ulgą ujrawszy, że surowa twarz starego wilka morskiego rozjaśniła się szczerym uśmiechem.

- Dzięki Bogu - rzuciłem półgłosem.

Ale nie wszyscy widzieli ten uspokajający uśmiech, nie wszyscy utrzymali nerwy na wodzy. Posypały się okrzyki więcej lub mniej uprzejme.

- Jaka wiadomość?

- Lecą?

- Ujrzymy ich?

- Czytaj pan, u diabła!

- Sam zaspokoił ciekawość, a nam każe czekać.

- Hallo, captain! Czyś pan zasnął?

- No, dowiemy się wreszcie, czy nie!

Komendant podniósł dłoń w górę na znak, że pragnie przemówić.

Słowa niedopowiedziane zawisły na wargach, okrzyki skonały w krtani. Cisza była, jak na cmentarzu w noc bezwietrzną, pogodną.

- Ladies and gentlemen! Nasza radiostacja otrzymała przed chwilą depezę, nadaną z kabiny samolotu "Victoria". Przeczytam wam jej treść. Słuchajcie!...

Niby lekki podmuch wiatru zaszemrało echo westchnień ulgi z piersi setek tysięcy. Spojrzenia wszystkich oczu przylgnęły do wylotu tuby megafonu, która umilkła na moment.

Kapitan czytał powoli, akcentując każde słowo, aby je zrozumieli nawet najdalej stojący, nawet pasażerowie trzeciej klasy, szary tłum emigrantów, odgradzony poręczami i mosiężnymi tabliczkami od wytwornej publiczności pierwszej klasy oraz luksusowych kabin.

"Druga piętnaście. Wszystko idzie dobrze. Motor znakomity. Martini przy kierownicy. Za kwadrans dopędzimy "Majestica". Ashley rzuci wam bukiet kwiatów zerwanych wczoraj w Wersalu. Schowajcie je na pamiątkę naszego spotkania. Do zobaczenia..."

Ashley, Martini, Petit.

Znowu chwila ciszy, potem tuba megafonu zagrzmiała po raz trzeci...

- Ladies and gentlemen! "Victoria" osiąga w tej chwili połowę drogi z Europy do Ameryki. Na cześć bohaterskich lotników wznoszę okrzyk: Niech żyją!

- Niech żyją! - ryknęło tysiąc głosów, a potem rozszalała burza okrzyków, orkan wiwatów.

- Niechaj powtórnie zwyciężą Atlantyki!

- Niech żyją!

- Niech im się szczęści w powrotnej drodze!

- Hip!

- Hip!

- Hurra!

Zdumione fale przycichły na chwilę, nad słuchując ciekawie, lecz cisza trwała krótko. Trzeba było nieść wielką nowinę miliardom sióstr, płasających na bezmiarze wód od Afryki i Europy po olbrzymi kontynent Nowego Świata, od Grenlandii po góry lodowe południowego bieguna... Więc zaczęły swą pogwarękę, szepcząc jedna drugiej wieść o hucznej radości trzech tysięcy ludzi, ukrytych w wielkim, żelaznym pudle, co na dziobie niosło dumnie napis: "Majestic"...

II

- Lecą!... Lecą!
- Słyszać turkot motoru.
- Zwłaszcza, kiedy pan krzyczy.
- Cicho tam! Nie gadać.
- Gdzież ich widzicie, u licha? Bo ja...
- Tam, człowieku. W smudze środkowego reflektora.

Aha!

- Zgasić reflektory. To ich oślepia.
- Racja. Zgasić reflektory!

Trzy potwornie długie jęzory światła odlepiły się od ruchliwej tafli oceanu, pogłaskały pieszczotliwie pochyłość ciemnej kopuły niebios i strzeliły pionowo w górę, pozostając już w tym położeniu.

- A jak nie trafią po ciemku? - zaniepokoiła się jakaś leciwa pani i w dalszym ciągu spoglądała przez lorgnon w przeciwnym kierunku od tego, skąd miał nadlecieć aeroplan.

- Jak to nie trafią - zachnął się małżonek zdezorientowanej jejmości. - Czy iluminacja naszego statku nie starczy im za drogowskaz?

To była prawda. "Majestic" iluminowano jakby na przyjęcie księcia Walii. Wzdłuż masztów, lin, kominów, równoległe do burt od dziobu do rufy, wzdłuż daszków, nad wszystkimi pokładami płonęły, niezliczone żarówki, nadając transoceanicznemu parowcowi wygląd okrętu jak z bajki.

Huk motoru zagłuszył uczone wywody grubego pastora na temat roli kompasu i innych przyrządów, jakimi lotnicy niewątpliwie rozporządzają, skutkiem czego reflektory ani im pomogą, ani zaszkodzą...

Trzykrotnym rykiem syreny okrętowej powitał "Majestic" zbliżanie się samolotu. Żadne pióro nie opisze entuzjazmu, jaki potem zapanował. Dłonie opuchnięte, zaczerwienione od ustawicznego bicia brawo, klaskały dalej mimo bólu; zachrypnięte gardzienie, wyrzucały niezmordowanie tuziny okrzyków i wśród piekielnej wrzawy opadała "Victoria" coraz niżej, coraz niżej, kołując równocześnie dokoła rozspiewanego okrętu.

Z tylnego pokładu puszczano ognie sztuczne. Tryskały więc gejzery srebrnych iskier, wiły się ze zjadliwym sykiem złote węże, jaszczury, strzelały setkami migotliwych światełek szkarłatnych, seledynowych, pomarańczowych, fioletowych, błękitnych.

Kapela okrętowa grała bez ustanku trzy hymny narodowe na cześć trzech znakomitych lotników, którzy, choć każdy innej narodowości, byli najserdeczniejszymi przyjaciółmi i brawurowym lotem z Nowego Jorku do Paryża, już raz, przed trzema dniami, pokonali Atlantyk. Więc zaledwie przebrzmiały ostatnie dźwięki poważnego "God save the King", zaczynała się

ognista "Giovinezza", po niej porywająca "Marsylianka" i znów hymn angielski da capo.

Ashley, Martini, Petit byli na ustach wszystkich...

Ktoś napomknął, że Ashley ma narzeczoną, która żegnała go kilka dni temu w Nowym Jorku i jutro znów go powita na tamtejszym lotnisku. Zabrzmiały więc wiwaty na cześć pierwszej Mrs. Ashley i na cześć ich przyszłego potomstwa.

Ktoś się pochwalił, że Martiniego zna osobiście. Tego omal nie uduszono w uściskach.

Ktoś wreszcie przypomniał, że Petit stracił brata w czasie jednego z dawniejszych lotów nad Atlantykiem. Zwiększyło to oczywiście uwielbienie dla dzielnego Francuza, którego nie odstraszyło braterskie nieszczęście.

Ale kulminacyjny punkt entuzjazmu miał dopiero nastąpić.

"Victoria" przestała warczeć donośnym oddechem swych dziewięciuset koni. Z zamkniętym silnikiem przesybowała tuż nad szczytami masztów. Trzy prostopadle w górę świecące reflektory popieściły spód jej olbrzymich skrzydeł i wykryły nieduży przedmiot, który, oderwawszy się od kadłuba samolotu, zadzwonił na drutach anteny i spadł obok mnie na górny pokład.

Był to bukiet kwiatów rzucony ręką Ashleya.

Schyliłem się, podniosłem go, lecz w tym momencie runąłem twarzą na plecy najbliższego sąsiada. Tłum zafalował gwałtownie. Pięćdziesiąt silnych łap, sto zgrabnych rączek z zakrzywionymi na kształt sępich szponów palcami spadło na moją głowę, na ręce, na nieszczęsny bukiet i rozdarło go w strzępy wraz z papierem, którym był owinięty, wraz z drutem. Przez przypadek tylko zdobyłem jedną białą różę. Skryłem ją pod marynarką i z podrapanymi do krwi rękami wycofałem się czym prędzej z tego tłoku rozwydrzonych snobów.

Doleciał mnie głos jakiegoś spóźnionego zbieracza.

- Daję sto dolarów za jeden nieuszkodzony kwiat Ashleya...

- Daję sto pięćdziesiąt - licytował inny.

- Dwieście!

Z szczerą wesołością obserwowałem manewr dwóch kelnerów, którzy kopnęli się pędem do okrętowej kwiaciarni i chwilę potem zaczęli dyskretnie sprzedawać kwiaty z "autentycznego" bukietu bogom równego Ashleya...

W oddali ucichł stukot potężnego motoru samolotu. "Victoria" wzbijał się ku obłokom, żeglując na zachód, z południowym odchyleniem, w stronę bardzo jeszcze odległego Nowego Jorku.

- Bóg was prowadź! - powiedziała wzruszonym głosem srebrnowłosa staruszka, a przysadzisty pastor huknął grobowym basem.

- Amen.

Tłum snobów, zadowolonych z widowiska, zaczął odpływać do kabin, do palarni, do

salonów, gdzie tańczono zazwyczaj aż do świtu...

Fale szemrały po staremu i wiatr jęczał po staremu na rozpiętych drutach anteny...

III

Kiedy muzyka grać przestała i liczne pary, spracowane przy pełnym werwy charlestonie, ruszyły ku stolikom, pojawił się na estradzie pierwszy porucznik "Majesctica". Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki umilkł gwar rozmów, śmiechy, oklaski... na widok małej ćwiartki papieru.

- Najświeższe wiadomości od załogi "Victorii"! - zawołał oficer i wśród wielkiego skupienia odczytał treść telegramu, jaki stacja odbiorcza na statku dopiero co otrzymała:

"Lecimy wciąż z wiatrem, przeciętna prędkość 190 km na godzinę. Ashley prowadzi, Petit chrapie. Wzbijamy się wyżej, ponad chmurę deszczową. Wszystko w porządku

Martini.

Gdy przebrzmiały radosne okrzyki, spojrzałem na zegarek. Było piętnaście minut po trzeciej. Pomimo tak późnej pory nie odczuwałem potrzeby snu. Przetańczywszy jeszcze jednego black_bottoma, wyszedłem z sali, by zaczerpnąć świeżego powietrza przed spoczynkiem.

Na pokładach były pustki. Prócz zapalonych zwolenników tańca, zabawiających się w salonach, olbrzymia większość pasażerów spała już w kabinach. Tylko u podnóża schodków, wiodących na mostek komendanta, toczyła się jakaś ożywiona rozmowa. W blaskach samotnej lampki (iluminacja skończyła się zaraz po zniknięciu samolotu), ujrzałem dwie sylwetki. Po głosie poznałem natychmiast jedną z tych osób. Był to mój stary znajomy z Anglii, profesor Edgar Scott, znakomitość uniwersytetu londyńskiego, autor dzieła pt. "Fauna Kanady", dzieła, które wiele wrzawy zrobiło swego czasu w świecie uczonych. Jechał obecnie do Nowego Jorku na zjazd amerykańskich zoologów.

- Czy nie przeszkodzę? - spytałem, pragnąc wziąć udział w dyskusji. Usłyszałem bowiem z daleka takie nazwiska, jak: Lindbergh, Byrd, Chamberlin i domyśliłem się bez trudu, co jest tematem rozmowy.

- Proszę bardzo - odparł Scott i, jakby chcąc mnie zapoznać z własnym zdaniem i z opinią przygodnego towarzysza podróży, dodał wyjaśniająco. - Mr. Grouse zapatruje się bardzo sceptycznie na znaczenie przelotów nad oceanami, z czym ja się nie zgadzam...

Mr. Grouse, mały, chudy człowieczek przerwał z żywością.

- Pan mnie źle zrozumiał w takim razie. Wprost przeciwnie! Uważam, że lotnictwo postąpiło w ostatnich czasach ogromnie naprzód, wierzę niezłomnie, iż cudów jeszcze dokażę, ale...

- O to "ale" właśnie chodzi.

- Ale - powtórzył tamten z naciskiem - zanim z tych poszczególnych sukcesów będzie można odnieść praktyczne korzyści, wiele wody upłynie w Tamizie... W czym zresztą nie ma winy lotnictwa, jako takiego.

Ostatnie zdanie było wypowiedziane prawie szeptem, lecz nie uszło mej uwagi. Poprosiłem o wyjaśnienia. Mr. Grouse wydał się trochę zmieszany i nagle przeskoczył do statystyki.

- Weźmy taki rok 1927. Rok pierwszych większych przelotów nad morzami...

- Rok zwycięstw nad oceanem - dorzucił Edgar Scott.

- I licznych katastrof... Smutną listę otwiera porucznik Mounerys oraz mechanik Petit, ponoć krewniak dzisiejszego bohatera... Dalej załoga "Błękitnego Ptaka": Nungesser i Coli. W sierpniu przychodzi kolej na Ocean Spokojny. Zniknęły bez śladu samoloty "Golden Eagle", "Miss Doran", "Spirit of Dallos"... Potem ginie aparat "Port of Brunswick", a 6 dni później mamy znów do zanotowania straszną katastrofę aeroplanu "Saint Raphael"...

- Pamiętam - westchnął profesor. - Byłem w Salisbury przy odlocie... Biedny Hamilton!

- A zniknięcie "Old Glory" i "Sir John Carling"? - recytował pesymista, dobrą widać obdarzony pamięcią... Umilkł na chwilę, potem spytał zniechęcony. - Czy panów nie zastanawia ta nieproporcjonalnie wielka ilość nieszczęśliwych wypadków?

- Zapewne - bąknąłem, aby coś powiedzieć. Czuję, że mały pasażer zmierza do jakiegoś wniosku, że chce nas nań naprowadzić, lecz chwilowo nie mogłem się zorientować.

Mr. Grouse uważał mnie za bardziej pojętego słuchacza, niż nim byłem w rzeczywistości...

- No... no - mówił zachęcająco.

- Defekty silników?

Pytający ton odpowiedzi zdemaskował moją niewiedzę. Mr. Grouse rozczarowany, machnął ręką wzgardliwie.

- Dlaczego jednak wielkie przeloty nad lądami nie kończą się katastrofą? - zasyczał i chwycił mnie za guzik marynarki.

- Bo w razie zepsucia się motoru lotnik może lądować. Zawsze się znajdzie pod ręką jakieś mniej lub więcej odpowiednie miejsce, podczas gdy na oceanie grozi nieuchronna zguba.

- Gadanie! - warknął. - Stwierdzono wielokrotnie, że te aparaty, które zdały doskonale egzamin w czasie lotów ponad lądem, spadły przy pierwszym przelocie nad wodą i ślad po nich zaginął... Ot co!

- Jaki stąd wniosek?

Prawie jednocześnie z moim pytaniem padło z ust profesora rubaszne:

- No, wykrztuś pan to rozwiązanie zagadki.

Chudy gentleman wspiął się na palce, aby swą niepokazną sylwetką uczynić bardziej groźną, pochwycił profesora za połę płaszcza i przyciągnąwszy nas obu do siebie, powiedział jednym tchem.

- Widocznie komuś zależy na tym, aby się te przeloty nie udawały. Rozumiecie?

Spojrzelismy z profesorem po sobie, przenieśliśmy wzrok na naszego towarzysza i nagle ogarnęła nas nieprzewartna ochota do śmiechu. Edgar Scott parsknął pierwszy, ja za nim. Mnie osobiście rozśmieszyła nie tyle nedorzeczna koncepcja podejrzliwego jegomościa, ile jego

komicznie tajemnicza mina, która po naszym wybuchu żywiołowej wesołości stała się bajecznie wzdgnięta i jeszcze nas bardziej pobudzała do śmiechu...

- Pyszny kawał! - rżał znakomity zoolog - udało się panu Mr. Grouse... Więc pańskim zdaniem jest sobie osobnik, który dowiaduje się skrupulatnie, czy jakiś lotnik nie zamierza przelecieć nad oceanem, przybywa czym prędzej na odnośne lotnisko, włamuje się do hangaru, odkręca jakąś śrubkę, nakrętkę, czy inne licho, z czego musi oczywiście wyniknąć katastrofa... Ten czarny charakter posługuje się naturalnie także aeroplanem, bo jakżeby inaczej zdążył z Wirginii, skąd wystartował "Port of Brunswick", do Salisbury, gdzie sześć dni później startował Hamilton, jakżeby zdążył z San Francisco do Europy i tak dalej, i tak dalej...

- A jeśli owym czarnym charakterem nie jest jednostka, lecz dobrze zorganizowana szajka, której członkowie znajdują się wszędzie? Jeśli mamy do czynienia z całą szajką, to co wówczas, profesorze?

- Cała szajka!... Ha, ha, ha, ha. Pyszne!... Szajka, która dla sportu...

- Dlaczego dla sportu? - przerwał zapalczywie Mr. Grouse.

- Więc dla idei? Wzniosła idea, ani słowa...

- Istnieje jednakże idea, skoro już pan tego słowa użył, dla której każdy środek jest dobry...

Zna pan jej imię?

- Nie.

- Business...

- Dobry kawał... Więc dla pana interes to...

- Dlaczego właśnie dla mnie? - zastrzegł się Mr. Grouse skwapliwie. - Ja się już wycofałem z wszelkich interesów, jak panu dobrze wiadomo. Ale dla większości współczesnych businessmanów istnieje tylko jeden cel w życiu: zrobić jak najwięcej pieniędzy w najkrótszym czasie przy równoczesnym minimum wysiłku.

- Odbiegamy od tematu.

- Nie moja w tym wina. Otóż przyjąwszy, że dla tej kategorii ludzi każdy środek, wiodący do upragnionego celu, jest dobry, nie widzę powodu, dla którego mieliby się cofnąć przed zbrodnią. A zbrodnią jest celowe uszkodzenie samolotu gotującego się do podróży nad olbrzymią wodną pustynią, gdzie w razie lądowania, czy raczej wodowania, mamy na tysiąc szans ledwie jedną, że jakiś okręt odnajdzie rozbitków.

- No, dobrze, dobrze - odparł uczony pojednawczo, rezygnując widocznie z zamiaru przekonywania maniaka. - Ale niechże nam pan powie, kim są ci ludzie.

- Nikt inny, tylko ci, którym zależy na tym, aby przeloty nad oceanami się nie udawały, aby odstraszały naśladowców...

- Same zagadki. Czy nie może pan wreszcie zacząć mówić jaśniej?

- Czy nie może pan, Mr. Scott, sam rozwiązać tej prostej zagadki? - odparł Grouse pytaniem na pytanie.

Edgar Scott otwierał właśnie usta, kiedy na sąsiednim pokładzie zadudniły szybkie kroki. Ktoś biegł w szalonym pędzie w naszą stronę. Słyszałem, jak w trzech skokach przesadził schody.

- Co tam, poruczniku? - rzekł profesor, który pierwszy poznał pędzącego mężczyznę i zastąpił mu drogę. Oficer odepchnął go szorstko.

- Puść pan, u diabła! - rzucił chrapliwym głosem. - Idę zbudzić kapitana...

Ale znakomity zoolog nie należał do tych, których się można łatwo pozbyć.

- Czy się co stało? - nalegał, przytrzymując oficera za rękę.

- Z "Victorii" nadano sygnał "SOS"! - odparł zapytany, wyrwał się osłupiałemu Scottowi, dopadł drzwi, wiodących do kabin oficerów statku i znikł nam z oczu.

Staliśmy jak ogłuszeni, nie mogąc przemówić słowa. Zdrętwiałe, sparaliżowane hiobową wieścią myśli zaczęły jednak z wolna odzyskiwać zwykłą prężność, zaczęły się kłębić w labiryntach mózgu... Jak to?! Ten znakomity samolot, który już raz pokonał Atlantyk, miałby być teraz w niebezpieczeństwie? Z jakiej przyczyny, u licha! Defekt motoru? Przecież kwadrans temu depešowali, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Warunki atmosferyczne? Absurd! Ani burzy, ani mgły nie ma. Lecą z wiatrem, z łagodnym wiatrem wschodnim. A jednak dzielni lotnicy muszą się znajdować w rozpaczliwej sytuacji, jeśli wysłali alarmujący sygnał: "Save our souls". Może dumna "Victoria" zanurza się już w morskie głębiny, może już zatонуła...

Nagle wzdrygnąłem się i Edgar Scott także zadrżał. Z ironicznie skrzywionych ust Mr. Grouse'a padły trzy krótkie słowa.

- Byłem tego pewny.

IV

Do dziesiątej tkwił “Majestic” nieruchomo w tym miejscu, gdzie przypuszczalnie nastąpiła katastrofa “Victorii”... Oznaczono to miejsce w ten sposób, że wzięto pod uwagę iloraz z średniej szybkości samolotu, podanej, jak wiadomo, w przedostatnim telegramie, i z ilości minut, jakie upłynęły od chwili rzucenia bukietu przez Ashleya, do momentu, kiedy telegrafista przejął rozpaczliwe wołanie o ratunek: “SOS Vie...”. Wołanie urwało się w pół słowa, z czego można było wywnioskować, że katastrofa zaskoczyła lotników całkiem niespodziewanie, jak piorun z jasnego nieba.

Uwzględniając możliwość dość znacznej omyłki i nieustanną pracę ruchliwych fal, spuszczone na wodę dwie motorówki oraz sześć szalup. Wszystkie te małe stateczki krążyły od godziny po obszarze olbrzymiego koła, którego środek stanowił unieruchomiony “Majestic”. Motorówki oddaliły się tak znacznie, że nie można ich było dostrzec gołym okiem. Jedną z nich pojechał Edgar Scott, czego mu szczerze zazdrościłem. Ja musiałem niestety pozostać na statku. Musiałem dopilnować wysłania depechy, złożonej z osiemdziesięciu pięciu słów, przeznaczonej dla mego przyszłego teścia, wydawcy “New_York Morning News”. Jako współpracownik i in spe właściciel tego dziennika nie mogłem przecież pominąć takiej sposobności, zwłaszcza, że byłem jedynym dziennikarzem na pokładzie “Majestica”...

Wysłanie telegramu takich rozmiarów nie było rzeczą łatwą. Obydwaj telegrafisci byli dosłownie zawałeni robotą. Stacja odbiorcza przyjmowała setki niespokojnych zapytań z Francji, Anglii, Belgii, ze Stanów, z Kanady, z licznych statków oceanicznych; stacja nadawcza wysyłała stereotypowe odpowiedzi, że dotychczasowe poszukiwania nie dały żadnych wyników lub przysyłała zapytania komendanta “Majestica” do głównego biura kompanii okrętowej “White Star Line”, czy wolno postój na oceanie przedłużyć o dalszą godzinę. Nie wliczam tu litanii depech, jakie nadchodziły od rozmaitych dzienników, agencji telegraficznych, towarzystw, komitetów itd., itd. Większość ich pozostawiono bez odpowiedzi z powodu braku czasu.

Toteż odetchnąłem z ogromną ulgą, kiedy moje 85 słów pozegłowało na falach eteru do metropolii świata, by rozwałkowane, rozwodnione odpowiednio, mogły służyć za materiał do nadzwyczajnego dodatku “New_York Morning News”... Spełniłem swój obowiązek i mogłem rozejrzeć się w położeniu.

Pokłady roily się od pasażerów, zwłaszcza “upper deck” był zatłoczony do tego stopnia, że łokciami musiałem sobie torować drogę do schodków. Panowie i panie, dzieci i starcy, wszystko uzbrojone w lunetki, lornety i lornetki teatralne, cisnęło się ku burtom, by wypatrywać jakiegoś śladu “Victorii”. Nie brakło fałszywych alarmów. Byle mewa, ciemny grzbiet rekina, nawet bryzgi piany dawały powód do krzyków, komentarzy, do istnych wędrówek narodów z jednej strony pokładu na drugą. Lecz wówczas majtek, zawieszony gdzieś u szczytu masztu, zwracał swą lunetę

we wskazanym kierunku i wyjaśniał omyłkę.

W pewnym momencie zauważyłem, że tłumy odpływają w stronę dziobu statku. Stamtąd więc spostrzeżono coś godnego uwagi. Przeczując nową pomyłkę nie kwapiłem się zbytnio, mając zebra nieco nadwyrężone przy poprzednich alarmach. Przystanąwszy w przyzwoitej odległości od zbitej masy ludzi, przysłuchiwałem się okrzykom, jakie padały z ust właścicieli najlepszych szkielec.

- Ma pan rację, to dymek.

- Statek podąża w naszą stronę.

- "Berengaria"!

- Skąd pan wie, że "Berengaria"?

- Słyszałem wątek rozmowy naszych oficerów. "Berengaria" donosiła telegraficznie, że także przejęła sygnał: "SOS" i że ma zamiar zboczyć z drogi.

- W takim razie późno się zjawia na miejscu katastrofy.

- Była bardziej oddalona, kiedy "Victoria" wysłała ostatni telegram.

- Albo robi mniej węzłów.

- O, przepraszam! Statki "Cunard Line" nie ustępują w niczym statkom innych kompanii.

Wybuchł z tego zupełnie nieoczekiwany spór na temat, która linia okrętowa rozporządza szybszymi parostatkami. Ktoś zaczął wyjaśniać jakiejś pani, że okręty, należące do "White Star Line" mają nazwy, kończące się na: "ic", jak np. "Titanic", "Majestic", "Cigantic", "Olimpic" itd., podczas gdy imiona statków "Gunard Line" kończą się na "ia": "Mauretania", "Berengaria", "Aquitania", "Saxonia" itp.

To było mniej zajmujące, toteż odsunąłem się od stłoczonej gromady i ruszyłem z powrotem w stronę kabiny telegrafistów, gdzie można się było prędzej czegoś ciekawego dowiedzieć.

Ujrzałem nagle, że oficerowie zebrani na mostku, nie patrzą w kierunku zbliżającej się "Berengarii", lecz w przeciwną stronę. Pobiegłszy wzrokiem za ich spojrzeniami, zobaczyłem motorówkę, pędzącą ku nam pełnym gazem. Była już tak blisko, że poznałem natychmiast długą sylwetkę Edgara Scotta, który stał między ławeczkami i powiewał chustką.

- Musieli chyba coś znaleźć - mruknąłem zbiegając po schodkach na niższe pokłady. Przeskakiwałem po kilka stopni, aby jak najprędzej stanąć przy schodkach zwisających aż do linii wody, gdyż turkot spalinowego motoru zwałił wielu z tych pasażerów, którzy dotychczas gapili się na "Berengarię"...

Moje przewidywania były słuszne. Przechyliwszy się poprzez burtę najniższego pokładu spostrzegłem w środku łodzi duży przedmiot, którego obecność w motorówce świadczyła najlepiej, że "Victoria" uległa nieszczęśliwemu wypadkowi. Owym przedmiotem była połówka śmigła samolotu.

Ciekawość pasażerów wystawiono na próbę, albowiem całą załogę motorówki oraz znaną część śmigła zabrano do kabiny kapitana, celem spisania protokołu. Profesora Scotta wypuszczono stamtąd pierwszego.

- Dowiedzie się od kapitana - burknął niechętnie, opędzając się natarczywym pytaniami rozgorączkowanego towarzysza podróży, potem skinął na mnie i dodał. - Przemokłem do nitki. Schodzę do kabiny przebrać się w inne ubranie. Jeśli ma pan ochotę pójść ze mną, to proszę.

Poszedłem z nim oczywiście, ścigany zazdrosnymi spojrzeniami innych pasażerów "Majestica".

- Czy pan wpadł do wody? - spytałem, wskazując na mokre rękawy marynarski.

- Próbowałem schwycić pewien przedmiot, ale nie powiodło mi się.

- Przedmiot, należący do "Victorii"?

- Nie. Nie do "Victorii" - odparł w zamyśleniu.

- Tylko? Intryguje mnie pan, profesorze.

Ocknął się, spojrzał na mnie bystro i odparł z uśmiechem:

- Czy zapomniał pan, że jestem przyrodnikiem?

- No tak; w takim razie nie był to zapewne żaden przedmiot, lecz jakieś żywe stworzenie, jakaś ryba, mięczak, czy...

- Tak, tak... ryba - potwierdził nieszczerze, po czym, aby odwrócić moją uwagę w inną stronę, spytał.

- Czy widział pan znaleziony przez nas ułamek śmigła?

- Widziałem.

- I nie zastanowił pana pewien szczegół?... Mam na myśli wielką plamę, jaka widnieje w pobliżu miejsca złamania - dodał po chwili.

- Nie - odparłem... - Widziałem ten kawałek śmigła z daleka. Bliżej nie można się było docisnąć.

- Aha. Niechże więc pan to sobie dokładnie obejrzy.

- Uczynię to z pewnością, ale jeśli poczynił pan już jakieś spostrzeżenia, jakieś wnioski, proszę się łaskawie nimi podzielić ze mną. Profesorze, niech pan nie zapomina, że jestem dziennikarzem, że wszelkie sensacyjne wiadomości muszą zdobywać wcześniej niż ktokolwiek inny.

- Hm. Spostrzeżeniami mogę się z panem rzeczywiście podzielić, ale wnioski, jakie wysnułem, zachowam wyłącznie dla siebie.

- To egoizm, profesorze - nacierałem, gdyż zbudziła się we mnie żyłka reporterska.

- Niech pan nie nalega. Hipoteza, jaką sobie postawiłem, jest na razie bardzo krucha, a co gorsza, na pierwszy rzut oka jeszcze bardziej nieprawdopodobna, niż pomysł podejrzliwego

Grouse'a. Nie mam się zamiaru ośmieszyć... Nie, nie! - zaprotestował stanowczo, widząc, że usiłuje mu wpaść w słowo i dalej go przekonywać. - Nic pan nie wskóra.

- Ha, niech pan więc mówi tylko o swoich spostrzeżeniach - rzekłem z udaną rezygnacją, ślubując sobie w duchu, że pociągnę go za język, kiedy się rozgada... - Zacznijmy od owej plamy.

- Zacznijmy od plamy - powtórzył. - Otóż niech pan przyjmie do wiadomości, że owa duża plama to krew.

- Co???! - Zerwałem się na równe nogi i z bezmiernym zdumieniem spoglądałem na profesora. Edgar Scott wskazał mi krzesło.

- Niech pan siada - rzekł spokojnie.

- Plama krwi na śmigle?! - Czy się pan nie pomylił?

- Powiedzmy raczej kałuża krwi, bo z pojęciem plamy...

- Nie spierajmy się o definicję - przerwałem podniecony.

- Oprócz śladów krwi, które będzie pan mógł za chwilę zobaczyć, wykryłem maleńkie kawałki kości; wbiły się one w drewno tak głęboko, że tylko za pomocą scyzoryka mogłem je stamtąd wydłubać. Jeśli do tego dodam znalezienie małej drobinę mózgu...

- Mózgu?!

- Tak, mózgu - powiedział Scott i ciągnął dalej przerwana myśl - to wyciągniemy stąd prosty wniosek, że śmigło rozplatało jakąś czaszkę. Dokładniejsze wyjaśnienia będę mógł udzielić po przybyciu do Nowego Jorku. Tu nie mam niestety mikroskopu.

- No dobrze, profesorze, lecz proszę mi wyjaśnić, w jaki sposób głowa nieszczęsnego lotnika mogła się dostać w piekielny młyn śmigła? Przecież siedzieli wszyscy trzej w zamkniętej kabinie i...

- Słusznie. Nie byłoby to łatwą rzeczą rozwiązać zagadkę, w jaki sposób głowa lotnika dostała się w obręb "piekielnego młyna", używając pańskiej przenośni.

Na słowie: "lotnika" spoczywał jakiś dziwny akcent. Cóżby to miało znaczyć? Zrzuciłem powściągliwego rozmówcę gradem podchwytliwych pytań, lecz był to trud syzyfowy. Edgar Scott nie dał się pociągnąć za język i musiałem poprzestać na ogólnych spostrzeżeniach.

- Może jednak ten kawałek śmigła jest szczątkiem innego samolotu, a nie "Victorii"? - zagadnąłem w pewnym momencie.

- Nie upieram się bynajmniej przy "Victorii", ale to pewne, że znajduje się w wodzie zaledwie od kilku godzin. Wskazują na to zarówno ślady krwi, jak i świeżość złamania. Drewno w miejscu złamania wyglądałoby inaczej po kilkudniowej kąpieli w falach.

- W takim razie możemy mówić tylko o "Victorii". Ostatni nieudany przelot nad Atlantykiem odbył się przed miesiącem.

- To prawda.

- A więc na podstawie tych danych możemy twierdzić z całą pewnością, że "Victoria" uległa katastrofie i wszyscy trzej lotnicy nie żyją. Czy się pan z tym zgadza?

- Czy można? - zabrzmiał jakiś głos za drzwiami. Zagłębieni w rozmowie, nie słyszeliśmy pukania.

- Proszę.

Na progu stanął pierwszy steward.

- Pan kapitan prosi, by Mr. Scott pofatygował się możliwie zaraz do niego - rzekł.

- Idę - brzmiała odpowiedź. - Proszę powiedzieć, że za chwilę przyjdę, a z panem, Mr. Bronson, spotkamy się przy lunchu.

Wyszędłszy na pokład, stwierdziłem, że okręt nasz zatacza wielkie półkole.

- Cóż to? - zapytałem stewarda. - Wracamy do Europy?

- Nie, Mr. Bronson. Płyniemy tylko do miejsca gdzie nastąpiła katastrofa "Victorii".

Udałem się w stronę kabiny kapitana statku, w nadziei, że dowiem się jakich ciekawych szczegółów, lecz gburowaty majtek nie uznawał żadnych różnic. Z jednakową bezwzględnością odpędzał każdego pasażera, nie wyłączając mnie, jedynego dziennikarza na statku. Przyrzekłem więc sobie w duszy, że zrobię dokładny wywiad z kapitanem, skoro tylko ukończy przesłuchiwanie załogi motorówki, a na razie skierowałem swe kroki do kabiny radiotelegrafistów, aby nadać do "New_York Morning News" depeszę donoszącą o tragicznej śmierci trzech lotników. Nie pominąłem oczywiście sensacyjnego szczegółu o plamach krwi, o rozplątanej czaszce, odłamkach kości, cząsteczkach mózgu, a zredagowany na kolanie telegram zakończyłem tymi słowy:

"Złożyć kondolencje narzeczonej Waltera Ashleya oraz rodzinom wszystkich ofiar dzisiejszej katastrofy."

Czy mogłem wtedy przypuszczać, że te kilka słów przestawi zwrotnicę mego życia i moją przyszłość pchnie na tory zupełnie inne od tych, jakimi podążać zamierzałem dotychczas? NIE! Tego przewidzieć nie mogłem, jak biedny Ashley, Petit, Martini nie przewidywali rychłej śmierci siedem godzin temu, kiedy ich najświeższym wspomnieniem był widok rozśpiewanego, wiwatującego na ich cześć statku...

Dwa wielkie okręty ustawiły się w ten sposób, że dziób “Majestica” oraz rufa “Berengarii” były zwrócone ku odległemu Nowemu Jorkowi. Ich potężne kadłuby utworzyły w środku podłużny prostokąt, którego oba krótsze boki były otwarte. Przez te dwa wyłomy wpadały fale, a polizawszy wysoką ścianę wąwozu, odbijały się, biegly ku drugiemu statkowi, kołysząc po drodze prowizorycznym pływakiem, który rzucono wraz z odpowiednim balastem w tym samym miejscu, gdzie jedna z motorówek “Majestica” znalazła kawał złamanego śmigła. Tu więc znajdował się grób “Victorii” i ich bohaterskich pasażerów.

Gruby pastor zaintonował pieśń żałobną. Wszystkie głowy odkryły się, jak na komendę. Tłum pasażerów z “Berengarii” przyłączył się do naszego chóru i zgodny śpiew kilku tysięcy ludzi płynął poprzez rozświetlone powietrze do stóp tronu Tego, co zna wszelkie tajemnice...

Doskonała orkiestra “Berengarii” wykonała marsz pogrzebowy Szopena, a potem nastąpił moment najbardziej wzruszający...

Przebywający na najwyższym pokładzie naszego statku pastor podszedł do burty i zaczerpnawszy z podanej mu fajerki garść ziemi, rzucił symboliczną grudkę w morze.

Polscy emigranci, stanowiący największą grupę wśród pasażerów trzeciej klasy, przyklękli na swoim pokładzie i zaczęli głośno odmawiać trzykrotne “Wieczne odpoczywanie...”.

Ewangelicy, bardziej sztywni, poprzestali na cichej modlitwie.

Nagle rozległ się ryk syren okrętowych. Ich głos, przeraźliwy, ogłuszający i ochryply zarazem, nie wydał mi się jeszcze nigdy tak ponury, jak wówczas, w czasie pamiętnego pogrzebu na oceanie.

Oficerowie i marynarze stanęli na baczność, z dłonią przy daszku czapki. Wojskowym ukłonem żegnali kolegów, poległych w odwiecznej walce człowieka z żywiołem i wyprężeni, jak struny, trwali w tej postawie, dopóki nie przebrzmiało echo trzech długotrwałych sygnałów. A syreny, ożywione strumieniami pary, wyły żałośnie i długo.

Kapitanowie obydwóch okrętów podeszli do burt równocześnie. Równocześnie rzucili na wodę wieńce z wstęgami: jeden od kompanii “White Star Line”, drugi od “Cunard Line”...

Był to jakby umówiony znak.

Zafalowało mrowie ludzkie, setki rąk podniosło się ponad głowy i deszcz kwiatów spłynął z wysokości pokładów na wspólną mogiłę trzech lotników. Poszły na ten cel wszystkie przywiedle bukiety, jakie podróżniczkom “Majestica” ofiarowali ich wielbiciele, kochankowie i mężowie przy odjeździe z Southampton, a w Nowym Jorku pasażerom “Berengarii”. Poszły na ten cel wszystkie bez wyjątku kwiaty z oranżerii, kwiaciarni i dancingów, obydwóch olbrzymich parowców _miasteczek, tak, że w dalszej podróży nie można było nabyć małego bukietu nawet za banknot dziesięciodolarowy.

Liczni właściciele aparatów fotograficznych zaczęli robić zdjęcia. Uwiecznili już pastora, kapitanów, majtków, moment rzucania kwiatów, nawet podskakującą małą boję, słowem, sfotografowaliśmy wszystko, co było naprawdę interesujące. A kiedy ustało suche pstrykanie kodaków, wielka cisza zapanowała na morskim cmentarzu. Nie mały jej ani dźwięki orkiestry, ani śpiewy żałobne, ani wycie syren. Nawet wiatr przycichł do tego stopnia, że małe chorągiewki przestały się trzepotać u szczytów masztów i zwisały pionowo. Nawet fale zmalowały, spokorniały, szanując żałobę ludzi, i dobrą minutę trwało grobowe milczenie...

Lecz znalazł się śmiałek, który samą swą obecnością zmałował świętą ciszę...

Pływak zarzucony w miejscu znalezienia jedyne szczątku, jaki pozostał po dumnej "Victorii", pływak, oznaczający może niezbyt ściśle, lecz symbolicznie położenie grobu trzech lotników, pływak, na który w tym momencie patrzyły oczy tysięcy, podskoczył nagle, szarpnął w bok i tańczył przez chwilę, poruszany od spodu tajemniczą siłą.

- Boże! - zawołała przejmującym głosem jakaś pani.

- Co to? Co to było?

- Ryba z pewnością - wyjaśnił pomocnik stewarda, a gruby kucharz dorzucił cyniczną uwagę:

- Nie dziwota. Po takiej uczcie!

- Milczeć! - ryknął jakiś pasażer i przyskoczył do niego z wzniesioną, jak do uderzenia, ręką.

Pływak znowu rozpoczął opętańcze pląsy na mogile lotników. Niesamowity nastrój u tysięcznych widzów dosięgnął zenitu napięcia. Dwie panie wybuchły histerycznym śmiechem, niewiele różniącym się od łkania.

Wtem...

Fala, dobiegająca do pływaka, rozłupała się dziwnie, coś, niby duża płetwa, wystrzeliło w górę, coś, niby ciemna kłoda drzewa zaczerniło się wśród białej piany i z odmętów wychynęła pod ostrym kątem straszliwa paszcza rekina.

Rekin przy świeżym grobie!

Rękę dam sobie uciąć, że ta sama myśl zrodziła się w mózgach wszystkich, że tę myśl można by wyrazić słowami: "Ot ten przeklęty rozbójnik morski, ten król korsarzy pożarł lub przybył pożreć ciała biednych ofiar dzisiejszej katastrofy. Oto wybałusza swe wstrętne ślepie i natrzęsa się z bezsilności świadków jego zbrodni..."

- A nie mówiłem? - warknął kucharz i odsunął się przezornie jak najdalej od wojowniczego pasażera, który go już raz skarcił.

Sądny dzień nastał na statku. Kilka kobiet zemdlało, kilkanaście łkało przeraźliwie. Grupa podenerwowanych mężczyzn otoczyła kapitana, żądając spuszczenia motorówki i zapolowania na

świętokradzkiego intruza. A ponad ogólną wrzawę, zawodzenia, słowa modlitwy, płacz przerażonych dzieci, wybił się głośny okrzyk jakiegoś histeryka...

- Odpędźcie tę bestię!... Odpędźcie tę bestię!...

Nagłym ruchem wyrwał rewolwer z kieszeni i wypalił sześć razy w stronę rekina.

Huk wystrzałów wywołał prawdziwą panikę u dalej stojących, którzy nie znali powodów niespodziewanej kanonady, i kto wie, do jakich scen byłoby doszło, gdyby nie przytomność kapitana "Majestica". Rzucił przez tubę kilka słów, wzywając łagodnie, lecz stanowczo do zachowania spokoju, potem dał sygnał odjazdu.

Dwa olbrzymie okręty pożegnały się nawzajem rykiem syren i ruszyły w swoją drogę: "Majestic" do Nowego Jorku, "Berengaria" w stronę starej Europy. Odległość między nimi zaczęła wzrastać szybko. Łączyły ich po chwili tylko czarne wstęgi dymu, które ciepły południowy wietrzyk spychał gdzieś w stronę brzegów Nowej Funlandii, lecz i ta słaba łączność przerwała się niebawem.

Pośrodku pozostał mały pływak, igraszka fal i rekinów, maleńki punkcik wśród bezmiaru wód, opuszczony, samotny, ale nie zapomniany. Nie zapomniany dzięki temu, że oznaczał miejsce, gdzie na odwiecznym cmentarzysku morskim leży mogiła Ashleya, Petita, Martiniego. Nici pamięci połączyły go niewidocznymi, lecz trwałymi pomostami z wszystkimi punktami globu...

VI

Było to piątego dnia po wypadkach, które w streszczeniu powyżej przedstawiłem...

Siedziałem w moim redakcyjnym gabinecie, pogrążony w lekturze numerów zwyczajnych i nadzwyczajnych dodatków "New_York Morning News" z ostatnich pięciu dni. Czego ten spryciarz (mam na myśli mojego przyszłego teścia) nie nawypisywał. Każda depesza, wysłana przeze mnie z pokładu "Majestica", liczyła co najmniej trzy razy tyle słów, co w chwili nadania, a oprócz tego znalazłem cztery telegramy, które mogła zredagować tylko fantazja przedsiębiorczego Dicka Campbella. Nic więc dziwnego, że nakład naszego pisma wzrósł o 160% w tym krótkim czasie, nie licząc nadzwyczajnych dodatków.

Skrzywiłem się mocno, dostrzegłszy opis znalezionej kawałka śmigła "Victorii". Te "warstwy" mózgu, "duże" odłamki kości, wbitych w drewno, "strugi" krwi, a zwłaszcza rogówka zmiążdżonego oka, brrr, to wszystko zasługiwało na miano ohydneho realizmu. Nie omieszkałem tego wytknąć Dickowi, który w pewnym momencie wszedł do mnie ze swej pracowni. (Oba gabinety sąsiadowały z sobą).

Wydawca "New_York Morning News" parsknął śmiechem.

- A któż mi doniósł o śladach krwi na śmigle? - rzekł, naśmiawszy się do syta.

- Ja. Przyznaję i zarazem szczerze żałuję.

Dick usiadł na biurku i poklepał mnie serdecznie po ramieniu.

- Nie żałuj, chłopcze. Ta właśnie wiadomość, oczywiście odpowiednio przeze mnie zabarwiona, zrobiła największe wrażenie. Widzisz, nasi czytelnicy chcą silnych wrażeń, chcą wstrząsów, dreszczy...

- Dość, zacny teściu! - przerwałem mu, zatykając sobie uszy dłońmi. Piosenkę o upodobaniach czytelników naszego pisma umiałem na pamięć. Umiał ją na pewno także najmłodszy z współpracowników, gdyż Dick Campbell powtarzał się straszliwie w swych instrukcjach, udzielanych redakcyjnemu zespołowi.

- Słuchaj - rzekł po chwili. - Time is money. Nie przyszedłem tu do ciebie na pogawędkę, lecz z interesem. Mam wspaniały pomysł, który ty tylko potrafisz zrealizować.

- Tylko ja?

- Niestety, tak.

- Dziękuję za "niestety" - burknąłem trochę obrażony.

- Powiedziałem: niestety, gdyż z ciebie jest trochę próżniak. Tailor uwinąłby się z tą robotą w tydzień, nie licząc stałego zajęcia w redakcji, a gdybym mu dał urlop, musiałby być gotów w trzech dniach, a z tobą dłuższa sprawa...

- Więc proszę dać tę robotę Tailorowi - rzuciłem dość ostro, poirytowany takim porównaniem. Nie jestem zarozumiały, lecz porównywać mnie do tego rzemieślnika literackiego, to

szczyt obelgi!...

- Nie - mruknął Campbell, potrząsając głową przecząco. - Tę robotę dostaniesz ty. Ty masz do tego rękę. Nikt tak nie potrafi... Niestety nikt...

- Hm - chrząknął udobruchany. - Cóż to za robota? Chyba nie chodzi o jaki głupi wywiad.

- Nowela.

- Nowela? - powtórzyłem ze zdziwieniem. Znałem bowiem dziwne uprzedzenie Dicka do wszelkich utworów literackich. Uznawał co najwyżej felietony, z zastrzeżeniem, że w każdym będzie przynajmniej jeden trup obficie broczący krwią. (Czytelnicy chcą wstrząsów etc., etc.).

- Treścią tej noweli, czy nowelki musi być lot transatlantycki, oczywiście lot, zakończony katastrofą. Lotników zrobisz trzech. Nasunie to czytelnikom na myśl analogię do wypadku "Victorii". Trzeba wykorzystać aktualność tematu. Yes. Jak ich uśmiercis, to twoja rzecz. Grunt, żebyś ich wszystkich uśmiercił. To robi wrażenie. Publika chce...

- Wstrząsów, dreszczy - podpowiedziałem skwapliwie.

- Tak - potwierdził poważnie, potem zatarł dłonie na znak wielkiego zadowolenia. - Trzy trupy! - zawołał. - To mi nowela! Ale jest sęk...

- Mianowicie?

- Co spowoduje katastrofę?

- Hm. Różne mogłyby być powody. Defekt silnika...

- Proza.

- Warunki atmosferyczne.

- Nic ciekawego. Od czego barometr?

Przypomniały mi się nagle niedopowiedziane zdania podejrzliwego towarzysza podróży z Europy. Nazywał się, nazywał się... aha... Grouse.

- Umyślne uszkodzenie samolotu przez tajemniczych wrogów - bąknął nieśmiało.

Dick kiwnął głową potakująco.

- To już byłoby coś dla nas, ale kim są ci wrogowie? Konkurenci? Nie! - rzekł stanowczo. - To mało prawdopodobne, a co gorsza, rzucaloby cień na lotnictwo. Baby gotowe nam powybić szyby w lokalu. Wiesz chyba, jak szaleją za tymi "rycerzami przestworzy"... Czekaj... czekaj, zdaje mi się, że znalazłem.

- No?

- Oczywiście! Wspaniałe rozwiązanie!... Wiesz, jak na nie wpadłem? Eee, ty nic nie uważasz. Powiedziałem przecież o kobietach, że szaleją.

- Owszem, powiedziałaś, ale nie widzę związku.

- Bo dzięki domieszce krwi francuskiej nie posiadasz naszej sprężystości umysłu. Twoje

dzieci będą sprytniejsze, znowu dzięki swej matce, dzięki Dolly.

- Odbiegamy od tematu, a time is money, jak często podkreślasz.

Dick zmieszał się niesłychanie. On, który wszystkim wytykał prawdziwe, czy częściej rzekome gadulstwo, dał się schwytać na gorącym uczynku popełnienia tego samego przestępstwa.

- Fabułę obmyślić, jest twoją rzeczą - zaczął dla odmiany telegraficznym stylem. - Przystaliśmy na trzy trupy. Powodem katastrofy powinna być kobieta. Zrób z niej czarny charakter. Kokietowała wszystkich trzech. W czasie lotu rywale skoczyli sobie do gardła. Samolot, nie kierowany niczyją ręką, runął sobie w morze. To szkielet, którego proszę się ściśle trzymać.

- Na ile odcinków?

- Na ile? Hm. Powiedzmy...

Na biurku zadzwieczał telefon. Campbell z przyzwyczajenia pochwycił słuchawkę szybkim, nerwowym ruchem...

- Jakaś dama do ciebie - rzekł, wręczając mi słuchawkę. - John zapytuje, czy mają ją wpuścić.

Przysunąłem tubkę ku ustom:

- Hallo, John! Co za dama? Jak się nazywa?...

- Nie chce powiedzieć. Oświadczyła, że ma interes tylko do pana, Mr. Bronson - brzmiała odpowiedź.

- Młoda? Stara? - spytałem machinalnie, chcąc z tych danych odgadnąć cel wizyty nieznajomej damy.

- Młoda, bardzo przystojna... Gdzieś już widziałem tę twarz, panie redaktorze. Zdaje mi się, że artystka filmowa.

- Co mówi? - spytał Dick Campbell.

- John zakwalifikował ją jako gwiazdę ekranu - odparłem z uśmiechem. - Chodzi jej pewnie o reklamę.

- Każ ją prosić. Jeśli cię będzie nudzić dłużej niż dziesięć minut, wejdę lub wezwę cię telefonicznie. Musimy sobie nawzajem pomagać w takich okolicznościach, inaczej zanudziłyby nas te baby...

- To już lepiej zatelefonuj, bo mógłbyś wejść w nieodpowiednim momencie.

- He, he, he, he, ty donżuanie! Czekaj, powiem Dolly. Natrze ci uszu... Aha, byłbym zapomniał... Dolly dzwoniła przed chwilą, że przyjdzie tu niebawem.

Groząc mi palcem na potężnym nosie, Dick wyszedł do swego gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi. Poleciłem Johnowi by wpuścić klientkę, a sam zacząłem sobie w głowie szkicować treść nowelki, którą miałem "robić" dla odcinka w "New_York Morning News"...

Byłbym kłamcą, gdybym twierdził, że temat podsunięty przez pomysłowego Dicka, nie

podbił mnie z miejsca. Nie miałem też zamiaru trzymać się tak bezwzględnie ściśle “szkieletu”, jak sobie tego apodyktyczny Campbell życzył. Choć obiektywnie mówiąc, jego pomysł był niezły. Kobieta wampir, kokietka, trzech rywale... Phi!... Trzej, czy to nie za dużo? Weźmy tylko dwóch. Trzeci mógł spać w momencie, kiedy tamci dwaj rozpoczęli walkę na śmierć i życie, bo gdyby nie spał, to oczywiście...

Do drzwi z korytarza zapukano dyskretnie...

Uśmiechnąłem się lekko. To Jack, dałbym głowę. Jack, mały chłopiec redakcyjny, nie wchodził nigdy bez trzykrotnego pukania, od czasu, jak wpadł tutaj w momencie, kiedy całowałem Dolly, moją narzeczoną.

Zwykła ceremonia odbyła się i tym razem. Po pierwszym “proszę” rozległo się drugie pukanie, potem w krótszym odstępie, trzecie.

Wreszcie drzwi się otwarły. Na progu stanęła, szczupła kobieta w czarnym, jedwabnym płaszczu...

VII

- To jest Mr. Bronson, z którym pani chciała mówić - obwieścił boy donośnie, złożył ukłon przesadnie niski, mrugnął szelmowsko okiem za plecami przybyłej i znikł za drzwiami.

- Proszę niech pani spocznie - zagailem, podsuwając nieznajomej skórzany fotel klubowy. - Czym mogę służyć?

Usiadła, lecz prędko wyjawiała mi cel swoich odwiedzin. Spoza czarnego welonu patrzyła na mnie w milczeniu długo, badawczo. Wreszcie zrozumiała, że nie wypada przeciągać milczenia w nieskończoność i zmusiła się do wyrzeczenia pierwszych słów. Tak... Dobrze to określiłem... Zmusiła się do tego, by przemówić...

- Pan przyjechał wczoraj na pokładzie "Majestica"?

- Tak.

- Pan jest tym, który informował "New York Morning News" o przebiegu katastrofy "Victorii"?

- Tak jest - odparłem, a w myśli dodałem: - Jestem w domu. Pyta o "Victorię", jest w ciężkiej żałobie, więc to niezawodnie krewna jednego z nieszczęsnych pilotów.

- Proszę mi nie wzięć za złe pytania, jakie teraz zadam, ale to jest właściwy cel mej wizyty.

- Proszę się nie krępować - rzekłem, ciesząc się w duchu, że nareszcie dowiem się, jaki był ów "właściwy cel wizyty".

Nieznajoma zastrzegła się raz jeszcze.

- Rozumiem doskonale, że w dziennikarstwie trzeba to i owo dodać, trochę przesadzić i tak dalej.

Przez grzeczność potakiwałem zgodliwie pionowym ruchem głowy.

- Niech mi więc pan szczerze odpowie, czy to wszystko, co w "New York Morning News" drukowano, jest prawdą, czy też...

Tu nastąpiła pauza, chwila wymownego milczenia. Ha, gdyby ona nie była w żałobie, gdyby mi tajemny głos, czy wąż dziennikarski nie mówił, że mam przed sobą krewnego Ashleya, Martiniego, czy tamtego trzeciego, byłbym się palnął w piersi i oświadczył, że "New York Morning News" nie skałały nigdy swych łamów wydrukowaniem kłamstwa. Lecz zanim moja twarz zdołała przyoblec maskę obrażonej godności, zanim wargi zdążyły rzucić pierwszy lepszy frazes, stanęły mi przed oczyma owe warstwy mózgu, strugi krwi i zmiażdżone oko, wszystkie te okropności, jakimi Dick Campbell obficie uraczył swoich czytelników...

Zrobiło mi się niewymownie przykro. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, że niejedna sensacja, która dostarcza tłumowi pożądanych dreszczy, wstrząsów i emocji (vide: recepta Dicka Campbella), rozdrapuje jednocześnie świeże rany tych, których dotknęło właśnie nieszczęście, że ich serdeczny ból jest żerem dla tamtej trzody...

Ale czy to wzrusza Dicka Campbella i tysiące jemu podobnych? Czy jego obchodzi, że ta smutna panna z twarzą Madonny wiała się może z rozpacz, czytając tasiemcowe wywody o zmiążdżonej, zniekształconej głowie jej brata, lub męża? Byle inni doznawali wstrząsów i dreszczy, byle nakład "New York Morning News" się potroił, to reszta drobiazg...

- Więc?

Drgnąłem lekko na dźwięk jej głosu...

- Tak... zapewne - zacząłem niezgrabnie. - Tu i ówdzie zakradły się pewne omyłki... Na przykład owo... śmigło...

Zauważyłem, że wąskie dłonie, obciśnięte w czarne rękawiczki, wpiły się kurczowo w miękką skórę oparcia fotelu, na którym spoczywały dotychczas bez ruchu.

- Niech pan mówi... Proszę mnie nie oszczędzać - wykrztusiła nieswoim głosem. - Ślady krwi były na śmigle?... Widział je pan sam, czy słyszał pan tylko od innych, że...

- Widziałem i pani także może je zobaczyć. O ile mi wiadomo, śmigło...

- Nie! Nie! - przerwała z kolei ona. - Brakłoby mi sił.

Drżącymi palcami otworzyła torebkę i wyjęła stamtąd chusteczkę, podniosła ku oczom. Teraz dopiero przypomniała sobie, iż ma welon. Podniosła go i, jakby tłumacząc swe małe roztargnienie, powiedziała z uśmiechem tak smutnym, że serce mi stopniało jak wosk.

- Nie przywykłam jeszcze do tego.

Nie opuściła już welonu, dzięki czemu mogłem przyjrzeć się jej dokładnie. Wyglądała na lat 21 do 23, ale mogła być w rzeczywistości jeszcze młodszą, biorąc pod uwagę, że żałobny strój postarza każdą kobietę. Mały, zalotny loczek zdradził, że barwa jej włosów jest popielata. Głębokie oczy, prosty grecki nos, cudnie wykrojone, maleńkie usteczka harmonizowały doskonale z szlachetnym owalem twarzyczki, a cienie pod oczyma, zapewne ślady płaczu i bezsennej nocy, nie psuły bynajmniej rysunku. Przeciwnie, nadawały mu ciepłe tony, bez których byłby może piękniejszy, lecz mniej wyrazisty, mniej wbijający się w pamięć.

Dziewczyna w żałobie zauważyła widocznie, że podziwiam jej urodę, bo poruszyła się niecierpliwie w fotelu i przemówiła. Przemówiła, a pragnąc za wszelką cenę przerwać milczenie, zaczęła od tego, na czym skończyliśmy poprzednio.

- Więc ślady krwi pan widział...

- Tak - potwierdziłem powtórnie, choć słowa jej nie brzmiały, jak pytanie. Potem dodałem szybko - ale tylko krwi. Inne szczegóły są nieprawdziwe. (No, gdyby to Dick słyszał!).

- A teraz przejdźmy do przedostatniej depechy "Victorii": czy pamięta pan jej treść dokładnie?

- Nie ręczę, lecz mam pod ręką swój notes.

- Niech pan przeczyta łaskawie.

Spełniłem tę prośbę i słowo po słowie skandowałem tekst telegramu, jaki pierwszy porucznik "Majestica" odczytał pamiętnej nocy w czasie dancingu:

Lecimy wciąż z wiatrem. Przeciętą prędkość 190 km na godzinę. Ashley prowadzi, Petit chrapie. Wzbijamy się wyżej, ponad chmurę deszczową. Wszystko w porządku...

Martini.

- Tak - rzekła i jakby dla wbicia sobie w pamięć powtórzyła dwukrotnie wyrwane ze środka zdanie: - Ashley prowadzi, Petit chrapie... Ashley prowadzi, Petit chrapie... Martini? - rzuciła nagle podniesionym głosem.

Zaskoczyło mnie nie tyle samo pytanie, ile gwałtowny ton, jakim było wypowiedziane.

- Martini wtedy telefonował - wyjaśniłem, stawiając sobie w myśli pewnik, że ta dziewczyna jest krewną młodego Włocha, a głośno dodałem. - Nie trudno się zresztą tego domyślić. Przecież jego nazwisko widnieje pod depezą.

- Ah, prawda - rzuciła machinalnie, patrząc gdzieś w okno. Potem przeskoczyła do innego szczegółu fatalnej podróży "Victorii".

- Czytałem w "Morning News", że z bukietu, rzuconego przez Waltera Ashleya, zdołał pan ocalić jedną różę... Czy to prawda?

- Prawda - odparłem, znudzony już trochę tą indagacją.

- Czy nie mógłby pan mi ofiarować tego kwiatu?

No, tego się nie spodziewałem! "Przyjdzie sobie taka dama, nudzi człowieka przez kwadrans, nie powie nawet, kim jest, jak się nazywa, a w końcu zaczyna naciągać"; pomyślałem i nagle określiłem to w duchu mianem: bezczelności. Ale kiedy spojrzałem w jej cudne, a tak smutne oczy, szorstka odmowa ugrzęzła w mej krtani. Nie! O wszystko raczej można było tę dziewczynę pomawiać, tylko nie o tupet, o bezczelność. Jej słodka twarzyczka wyrażała dobitnie zakłopotanie, nieśmiałość, zawstydzenie, że wargi ważyły się wypowiedzieć taką prośbę. Nie powtórzyłaby jej z pewnością; tylko oczy błagały dalej niemą modlitwą czystych, jak łza, spojrzeń...

Czy pani tak zależy na róży z bukietu Ashleya?

- O, tak! - Moje pytanie zdziwiło ją widocznie, lecz nagle, jakby sobie coś przypomniała, spłoneęła szkarłatnym rumieńcem i wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- Ja panu, zdaje się, nie powiedziałam, że Walter Ashley był moim narzeczonym...

- Więc to pani?!... Proszę przyjąć...

Przeklęty dzwonek przeszkodził mi w złożeniu kondolencji... Telefonował Dick z sąsiedniego pokoju. Zapytywał, czy ma przyjść i pomóc mi w wyproszeniu "nudziarki"...

- Dopiero za kwadrans - odparłem... - Jestem obecnie bardzo zajęty...

- Dobrze, donżuanie - rechotał głos w słuchawce. - Ostrzegam cię jednak, że Dolly już przysła, jest tutaj, u mnie i podgląda przez dziurkę od klucza, he, he, he...

W czasie tej krótkiej rozmowy, narzeczona tragicznie zmarłego lotnika zapinała gorączkowo guziczki przy rękawiczkach. Gotowała się widać do odejścia.

- Nie będę panu dłużej przeszkadzała. Czas dziennikarzy jest bardzo cenny, wiemy o tym... uciekam więc i raz jeszcze dziękuję za wszelkie wyjaśnienia.

- A róża? - spytałem, odmykając szufladę.

Iskry bezmiernej radości zamigotały w jej przesmutnych oczętach.

- Chce mi ją pan dać, naprawdę?

- Proszę. Będzie dla pani pamiątką po bohaterze, którego pamięć nie zagnie nigdy.

Przeraziłem się, że nienaturalny patos zadźwięczał w moich słowach, ale niedoszła Mrs. Ashley innego musiała być zdania. Chwyła moją dłoń głęboko, serdecznie i nie puszczając jej z tego koleżeńskiego uścisku, zaczęła mówić bardzo szybko.

- Z pana rzeczywiście zacny człowiek. Pierwszy raz przyszło mi to na myśl, kiedy w "Morning News" wyczytałam zdanie: "Z polecenia naszego współpracownika Mr. Bronsona wyrażamy gorące współczucie narzeczonej Waltera Ashleya i rodzinom wszystkich trzech lotników". Pan jeden o nas pamiętał, kiedy wszyscy inni myśleli, jak z tego nieszczęścia zrobić sensację, jak wydusić z niego dolary... To właśnie mnie ośmieliło do odwiedzenia pana w dniu dzisiejszym... Dziękuję serdecznie za tę pamięć, za różę, za wszystko...

Ucisnąłem jej dłoń mocno, podniosłem ją ku ustom i na czarnej rękawiczce złożyłem pocałunek, pełen najwyższej czci...

Przy drzwiach przystanęła. Zawahała się, potem szybkim ruchem otworzyła torebkę...

- Chciałabym jeszcze kiedyś pogawędzić z panem na ten sam temat, co dzisiaj... Bo, widzi pan, wszystko co dotyczy ostatnich chwil mego Waltera, obchodzi mnie niezmiernie... Ja byłam wtedy tak daleko, pan był szczęśliwszy ode mnie... więc, jeśli by pan kiedy znalazł wolne pięć minut czasu, proszę mnie wezwać telefonicznie... Przybiegnę do redakcji na skrzydłach...

Wsunęła mi w rękę bilet wizytowy, obrzuciła mnie raz jeszcze przyjaznym spojrzeniem i wyszła...

VIII

Prawie równocześnie otworzyły się drzwi gabinetu Dicka Campbella. Na progu stanęła Dolly, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z buzią nadąsaną komicznie.

- A, ślicznie! - przywitała mnie. - Narzeczonej każe się czekać godzinami, a tymczasem obcałowuje się rączki czarnych dam.

- Jak widzę, peryskop w dziurce od klucza działał znakomicie - odparłem podobnym tonem.

- Nikt jeszcze źle nie wyszedł na podglądaniu.

- Jestem wręcz odmiennego zdania - zaprotestowałem, nie przeczuwając, że Dolly wygłosiła prorocstwo, które się nieco później miało spełnić.

- Eeee, takie grymasy!... Pocałujcie się, dzieciaki! - wtrącił Dick, popychając jedynaczkę w moje objęcia.

Dolly zerwała z pasją sportowy kapelusik z głowy i potrząsnęła czuprynką tak energicznie, że jej złote, ondulowane loki nastroszyły się pociesznie nad czołem...

- Nie, papo! Nie jestem dziecinną i nie uznaję zazdrości. To dobre dla plebsu. - Tu wzgardliwym ruchem wyciągnęła paluszek ku podłodze. - Ale Ralph mnie obraził i wątpię, czy mu się uda mnie tak prędko przebłagać...

- Ja ciebie obraziłem, darling?

- Tak.

- W jaki sposób?

- A róża Ashleya?

Tam do licha! Zapomniałem zupełnie, że wczoraj przy obiedzie u Campbellów przyrzekłem ten kwiat narzeczonej...

- O zakład, Dolly - zacząłem odważnie, nadrabiając oczywiście miną - o zakład, że przebacysz mi bez przeprosin, skoro się dowiesz... - przerwałem, dla spotęgowania efektu...

- O czym się dowiem?

- Kim jest owa czarna dama, jak ją określiłaś...

Zrobiła znudzoną minę i wycodziła przez ząbki.

- Słyszałam od papy. Jakaś gwiazdka filmowa, która pragnęłaby zostać co najmniej kometą...

- Nie.

- Tylko?

- Narzeczonej Waltera Ashleya...

- Co ty mówisz! I co, ładna? Bo przez dziurkę...

- Fiu. To mi gratka!

Radosny okrzyk Dicka zagłuszył słowa jego córki. Zaprowadzili mnie do fotela i zasypali

deszczem gorączkowych pytań. Oczywiście nie na wszystkie mogłem odpowiedzieć, ale burza została szczęśliwie zażegnana i uraza o różę Ashleya poszła szybko w niepamięć...

Dick nie zapomniał o wyciągnięciu odpowiednich korzyści dla "New York Morning News".

- Kroplnie się na pierwszej stronie: "W dniu dzisiejszym odwiedziła naszą redakcję narzeczona Waltera Ashleya, urocza Miss... Miss... jak się ona nazywa?"

- Nie mam pojęcia.

- O fujaro!

- Przecież trzymasz jej bilet w dłoni - zauważyła trafnie Dolly, obdarzona, jak każda kobieta, silniej rozwiniętym zmysłem spostrzegawczym. - To jakaś Rosjanka...

- Nie, to Serbka - zawyrokował Dick z całą stanowczością.

Na prostokątnej kartce pergaminowego papieru widniały takie słowa:

Phone: Circle 54, 22

Halina Horska

336, Amsterdam Avenue

New York City.

Dick spróbował raz jeszcze przeczytać niesłychanie trudne do wymówienia imię, lecz zrezygnował szybko. Zresztą co innego pochłoneło już doszczętnie jego "sprężysty" umysł.

- Trzeba jej posłać najzdolniejszego reportera. Fotografą zabierze ze sobą, oczywiście...

Wyobraziłem sobie nagle pogrążoną w ciężkiej żałobie dziewczynę w nierównej walce z paczką reporterów, fotografów, sprawozdawców, wdzierających się w tajniki jej zbolalej duszy, rozdrapujących świeże rany sreca. I ja mam być powodem jej tortur, ja, którego obdarzyła takim zaufaniem!...

- Stop, drogi teściu! - rzekłem bardzo stanowczo. - Musisz zrezygnować z tych zamysłów, albo...

- Albo? - powtórzył, zaskoczony moim tonem.

- Nie piszę noweli, którą już mam w głowie.

- Jaki to ma związek, jedno z drugim?

- Bardzo ścisły nawet - łągałem - ale na razie zwolnij mnie od wyjaśnień. Zamieszczając choćby najdrobniejszą wzmiankę o dzisiejszej wizycie, zepsułbyś mi wszystko, a to byłaby szkoda niepowetowana. Nowela będzie pierwszej klasy, jeśli się nie będziesz do tego wtrącał.

- Hm, hm... Cóż ty tam kombinujesz... Ale przy moim szkielecie zostaniesz?

Aby go udobruchać, przytaknąłem...

- Naturalnie. Twój pomysł był świetny. Miłosna intryga, rywale, walka w przestworzach, upadek samolotu w morze, rekiny itd.

- I kobieta wampir - zapalał się...

- Niekoniecznie, Dicku - odparłem, gdyż stanęła mi nagle przed oczyma słodka twarzyczka dziewczyny w żałobie.

- Jak chcesz, mój drogi. Skoro przyznajesz, że szkielec mego pomysłu jest świetny, to muszę ci pozostawić wolną rękę co do reszty... Dolly! Córko niewdzięczna, czy ci wiadomo, że twój ojciec popełnił nowelę?... Tak, ja... Ja byłem architektem, on jest murarzem. Jeden nie może się obejść bez drugiego, ale kto z nich ważniejszy?

Moja narzeczona wzruszyła ramionami.

- Cóż mnie to może obchodzić? Zagadujecie mnie, a tam biedny Bob czeka w aucie z raketami i niecierpliwi się pewno...

- Bob? - zmarszczyłem brwi mimowolnie. - Ten wymuskany bałwan znowu się włóczy za tobą?...

- O, bardzo przepraszam. Bob jest bardzo miłym chłopczykiem. Prawie tak miłym, jak ty, brzydki zazdrośniku...

- Prawie.

- No, niezupełnie, ale prawie.

- Więc życzę wam wesołej zabawy...

- Dziękuję w imieniu swoim i Boba - drażniła się ze mną. Potem spytała. - Ale na kolację do nas przyjdiesz?

- A jak nie przyjdę?

- To zaproszę Boba. On nie byłby od tego...

- Idźże już raz, utrapiona trzpiotko - wtrącił Dick, nie na żarty zaniepokojony zmarszczkami, jakie sfałdowały moje czoło. - Zabijesz chłopcu klina w głowę i nie napisze mej noweli.

Dick słusznie przewidywał. Myślał, że ten skończony idiota Bob gra teraz w tenisa z moją Dolly, nie dawała mi spokoju. Przed kwadransem, kiedy opuszczała gmach redakcji, obserwowałem ich z wyżyn mego okna. Widziałem, z jaką poufałą uprzejmością pomagał ten dureń mej narzeczonej w ubraniu płaszcza, widziałem, jak się ku niej nachylał. Osioł! Żeby zapomnieć o tym, że prowadzącemu auto nie wolno swobodnie rozmawiać! Zwłaszcza, jeśli przy kierownicy siedzi taki roztrzepany osobnik, jak Dolly, szczególnie na tak ruchliwej ulicy!...

Nie... Pisanie nie szło mi łatwo. Z jednej strony uczucie zazdrości, z drugiej wspomnienie zasmuczonej twarzyczki owej Haliny, czy jak tam brzmiało to cudaczne imię...

Po raz dziesiąty zaczynałem nieszczęsną nowelę, a kiedy wreszcie sklepiłem jako tako pierwszą stronę, zadzwieczał telefon...

- Hallo, tu Dick... Mówię z drukarni. Jest coś nowego?

- Nie. Przynajmniej ja nie wiem o niczym.

- Jakby coś było, zadzwoń...

- Dobrze.
- A co ty robisz?
- Robię nowelę - odparłem, akcentując ironicznie ulubione wyrażenie przyszłego teścia.
- Well. Pamiętaj tylko, że nasi czytelnicy chcą przede wszystkim...
- Wiem, wiem. Chcą wstrząsów, dreszczy, emocji - dokończyłem i rzuciwszy z wściekłością słuchawkę na widełki, przedarłem zapisaną stronicę...

IX

W dwa dni później otrzymałem list od Edgara Scotta. Profesor nie lubił widocznie rozpisywać się obszernie, gdyż treść listu była bardzo lakoniczna:

“Jeśli Pana może zainteresować rewelacyjny wynik badania śladów na śmigle “Victorii”, proszę wpaść któregoś wieczoru na 134, W. - 56 Street, piętro 6, gdzie Pańskie przybycie sprawi dużą przyjemność.

oddanemu E. Scottowi.”

- Oczywiście, że mnie to bardzo interesuje - stwierdziłem i natychmiast zapisałem sobie w notesie nowojorski adres profesora, dodając uwagę: “Ważne! Ewentualny materiał do noweli”.

Skoro już wspomniałem o noweli, to wypada zanotować, że idzie mi ta robota, jak z kamienia. Temat mnie porwał, wziął mnie z miejsca, ale też od lat nie miałem tak ciężkiej ręki do pisania, jak tym razem. Nic innego, tylko pech, bo przecież “szkielet” gotów i chodzi jedynie o “murarską robotę”, mówiąc wciąż stylem Dicka.

Zastanawiałem się kilkakrotnie nad przyczynami chwilowej niedyspozycji pisarskiej. Zwaląłem winę na Dicka, na Dolly, Boba, ale równocześnie uświadamiałem sobie w duszy, że jestem nieszczerzy. Rzeczywistym powodem chwilowego braku natchnienia była niezrównana para smutnych oczu, których wspomnienie prześladowało mnie od świtu do nocy i budziło mieprzepartą chęć ujrzenia ich znowu...

Tęsknota? Mało prawdopodobne, lecz możliwe... Nie!... Wcale nie tęsknota. Gdyby te oczy należały do jakiejś Miss Wolfson, jakiejś Mrs. Smith, czy innej Hopkins, byłbym o nich dawno zapomniał. Ponieważ jednak właścicielka ich była narzeczoną tragicznie zmarłego lotnika, ponieważ należałem do owej nielicznej garstki, która pierwsza dowiedziała się o katastrofie “Victorii” i przeżyła niezapomniane chwile nerwowego podniecenia, ponieważ wreszcie ten wypadek miał być “szkieletem” nieszczęsnej noweli, przeto oczy pięknej cudzoziemki utknęły mi tak mocno w pamięci... Tak, to tylko, a nie jakaś tęsknota. Bo i skąd?...

Tego dnia postanowiłem zjeść obiad w mieście i zignorować w ten sposób zaproszenie Dolly. Będzie to odwetem za jej wczorajsze kokietowanie Boba. Ah, ten zmanierowany bawidamek działa mi na nerwy! Czuję, że się kiedyś zapomnę i wybiję mu jednym ciosem szczękę z zawiasów. Choć może nie dojdzie do tego. Jeszcze tylko dwanaście dni brakuje do wyznaczonego terminu naszego ślubu, a skoro zostanę mężem Dolly, mój dom będzie zamknięty na zawsze dla Boba i jemu podobnych trutniów.

Posławszy redakcyjnego chłopca do mieszkania Campbellów z krótkim usprawiedliwieniem się, że nie przyjdę, zjadłem kolację w restauracji. Zasiałem się tam trochę tak, że dochodziło trzy na dziewiątą, kiedy opuściłem gwarny, roztańczony lokal...

Co dalej? Dokąd pójść? Gdzie i jak spędzić wieczór?...

Przede wszystkim należało stwierdzić, czy nie ma czegoś do załatwienia. "Business first", jak powiada Dick Campbell.

Owszem, jest.

Notes, nieoceniony towarzysz pracy, a także rozrywek, przypomniał mi list Edgara Scotta. "Ważne! Ewentualny materiał do noweli"... głosił dopisek.

- Jadę natychmiast do niego - zdecydowałem się, uważając, że pogawędka z moim angielskim przyjacielem na temat tak aktualny będzie najlepszym wypełnieniem bezprogramowego, jak dotychczas, wieczoru.

Dla pośpiechu nie wziąłem taksówki, która musi odczekać swoje na każdym ruchliwszym skrzyżowaniu ulic, lecz wsiadłem do pośpiesznego pociągu podziemnej kolejki. Dziesięć minut później "wylądowałem" w Subway Express Station, w tym miejscu, gdzie Seventh Avenue przecina zachodnią 57 ulicę. Zrobić osiemdziesiąt metrów z powrotem do W - 56 Street, minąć kilkanaście kamiennic kwartału do numeru 134 oraz wjechać windą na szóste piętro było dziełem dalszych dziesięciu minut, gdyż chodzę bardzo szybko...

Energicznie zadzwoniłem do mieszkania Mr. Jamesa Stanleya, który jak się dowiedziałem z biletu, był także zoologiem, a jak miałem się prawo domyślać, gospodarzem zaproszonego do Nowego Jorku angielskiego uczonego.

Niestety spotkał mnie zawód. Jakaś podstarzała jejmość wyrecytowała jednym tchem, że obaj przyrodnicy udali się przed godziną na posiedzenie kółka ornitologów, że nieprędko zapewne powrócą, po czym zatrzęsnęła mi drzwi przed nosem.

Powróciwszy na Seventh Ave, zacząłem rozmyślać, co począć. O powzięciu decyzji nie było trudno. Znajdowałem się przecież w dzielnicy lokali rozrywkowych. Po wszystkich dachach skakały barwne litery, migotały tytuły filmów, sztuk teatralnych, rewii, wabiły olbrzymie afisze, zalane potokami światła. Bezgłośnie świetlna reklama ryczała krzykiem dziesiątków tysięcy lamp i lampeczek, jazz_bandem szalejących kolorów, fantastyczną ekwilibrystką barwnych napisów, skaczących poprzez karkołomne przepaści z okapu jednego drapacza chmur na drugi.

Ale nie dałem się skusić ani baletowi półnagich girls hawajskich, ani wężowym kształtom uwodzicielsko pięknej Kreolki, której całą toaletę podczas tańca stanowił czarny kotek, ani pastelowej twarzyczce najnowszej gwiazdy filmowej, będącej żywym portretem cudnej Corinne Griffith.

Gdzieś z labiryntów mózgu wypełzło wspomnienie, że przy Amsterdam Avenue mieszka właścicielka smutnych oczu; gdzieś w głębinach serca narodziła się tęskna żądza spojrzenia znowu w te oczy...

Hm... Amsterdam Ave, czyli 10_th Avenue, była rzeczywiście bardzo blisko. Załedwie trzy przecznice, to znaczy 540 metrów. Ale sęk w tym, jaki numer. Poczciwy notes przypomniał, że 336.

Do licha! To naprawdę gdzieś blisko, tuż obok Broadwayu. Idąc przez Broadway, co przecina skośnie niemal wszystkie ulice, pójdę po przekątnej czworoboku i za dziesięć minut stanę przed kamienicą, w której mieszka ona...

Ona!...

Dlaczego użyłem tego wyrażenia, używanego tylko w ściśle określonych wypadkach? Całą drogę rozmyślałem nad tym, lecz nie znalazłem szczerzej odpowiedzi. Za to czas mi się nie dłużył, nie przeklinałem tłumów, zalegających Broadway i tamujących przejście. Nie wiedzieć jak, ani kiedy, stanąłem przed numerem 336.

Serce biło mi młotem, kiedy na drzwiach siedemnastego mieszkania przeczytałem na mosiężnej tabliczce to samo trudne do wymówienia imię i nazwisko, co było wydrukowane na eleganckiej karcie wizytowej.

Stałem na klatce schodowej dłuższą chwilę, wahając się, czy wejść, czy zawrócić. "Nie wypada"!... twierdził Bronson_gentleman. "Śmiało!" zachęcał Bronson_dziennikarz... "Choć spojrzeć w jej oczy i odejść", wzdychał ten trzeci, co siedział w mej skórze. Drżącą ręką nacisnąłem przycisk. Usłyszałem nieśmiałe dygotanie dzwonka elektrycznego, oh, jakże różne od energicznego terkotu, którym przed kwadransiem obwieszczałem swą wizytę u Edgara Scotta...

Nic... Cisza... Nie było nikogo lub odwiedziny były rzadkim zjawiskiem w tym mieszkaniu...

- Wobec tego odchodzę - mruknąłem z całą obłudą i ponownie nacisnąłem guziczek.

Pochwyciłem odgłos ciężkiego człapania za drzwiami i zastygłem w oczekiwaniu. No, to chyba nie ona...

Z chrzęstem łańcuszka drzwi cofnęły się do wnętrza na szerokość dłoni. W szparze ujrzałem szeroką, czarną gębę Murzynki...

- Czego? - spytała opryskliwie.

- Czy pani... czy panna... ta, no, jest w domu? - wybelkotałem, przeklinając w duchu słowiańskie nazwiska.

- A panu co do tego? Pewnie z jakiej redakcji?

- Właśnie. Z "Morning News"... Chciałbym zapy...

- Oho, nic z tego! Już dziś jednego reportera wyrzuciłam. Zwiedziały się szelmy, że moja pani była narzeczoną biednego Mr. Ashleya i teraz...

Na wspomnienie lotnika pocziwa starucha pociągnęła nosem melancholijnie i urwała w pół zdania. Wykorzystałem skwapliwie tę okoliczność:

- Ależ ja nie przychodzę bynajmniej po wywiad - zacząłem z wielkim rozpędem, lecz przerwała mi znowu:

- Tak samo tamten gadał... Nie, mój panie! Starej Annie pan oczu nie zamydli...

Szpara w drzwiach zwężyła się o połowę. Już straciłem wszelką nadzieję, kiedy za plecami niegościnniej służącej zabrzmiał głosik najbardziej melodyjny w świecie.

- Co tam, Anno?

- Ano, znowu jakiś reporterzyna...

Głos mi zamarł w krtani. Nie byłem w stanie wyrzec słowa, by wyjaśnić nieporozumienie, tylko zachwyconymi spojrzeniami pożerałem wdzięczną sylwetkę dziewczyny. Na szczęście podeszła trochę bliżej i poznała mnie od razu.

- Ah, to pan!... Anno, jak możesz!... - rzekła z wyrzutem...

Łagodnym ruchem odsunęła gderliwą Murzynkę i zdjęła główkę łańcuszka z oczka...

Podąła mi dłoń tym swoim niezrównanym sposobem, głęboko i szczerze. Bąknąłem jakieś słowa usprawiedliwienia, nie myśląc o niczym więcej, jak o intonacji jej okrzyku... - Ah, to pan! - powiedziała, lecz w tych trzech krótkich słowach było tyle dziecinnej uciechy, tyle szczerzej radości, że uczułem się ogromnie wzruszony...

- Ma pan wolny wieczór? - spytała, wprowadzając mnie do stylowego saloniku.

- Zupełnie wolny.

- To doskonale... Będziemy gawędzić, dopóki panu się nie znudzi.

X

Gawędziliśmy prawie do dwunastej...

Kiedy ten czas przeleciał, nie mam pojęcia. Stosownie do życzenia uroczej gospodyni opowiadałem z najdrobniejszymi szczegółami o mej ostatniej podróży z Europy, odczytałem z notesu wszystkie telegramy "Victorii", w końcu, również na życzenie, wyraziłem mój pogląd na powody katastrofy (przyjmując oczywiście defekt motoru, a nie wspominając ani słowem o idiotycznej teorii Mr. Grouse'a). I tak się jakoś gadało, gadało do północy.

Słuchała uważnie, niekiedy podnosiła chusteczkę ku oczom, niekiedy popłakiwała z cicha, a czasem rzucała jakieś słowo, świadczące, że na lotnictwie rozumie się dziesięć razy lepiej ode mnie. Ale kiedy zacząłem mówić o prawdopodobnej przyczynie nieszczęścia, potrząsnęła główką przecząco.

- To wykluczone - rzekła półgłosem i jakby do siebie. - Silniki "Victorii" były przed podróżą wielokrotnie wypróbowane. Żaden z nich nigdy nie zawiódł...

Potem uczepiła się znowu przedostatniej depeszy lotników: - Ashley prowadzi, Petit chrapie - powtórzyła dwukrotnie, jak wówczas, w redakcji "New_York Morning News". Było jakieś niedomówienie w jej słowach, ale jakie, nie śmiałem dopytywać. Zamiast mozolić się nad rozwiązaniem tej zagadki, wołałem patrzeć na jej piękną główkę, znacznie jeszcze piękniejszą w aureoli popielatych włosów, niż kiedy była wciśnięta w mały, żałobny kapelusz...

O dwunastej wyszedłem od niej. Na schodach pokłócili się na dobre trzej panowie. Ralph Bronson_dziennikarz był zdania, że wywiad się nie udał i warto to, czy owo, wykorzystać przy pisaniu noweli. Ralph Bronson_gentleman nie taił swego oburzenia: - Bydlę! - wołał zgorszony. - Z pierwszą wizytą zasiedzi się do północy i jeszcze chce dla swej idiotycznej noweli wyzyskać to, co z ust pogrążonej w ciężkiej żałobie dziewczyny usłyszał... - Ralph Bronson_ten trzeci, szedł jak we śnie, nie patrząc pod nogi. - Ona jest czarująca! - szeptał w zachwycie. - Halina! Nauczyła mnie wymawiać to słodkie imię. I powiedziała, że mam przyjść kiedyś znowu, jeśli zechcę. "Całe dnie i noce mogę słuchać opowiadania o nieszczęsnej podróży mego biednego Waltera". Biedactwo! Ciekawe, czy Dolly kocha mnie równie mocno, jak Halina Waltera. Wątpię. Bardzo wątpię! - Gentleman zachnął się w tym miejscu, nadmienił mimochodem, że tylko skończona kanalia może się tak wyrażać o swej przyszłej żonie, i zamilkł. Za to dziennikarz objął komendę i sprawił, że prosto z Amsterdam Ave pojechałem do redakcji pisać nowelę...

Pisałem ją jednym tchem do siódmej rano i skończyłem. Szło mi bajecznie łatwo...

Dla zrozumienia kolizji, jaka później wynikła, muszę tu podać krótkie streszczenie tego utworu. A więc...

"Znakomity awiator John Moore przygotowuje się do wielkiego lotu dokoła globu. Zamierza pobić wszelkie dotychczasowe rekordy. W podróży ma mu towarzyszyć jego przyjaciel i

towarzysz poprzednich triumfów, Hiszpan Fernandez de Costa oraz mechanik Wolff, Niemiec.

Moore żegna wieczorem kochankę, potem idzie po błogosławieństwo do swych rodziców, nie przypuszczając, że jego druh spędza tę noc w mieszkaniu niewiernej Alicji. Rano, na lotnisku, spostrzega jej bladość, podkrążone oczęta, ślady bezsenności, lecz sądzi, że spowodowała to obawa o jego życie i wzruszony tuli swą przyszłą żonę w objęciach. Nie widzi jej zmieszania, nie dostrzega ironicznego uśmiechu de Costy...

Odlot. Pierwszy etap Kalifornia, drugi Hawaje, trzeci Filipiny itd. Wszystko dobrze. Ocean Spokojny przebyty. Potem Indochiny, Indie, Persja, Mała Azja, Bałkany, Czechosłowacja, Anglia. Osiem dziewiątych drogi zrobione, a może więcej. Entuzjazm wszędzie szalony. Jeśli te głupie 4000 kilometrów pójda tak samo gładko, to nieboszczyk Verne przewróci się w grobie. Zamiast jego "fantastycznych" osiemdziesięciu dni, podróż dokoła świata będzie skuteczniona w niespełna dwa tygodnie. Triumf techniki, rekord szybkości, rekord wytrzymałości nerwów ludzkich i wieczna sława...

Ale ten ostatni etap, to nie żarty. Złowrogi Atlantyk był i jest cmentarzem setek podobnych bohaterów. John Moore bada więc swą maszynę dokładnie, a pedantyczny Wolff ogląda każdą śrubę...

De Costa jest zdenerwowany, z trudem panuje nad sobą. Za półtorej doby staną w Nowym Jorku. Lwia część honorów i zysków przypadnie w udziale Johnowi, kierownikowi wyprawy, zniechęconemu rywalowi. Niewierna, lecz praktyczna Alice, która nie wahała się poświęcić jednej nocy urodziwemu Hiszpanowi, nie zawaha się także, komu oddać swą rękę. Wybierze niewątpliwie sławnego, bogatego Moore'a. Dała to Fernandezowi niedwuznacznie do zrozumienia, kiedy nad ranem opuszczał jej mieszkanie, kiedy ją błagał o kilka słów nadziei. - On miał zostać moim mężem i będzie nim! - rzekła stanowczo. - Dzisiejsza noc nie powtórzy się więcej. Jeśli jesteś gentlemanem, zapomnisz o niej, nie będziesz mnie więcej prześladował swymi oświadczeniami.

Ale czy można zapomnieć? Czy można wyrzeć sercu wspomnienie takiej nocy, nocy szału, upojenia?...

Samolot wystartował z lotniska pod Londynem, żegnany okrzykami setek tysięcy widzów. De Costa prowadził pierwszy. Po siedmiu godzinach zluzował go Amerykanin.

Fernandez siedzi za nim i patrzy na tę zniechęconą głowę. W czerepie czaszki kłębią się myśli złe, mściwe, zbrodnicze...: "Albo moją będzie Alice, albo niczyją. Raczej obaj zginiemy!"...

Noc jasna. W blasku księżyca widać przewalające się zwały wody. Wiatr północny zaczyna dąć koło dwunastej. Nadciągające obłoki zakrywają księżyc. Z nastaniem ciemności duchy zła odzyskują swą potężną moc. Dusza mściwego Hiszpana ulega im szybko.

O trzeciej nad ranem Fernandez obejrzał się w stronę Niemca. Wolff śpi, aż miło. Moore wzbija się właśnie ponad chmury. Jest zmęczony, chce trochę odpocząć. W tej chwili słyszy głos

przyjaciela: - Alice nie może być twoją. Ona mnie kocha. Nie przeszkadzaj naszemu szczęściu, bo zginiesz!

Słowa rzucane w rożek akustyczny, chroboczą wyraźnie w słuchawkach kominiarki. Moore słyszy wszystko i nagle rodzi się w jego mózgu przeraźliwa myśl, że tamten zwariował. To przecież możliwe. Dwanaście dni ustawicznego napięcia nerwów, bezsenności, gigantycznych zapasów z wrogimi żywiołami. To nawet prawdopodobne.

Próbuje więc uspokoić szaleńca, lecz nagle czuje na skroni coś zimnego. Lufa rewolweru. Znow słyszy głos, drgający od wewnętrznego wzburzenia, głos dyszący zemstą: - Ona należała do mnie. W tę noc przed odlotem z Nowego Jorku. Pamiętasz? Na lotnisku zauważyłeś jej bladość, zmęczenie...

Moore nie wierzy, natomiast nie wątpi już ani trochę, że poczciwy Fernandez oszalał... To co gada, to wytwór chorego umysłu. Alice miałyby...? Nie! Kłamstwo!... Fałsz!...

Położenie straszne. Ani lądować, ani sygnałem obudzić Wolffa, gdyż lufa naciska skroń coraz mocniej, a w uszach brzmią słowa pogroźki szaleńca: - Jeden ruch, a zginiesz. Palec mam na spuście. - Oh, nie uląkłby się tej groźby, gdyby nie świadomość, że wypuszczenie drążka sterowego z rąk w takiej chwili, to śmierć dla wszystkich. Aparat nie wydobył się jeszcze z kłębowiska przeklętych obłoków...

De Costa zaczyna się śmiać strasznie, piekielnie. - Nie wierzysz? A jeśli powiem, że Alice ma rozkoszny pieprzyk na lewym biodrze, to ci wystarczy?...

Moore krzyknął przeraźliwie. Mimowolnie szarpnął sterem. Samolot stanął dęba, pochylił się na prawe skrzydło i padł w płaski korkociąg...

Wolff widzi broń w ręku De Costy. Wyrzywa ją. Rewolwer wystrzela. Kula trafia w ramię Johna. Jeszcze można maszynę wyprowadzić z korkociągu. Jeszcze można, lecz Moore nie chce. Po co? Skoro Alice... W sercu chłód, pustka, w myślach chaos, apatia. Lepiej zginąć...

Samolot opada, jak kamień. De Costa widzi przed oczyma duszy wzbudzoną toń oceanu. Ogarnia go lęk, przerażenie. Przed chwilą pragnął śmierci, teraz boi się jej panicznie...

- John! To nie prawda! - ryczy. - Orczyki, drążek, gaz, na Boga!... Wolff, ratuj!

Za późno. Moore nie kiwnął palcem, nie dotknął nawet drążka sterowego.

- W godzinie śmierci przeklinam cię, Alice! - wyszeptał, nie przypuszczając, że ostatnia myśl rywala była taka sama.

Trzytonowy ciężar, spadający z wysokości tysięcy metrów, zakrył się w wodę głęboko, wyrzeźbił potężny lej, lecz ruchliwe fale wypełniły go szybko. Nikt się nie dowie, gdzie leży grób trzech dzielnych lotników, nikt się nigdy nie dowie, jaka była przyczyna ich śmierci, chyba że wspólne przekleństwo przyśni się niewiernej Alice..."

Tak brzmiała w nieudolnym streszczeniu moja nowela. Muszę ją jeszcze wyczelować,

wyglądzić, przepisać, ale 90% “roboty murarskiej” gotowe. Dick powinien skakać z radości. Są trzy trupy i kobieta, charakter może nie całkiem czarny, jak heban, ale mocno czarniawy. Hip, hip, hurra!...

Schowałem skrypt do swego biurka, a w gabinecie Dicka napisałem na bloczku:

“Nowelka gotowa. Pisałem całą noc, jestem straszliwie zmęczony i idę spać. Zobaczymy się wieczorem.

Ralph.”

Przybywszy do domu, poleciłem, by mnie nie budzono, choćby redakcja bombardowała najbardziej alarmującymi telefonami.

- Panu Campbellowi proszę oświadczyć, że koło szóstej wieczorem zobaczę się z nimi w redakcji.

Z tymi słowy udałem się do sypialni...

XI

Ale nie zobaczyliśmy się z Dickiem tego wieczoru. Przede wszystkim dlatego, że zasnawszy dopiero w południe, spałem snem sprawiedliwego do ósmej wieczór, a po wtóre dlatego, że Ralph Bronson, ten trzeci, nie zważając na perswazje Ralpa_gentlemana, posłuchał rady Ralpa_redaktora i po obiedzie poszedł wprost na Amsterdam Avenue 336.

Halina zdziwiła się trochę (tak twierdził Ralph_gentleman), lecz zaprowadziła mnie znowu na "naszą" kanapkę, przyrządziła własnoręcznie na maszynie doskonałą kawę i usiadła pomiędzy mną a wielką, stojącą lampą, ocienioną ręcznie malowanym abażurem, dzięki czemu miałem tuż przed sobą jej szlachetny profil.

Drżałem trochę na myśl o dzisiejszej pogawędce, gdyż z mej strony temat został wczoraj wyczerpany doszczętnie, lecz na szczęście Halina osądziła, że teraz na nią przyszła kolej opowiadać...

Więc opowiadała mi o swoim Walterze, począwszy od chwili, kiedy rok temu poznała go w czasie jakiejś sportowej imprezy, aż do dnia, gdy z lotniska pod Nowym Jorkiem wystartował, rozpoczynając wielki lot Ameryka Francja i z powrotem.

Dowiedziałem się z jej ust, że Walter Ashley był najlepszym, najodważniejszym, najszlachetniejszym człowiekiem na świecie. Próbką jego zalet miało być choćby to, że zapisał jej cały swój majątek, a równocześnie odroczył termin ślubu do chwili szczęśliwego powrotu. - Bo pannie łatwiej wyjść za mąż, niż wdowie - mówił - a gdybym zginął...

- Miał biedak widać złe przecucia, lecz poza tym jednym razem nigdy o tym ze mną nie mówił. Nie chciał mnie niepokoić - ciągnęła, podnosząc co chwilę chusteczkę ku wilgotnym oczom. Po chwili dodała: - Postanowiłam oczywiście z darowizny zrezygnować. Jego siostrze przydadzą się te pieniądze.

- Trzeba przede wszystkim pamiętać o sobie - wtrąciłem nieśmiało, przeprasząc, że mieszam się do nie swoich spraw.

- Nie ma za co - odparła. - Ale rzeczywiście mogę się obejść bez tej darowizny. Po ojcu odziedziczyłam dość znaczny majątek, który przynosi, jak na tryb życia, który prowadzę, najzupełniej wystarczającą rentę.

- Więc ojciec pani nie żyje? - zagadnąłem, pragnąc się dowiedzieć czegoś bliższego o pięknej Polce.

- Ani ojciec, ani matka - odrzekła z ciężkim westchnieniem. - Jestem sierotą i ledwie skończę nosić żałobę, spotyka mnie nowy bolesny cios... Dwa lata temu straciłam matkę. Ojciec przeżył ją zaledwie o dziesięć miesięcy... Teraz znów Walter.

Pochyliła główkę, jedną dłonią przycisnęła chusteczkę do oczu i cicho łkała...

Ogarnęło mnie ogromne współczucie. W ciągu niespełna jednego roku straciła obojga

rodziców. Potem los, jakby jej chciał wynagrodzić tę krzywdę, pozwolił jej poznać Waltera. Sądząc z opowiadania, był dla niej wszystkim. Pokochała go pierwszą miłością, szła ku zasłużonemu szczęściu, była już tak blisko, tak bardzo blisko. Jeden dzień dzielił ją od zobaczenia powracającego lotnika, pięć dni od wyznaczonego terminu ślubu... I znowu zawód, znów straszny cios...

Biedactwo!

W półcieniu, na tle szafirowego obicia kanapki zamajaczyła mi biała plama jej wąskiej dłoni. Bez zastanowienia się ująłem te chłodne palce i podniosłem je do ust.

- Biedna sierota... Biedna sierota - szeptałem wzruszony do głębi i raz po raz całowałem jej dłoń drżącymi ustami.

Nie uwolniła ręki z uścisku mych palców, nie odjęła chusteczki od oczu. Popłakiwała w dalszym ciągu, ale coraz słabiej, coraz ciszej, jakby moje współczucie przyniosło ulgę jej bólowi.

Przyszło mi nagle na myśl, że forma, w jakiej się objawiło moje współczucie, może jej się wydać niestosowną. Złożyłem więc dłoń Haliny na dawnym miejscu, pogłaskałem ją leciutko i podniosłem się z kanapy.

- Pan odchodzi? - spytała.

- Wolałbym zostać - odparłem szczerze - lecz mam wrażenie, że samotność będzie dziś najlepszym lekarzem dla pani duszy, Miss Halino.

- Pan jest tak samo delikatny, jak... jak Walter - powiedziała bardzo cicho.

Żegnając się, zapytałem nieśmiało, czy wolno mi przyjść znowu za... kilka dni...

- Choćby jutro - brzmiała odpowiedź, która sprawiła mi niewysłowioną radość.

Przyszedłem oczywiście nazajutrz o tej samej porze.

Gawędziliśmy, jak wczoraj, jak przedwczoraj, ale kiedy Ralph_gentleman słucha w skupieniu opowiadania Haliny, Ralph_redaktor zauważył cierpko, że wywiad nie posuwa się naprzód w pożądanym tempie, że warto by dowiedzieć się czegoś więcej, a Ralph_ten trzeci zniecierpliwiał się trochę, słuchając litanii samych superlatywów, odnoszących się do innego mężczyzny, choć tym mężczyzną był Walter Ashley, człowiek już nieżyjący. Po krótkiej naradzie i głosowaniu, w którym votum separatum gentlemana zostało zignorowane, padło pytanie:

- A Martini? Znała go pani? Co to był za człowiek?

- Martini?

Chmurka niezadowolenia przemknęła po gładkim, rozumnym czole dziewczyny i skryła się w cieniu puszystych włosów...

- Martini? - powtórzyła z jakimś niesamowitym błyskiem, który raził dziwnie w tych smutnych, tęsknych i dobrych oczach.

- Znała go pani? - powiedział redaktor na własną odpowiedzialność.

- Tak... Owszem... Walter nas zapoznał, ale rozmawiałam z nim ledwie trzy lub cztery razy.

- Podobno byli parą najlepszych przyjaciół...

- Byli - westchnęła i drgnęła nagle. - Odbyli razem wiele lotów... - dodała pośpiesznie.

- Do Australii - podpowiadałem.

- Do Australii, do Japonii, do Brazylii... Tak... To prawda. Uważano ich ogólnie za parę dobrych przyjaciół.

Ralph_redaktor aż podskoczył na kanapie:

- A zatem nie byli nimi w rzeczywistości?! - dopytywał się ku zgorszeniu tamtych dwóch Ralphów.

- Czy woda może być druhem ognia lub dzień nocy? Nie! Nie może być... Więc... - urwała.

- Więc - podjąłem - Martini był człowiekiem złym.

- O, bardzo złym, ale nie mówmy już na ten temat, proszę...

Zamknęła mi usta. Ralph_gentleman pokazał zawiedzionemu redaktorowi na palcach symboliczną figę.

Dalsza rozmowa nie kleiła się tego wieczora. Przyszło mi na myśl, że moje codzienne odwiedziny mogły się Halinie wydać co najmniej czymś dziwnym, jeśli nie niestosownym. Postanowiłem więc, acz z bólem serca, zrobić kilkudniową przerwę.

Przy pożegnaniu przyszedł mi do głowy nowy pomysł.

- Kiedyś wpadnę po panią przed południem, zrobimy małą przejażdżkę automobilową. Nic tak nie rozprasza przygnębienia, jak widok ludzi, ruchu ulicznego, ogrodów, pól, lasów, morza - wyliczałem szybko...

- O, to szybko pan zmienia zdanie - zauważyła z bladym uśmiechem.

- Jak to? Czy kiedykolwiek twierdziłem...

- Ależ wczoraj, wczoraj zaledwie. Już pan nie pamięta, Mr. Bronson? Powiedział pan, że najlepszym lekarzem dla zbolelej duszy jest samotność.

- No, w konkretnym przypadku - próbowałem wybrnąć...

- Przyjmuję jednakże pańską propozycję. Wypróbowałam wczoraj pierwszą receptę, mogę pojutrze spróbować nowego lekarstwa...

- Pojutrze!... Tak powiedziała wyraźnie. Stawię się oczywiście jak najpункtualniej. Jutro będzie dzień roboczy, szary powszedni dzień, ale pojutrze święto, gdyż moim lincolnem wyjadę na dwugodzinną przejażdżkę... Z Haliną! Pilnując kierownicy, będą rzucał krótkie spojrzenia w bok, będę patrzył na cudny rysunek jej profilu. Ona będzie siedziała na przodzie wozu, obok mnie. Ona! Ona! Ona! Przypomniała mi się jakaś szalona piosenka, którą przerobiłem na oczekaniu i, skacząc po kilka schodów na raz, zanuciłem.

- "The day after tomorrow is the holiday!"

W bramie zderzyłem się ze starą Anną, która już od pierwszej wizyty zaczęła się do mnie

odnosić z całą życzliwością.

Nie wiedzieć dlaczego, strzelił mi do głowy dziki pomysł, że muszę koniecznie zatańczyć choćby jedno pas z tym antykiem. Wcisnąłem jej w dłoń dwie dwudolarówki, okręciłem babę dokoła i, wrzasnąwszy triumfalnie swój hymn bojowy: - "The day after tomorrow..." - wypadłem na ulicę. W przelotnym spojrzeniu udało mi się dostrzec, jak nabożna Murzynka przeżegnała się wielkim krzyżem i, zapominając o windzie, popędziła schodami w górę z zawrotną prędkością...

Tak. Taniec w bramie był kiepskim pomysłem. W tym względzie Ralph_gentleman i Ralph_redaktor wygłosili zgodną opinię, zgodną po raz pierwszy. Lecz Ralph_ten trzeci nie dbał o to. Był uszczęśliwiony, wesoły jak młody żrebak i z trudnością pozwolił sobie wyperswadować zaprodukowanie podobnych piasów z poważnym policjantem, który regulował świetlnymi sygnałami ruch kołowy na najbliższym skrzyżowaniu ulic.

XII

Moja trzydniowa nieobecność u Campbellów wywołała tam prawdziwą panikę.

Dolly wraz z matką odwiedziły mnie przed południem w redakcji. Mam wrażenie, że małomówna, zasuszona Mrs. Campbell wyczerpała w rozmowie trzymiesięczny limit słów i roczny zapas pochwał. Dolly była tak rozkoszna, jak nigdy, a Dick... Oh, plecy mnie bolały od jego przyjacielskich poklepywań!

- Ho, ho, moje dziewczyny - perorował. - Myślicie, że nam, literatom, wolno czas kraść bezkarnie? "Time is money!" Powiedziałyście, a teraz nie zatrzymujemy... Good bye!

- Papa literatem? Odkądże ta metamorfoza?

- Metafoza - powtórzył rozrzuwiony erudycją jedynaczki.

- Ależ metamorfoza, papciu.

- Tak, tak - potwierdził, nie ryzykując powtórzenia tego obcego słowa.

- Więc bawimy się w literata? Ralph, darling, cóż ty na tak groźną konkurencję?

- Żadna konkurencja. Spółka literacka. Ja daję pomysły, a on jest...

- Murarzem - dorzuciłem.

Mrs. Campbell rzuciła okiem na zegarek, osadzony w bransolecie cudnej roboty:

- O, już tak późno? - zaskrzeczała swym niemiłym głosem. - Dolly, idziemy, a pana, dear Mr. Bronson, oczekuję dzisiaj wieczorem.

- Nie omieszkam skorzystać z zaproszenia - odparłem z ukłonem.

Skinęła na męża dyskretnie, a widząc, że jej ruch nie uszedł mej uwagi, dodała głośno.

- Dick, chciałam cię prosić o trochę pieniędzy...

- Służę ci, my sweet heart - rzekł niedomyślnie, chwytając się za kieszeń, w której nosił dobrze mi znajomą książeczkę czekową.

- Nie, nie... To dłuższa sprawa... Przejdziemy do twojej pracowni.

Pocziwa staruszka chciała nas zostawić sam na sam, czego się Dick nie domyślił. Jakoż kiedy się drzwi za nimi zamknęły, Dolly przysunęła się do mnie całkiem blisko.

- Przyjdiesz, najdroższy? Na pewno? - spytała.

- O ile pamiętam, zawsze dotrzymywałem danego słowa.

- Jednakże trzy dni nie raczyłeś się pokazać...

- To inna sprawa.

- Właśnie - wpadła mi w słowo. - O tych "innych" sprawach chciałabym z tobą dzisiaj pomówić. Po obiedzie pozbędę się staruszków i pozostaniemy sami. Wyjaśnimy wszelkie nieporozumienia i...

- I?

- I nie pożałujesz tego sam na sam - dokończyła z szelmowsko obiecującym uśmiechem.

Niespodziewanym ruchem przyciągnęła moją głowę ku swojej i wpiła swe silnie podmalowane wargi w moje usta. Oh Dolly umiała całować przedziwnie! Trapiłem się niejednokrotnie myślą, czy to wrodzony talent, czy może... rutyna, zdobyta bez mego współdziałania...

Kiedy nam obojgu tchu zaczynało brakować, oderwała swoje usteczka, uścisnęła mi wylewnie dłoń, pobiegła ku drzwiom i już z progu rzuciła zdyszonym głosem.

- To była zaliczka.

- W wysokości co najmniej 5% pełnej ceny? - spytałem z humorem.

- Nie... Zaledwie jeden procent! Dziewięćdziesiąt dziewięć dziś wieczorem...

To brzmiało nader zachęcająco i wpadłem w doskonały nastrój, który trochę zepsuł Dick swym kiepskim dowcipem. Mianowicie, kiedy pięć minut później zeszło się nas coś z ośmiu redaktorów w jego gabinecie, powiedział całkiem głośno.

- Skaleczyłeś się w wargę, mój panie zięciu.

Potem parsknął śmiechem, a za jego przykładem cała paczka. Ktoś podsunął mi usłużnie lusterko. Na moich wargach, ba, nawet na jednym policzku, widniały ślady czerwonego ołówka, jakim Dolly posługiwała się nazbyt często, aby swym nieco za szerokim ustom nadać kształt usteczek małej dziewczynki.

Obiad zjedliśmy we czworo, jak zwykle w strojach wieczorowych: panie w toaletach bez rękawów, Dick i ja w smokingach. Tematem rozmowy było oczywiście nasze małżeństwo...

- Osiem dni! - westchnęła staruszka drewnianym głosem. - Za osiem dni uprowadzi pan moją córkę, Mr Bronson, i pustym wyda się biednej matce to mieszkanie...

- A właśnie - podchwyciła Dolly. - Osiem dni zleci, nie wiedzieć jak, a ja dotychczas nie wiem, jaki będzie mój dom.

- Zapewniam cię, że się go nie powstydzisz. Poświęcam na ten cel 70000 dolarów, to ładna sumka, a po wtóre, mam dobry gust.

Co do owego "po wtóre" miałem duże zastrzeżenia, ale nie odezwałem się ani słowem. Mój Boże! Dick Campbell i dobry gust! Już choćby to jego mieszkanie, przeładowane zbieraniną bardzo kosztownych, lecz kłócących się nawzajem mebli, obrazów, dywanów, brązów, wątpliwych antyków, krzyczało głośno, że gospodarz ma smak świeżo upieczonego dorobkiewicza.

Mrs. Campbell zaczęła przekonywać córkę, patrząc równocześnie w moją stronę. (Widać przemowa była także zwrócona do mnie).

- Dolly, ojciec wie, co mówi. Natychmiast po uczcie weselnej wyjedziecie w podróż poślubną... Miami, Palm Beach, Dayton Beach...

- Eh - skrzywiła się moja przyszła żona. - Znam tam każdy zaułek. Wolałabym już Paryż.

- Paryż?! Dziecko kochane, czy chcesz nas narazić na plotki? Paryż był modny lat temu, no... pięć, powiedzmy...

- A Floryda dziesięć, dwadzieścia...

- Więc dokądbyś chciała? - wtrącił ojciec.

- Ile byś na to wyasygnował? - spytała praktyczna córka.

- Hm... Osiem?

- Co? Osiem tysięcy? To dobre dla córki twego prokurenta, ale...

- Dziesięć? - poprawił się Campbell, a jego żona dodała pojednawczo.

- W tym względzie dojdziemy do porozumienia. Mówmy raczej, jak długo ma trwać wasza podróż poślubna...

Dick zajrzał do notesu:

- Co najwyżej sześć tygodni. Ralph mi będzie później potrzebny w redakcji. Mam pewne plany co do...

- Nie jestem ciekawa - przecięła Dolly. - Sześć tygodni, hm, hm - (Doskonale naśladowała ojcowskie chrząkanie). - A czy w tym czasie mój dom będzie gotów?

Dyskusja na ten temat trwała dobrą godzinę. Stało wreszcie na tym, że wyjedziemy dokąd się nam spodoba, a Campbellowie zawiadomią nas telegraficznie, jak tylko mieszkanie będzie gotowe...

- A teraz nie zatrzymuję was, moi drodzy - rzekła energiczna jedynaczka po skończonym obiedzie. - Wypijcie sobie czarną kawę u siebie, ja zabieram Ralpha do moich apartamentów. Musimy się naradzić w kilku sprawach.

Dick Campbell, równie apodyktyczny jak jego latorośl, miał ochotę do dalszej wspólnej pogawędki, lecz matka stanęła po stronie córki.

Chwilę później szliśmy we dwoje do pokojów Dolly, trzymając się za ręce i całując się za każdym progiem.

Wszystkie pokoje były rzęsiście oświetlone, z wyjątkiem saloniku, który był celem naszej drogi.

- Tak będzie lepiej - rzekła Dolly, przekręcając klucz w zamku...

- Nowy abażur? - zauważyłem i wskazałem na pomarańczową chustę, spływającą nisko deszczem frędzli z kopuły olbrzymiego klosza lampy.

- Nowy, nienowyy... Uważałam, że do zrobienia nastroju taki kolor jest najodpowiedniejszy.

Więc moja narzeczona chciała "robić" nastrój. W tym zapewne celu ubrała się na dzisiejszy wieczór w nową, nieznaną mi dotychczas suknię, odznaczającą się bajecznie głębokim dekoltem. W tym celu przyciemniony pokój był przepojony wonią odurzających perfum, która w pierwszej chwili przypominała mi dawną: "Dans la nuit" Wortha z Rue de la Paix, ale zapach miała znacznie silniejszy od tamtej...

Dolly popchnęła mnie lekko w stronę kanapy, a sama usiadła w foteliku, który przysunęła

tak blisko, że nasze kolana dotykały się nawzajem...

XIII

- Mieliliśmy wyjaśnić przyczyny nieporozumienia - zagaiła po krótkiej chwili milczenia.

Udałem zdziwienie.

- Nieporozumienia?! Czy było jakieś?

- Ralph, nie bawmy się w zgadywanego. Miałeś przyjść do nas wczoraj, przedwczoraj i tak dalej, a tymczasem trzy pełne dni cię nie widziałam.

- A kiedy bawiłem ostatnio w Anglii, nie widziałaś mnie miesiąc...

- To co innego. Byłeś wówczas poza Nowym Jorkiem. Teraz zaś, o ile wiem, od tygodnia siedzisz tutaj kamieniem... Czy możesz mi więc wyjawić przyczyny swej trzydniowej niełaski?

Nim zdołałem coś odrzec, zabrała głos powtórnie.

- Milczysz? Sama je wyjawię wobec tego... Tak. Byłeś zazdrosny o Boba...

Wzruszyłem ramionami wzgardliwie...

- Miałbym też o kogo. Co mnie ten dureń może obchodzić!

- A zatem inny powód... Czy może w grę wchodzi... kobieta?

Czułem, że się kompromitująco czerwienię i błogosławiłem w duchu pomarańczowy abazur, który sprawił, iż w salonie panował dyskretny półmrok... Ale należało coś odpowiedzieć, zwłaszcza, że Dolly siedziała tak blisko, tuż naprzeciw i patrzyła mi w oczy uważnie, badawczo. - A niech tu już idzie na rachunek tego głuptasa - pomyślałem i rzekłem.

- Między nami nie powinno być tajemnic... Zgadłaś, honey. Straszna myśl, że Bob...

- Ah, ty dzieciaku! - zawołała i zerwawszy się z miejsca, usiadła mi na kolanach. - I tobie mogło choćby przejść przez myśl, że ja byłabym zdolna... Nie! Za to musisz być ukarany!

Kara była tak słodka, że opłaciło się stanowczo ponownie na nią zasłużyć.

- A jednak flirtowałaś z nim.

- Na złość tobie, darling. Chciałam się przekonać, jak na to zareagujesz... czy będziesz zazdrosny.

- Kokietowałaś go zawzięcie.

- To już bujna fantazja pana literata.

- Murarza, według określenia Dicka.

- Który jest literackim architektem i robi szkielety.

Wesoły, żartobliwy nastrój ogarnął nas szybko, nie mniej jednak postanowiłem skorzystać ze sposobności i pognać Boba ostatecznie...

- Darling - zacząłem - mam do ciebie bezwzględne zaufanie, ale z drugiej strony zapowiadam ci już dzisiaj, że temu panu wstęp do naszego domu będzie wzbroniony.

- I powiadasz, iż masz do mnie pełne zaufanie... Jak to pogodzić?

- Bardzo łatwo. Okazje prowadzą do grzechu... Dlaczego nazywa się was płcią słabszą?...

Nie, nie dlatego! - wtrąciłem, gdyż Dolly zgięła moją rękę w łokciu, dotknęła palcem naprężonych mięśni i porównała grubość ramienia mojego do swego. - Nazywa się was pcią słabszą przede wszystkim dlatego, że najcnotliwsza kobieta ulegnie w pewnych okolicznościach, podczas gdy całkiem przeciętny mężczyzna wyjdzie obronną ręką z analogicznej sytuacji.

Tu w dłuższym i mocno tendencyjnym przemówieniu wywiodłem, jak na dłoni, że jakkolwiek Dolly będzie niewątpliwie wzorem żon, to jednak przyjmowanie Boba może bez winy zachwiać gmachem naszego szczęścia małżeńskiego.

- Szkoda! - westchnęła, wysłuchawszy z uwagą mej oracji.

- Jak to?

- Nieprędko znajdę drugiego takiego tancerza i partnera w sportach.

- A ja? - spytałem, zdraśnięty nie tyle w ambicji tancerza, co sportsmena.

- Ty... to co innego. Po pierwsze, nie będziesz mi mógł poświęcić tyle wolnego czasu, ile może poświęcić taki dandys, który ma cały dzień wolny... Po drugie, mąż się nie liczy... Po trzecie... po trzecie... już sama nie wiem, ale to nie to samo...

Przekonywałem ją długo i wymownie. W końcu przyrzekła, że w czasie przyjęcia w dniu ślubu powie Bobowi "coś do słuchu", po czym odejdzie mu na zawsze ochota do dalszego asystowania jej.

- I nie będziesz się starała go zobaczyć więcej...

- Nie... Słowo daję!

Przypieczętowaliśmy zgodę serdecznym uściskiem dłoni i zaczęliśmy snuć plany podróży poślubnej. Omawialiśmy drobiazgowo, co będziemy robili o każdej porze dnia, począwszy od rannej gimnastyki i kąpeli, aż do nieodzownego dancingu wieczorem...

- A potem, darling? - spytałem stłumionym głosem i przylgnąłem wargami do jej obnażonego ramienia.

- Potem... ty mnie... rozbierzesz - odparła jeszcze ciszej - i ukołyszysz do snu, jak maleńkie baby...

- Nic więcej?

- Brzydal! - wyszeptła i przytuliła się do mnie tak mocno, że wyczułem torsem krągłość jej dziewiczych piersi. Zacząłem ją całować powoli, odrywałem wargi, nazywałem ją najbardziej pieszczotliwymi słowami, znów całowałem... najpierw twarz, usta, potem szyję, wysportowane, lecz idealnie utoczone ramiona i plecy, które głęboki dekolt obnażył niemal do pasa.

Pod ciepłym deszczem mych pocałunków wiła się, drżała, jak liść wstrząsany wiatrem, lecz związany z gałązką i niezdolny do odlotu, szeptała niewyraźnie jakieś słowa, jakąś podziękę za pieszczoty, których łaknęło chciwie jej młode, gorące ciało...

I we mnie krew się wzburzyła. Całowałem jej nabrzmiące od żądz usteczka do utraty

oddechu, ślizgałem się drżącymi dłońmi po smukłych nogach, po kolanach, wzdłuż łuków bioder, szalejąc z zachwytu nad posagowymi kształtami jej ciała.

To wszystko było moje, moją wyłączną własnością; a raczej miało nią być za długich osiem dni.

- Osiem dni męki! - jęknąłem zduszonym głosem.

Wargi Dolly poruszyły się leciuteńko, ociężałe powieki dźwignęły się w górę, zamglone oczy spojrzwały w stronę otwartych drzwi, wiodących do dalszych pokojów, do pobliskiej dziewczęcej sypialni.

- Co mówisz, skarbie - spytałem, nadstawiając ucha.

Znów wargi zatrzepotały, jak płatki róży na wietrze i spłynął z nich szept przyzwalający:

Jeśli chcesz, honey?

- Ja?

- Ja?... Mnie... wszystko jedno...

- Naprawdę?

- Wolałabym... dziś... nie... W snach dziewczęcych wyobrażałam sobie tę chwilę inaczej...

Inne tło... Podróż... szum fal szemrzących poza otwartym oknem... pęki wonnego kwiecia w kabinie... dalekie dźwięki grającej kapeli... - szeptała urywkami, głosem sennym, rozmarzonym, ale wbrew słowom modliło się jej ciało szybkim tętnem serca, żarem krwi i drżeniem wszystkich mięśni, bym ją zaniósł do sypialni i rzucił na łóżko, jak zdobycz... Czułem, że nie miałyby do mnie urazy... choć... chociaż cień żalu mógłby pozostać. Kobiety nie zdają sobie często sprawy, czego chcą, pragną, pożądają... jakże więc ktoś drugi może odgadnąć ich życzenia?...

A ja nie chciałem, aby najlżejszy cień padł na słoneczne szczęście naszego przyszłego pożycia...

Złożyłem bezwładną dziewczynę na kanapie, ucałowałem jej ręce i dla uspokojenia rozigranych nerwów zacząłem szybko przechadzać się po salonie...

Tak przeszło kilka minut, może kilkanaście.

- Ralph! - zabrzmiał jej głosik, już bardziej czysty, bardziej opanowany.

- Co, kochanie?

Kazała mi usiąść obok siebie, ujęła moje dłonie w swe gorące palce, uściśniła je mocno i powiedziała jakby wzruszona:

- Jakiś ty delikatny!... Jak... jak... - nie znalazła odpowiedniego porównania lub ja go nie dosłyszałem, gdyż uczułem dziwny skurcz serca. "Jakiś ty delikatny" wyszeptała Dolly. "Jaki pan delikatny", rzekła przedwcześniej Halina... I nagle wszystkie myśli pożeglowały ku tamtej. Choć nieobecna, zwyciężyła w okamgnieniu tę tutaj, którą przed chwilą całowałem, której pożądałem całym swym jestestwem, która miała zostać moją dozągonną towarzyszką...

Dziwne! Patrzyłem na rozchylone usta Dolly, pamiętałem posmak ich szalonych pocałunków, a przecież marzyły mi się tamte usta, zaciśnięte w rozpaczliwym wysiłku, by stłumić szloch, wydzierający się z piersi... Patrzyłem w półzamglone oczy mej narzeczonej, a przecież widziałem tylko tamte smutne oczęta... Ta była mi bliska, tamta daleka w dosłownym i przerośnym znaczeniu, a jednak piękna Polka była mi w tym momencie stokroć droższa, niż Dolly, niż wszystkie kobiety, jakie kiedykolwiek w życiu kochałem, ubóstwiałem, pieściłem...

- O czym my sweet heart rozmyśla?...

Głos Dolly wyrwał mnie z zadumy i przerwał tok refleksji...

- Pocałuj mnie, mój mężu.

Drgnąłem, albo mi się zdaje, że drgnąłem. Pochyliłem się posłusznie i musnąłem wargami policzek mej przyszłej małżonki.

- Oh... nie! - zaprotestowała, wyczuwszy chłód i obłudę tej pieśczoćy... - Chcę tak, jak przedtem...

Druga próba jeszcze gorzej wypadła... Bo czyż mogłem ją całować "tak, jak przedtem", skoro wzorzysty motyw chusty na lampie przybrał nagle kształt owalu twarzyczki tamtej? Nawet tęskne oczy tam były lub... stworzyła je moja wyobraźnia...

Serce kochającej kobiety jest najwrażliwszym barometrem. Od razu wyczuje "zmianę pogody", czy zbliżanie się "burzy"... Więc Dolly wlepiła we mnie badawcze spojrzenia swych oczu, a z jej ust zaczęły padać niespokojne pytania.

- Ralph... Co tobie?... Gniewasz się na mnie? Za co?... Przecież mogłeś, jeśli chciałeś... jeszcze możesz...

- Nie!... Nie! - przerwałem. Wypadło to bardziej szorstko, niż chciałem...

Usiadła, przytuliła się do mnie tak gwałtownie, że lewe ramiączko pękło i alabastrowa biel jednej piersi zabłysła tuż przed moimi oczyma... Nie zakryła jej... nie podniosła skraju opadającej sukni...

- Pieść mnie - prosiła łkającym głosem. - Całuj mnie, Ralph i zanieś... tam...

Była chwila wahania, chwila ciężkiej walki z potężną pokusą, lecz słabnącej woli przyszło z pomocą nowe wspomnienie słodkiej twarzyczki Haliny...

- Nie, Dolly - rzekłem łagodnie, ale stanowczo. Potem, aby jej uwagę zwrócić w inną stronę, zacząłem: - Teraz porozmawiajmy spokojnie... Chciałbym ci zadać kilka pytań...

- Dobrze... zadaj - rzuciła niechętnie i bezdźwięcznie.

- Czy, kiedy cię przedtem całowałem tak gorąco, wyczuwałaś, że mogłabyś się oprzeć mej prośbie? Odpowiedz szczerze, Dolly...

- Nie - odparła bez namysłu. - Choćbym w duszy nie chciała, musiałabym ci się oddać... Ale ja bynajmn...

- Pozwól - przerwałem. - Czy naprawdę nie zdobyłabyś się na taki wysiłek, aby mnie odepchnąć? Na przykład, gdybyśmy już byli małżeństwem, gdybyś miała do mnie żal o coś i pragnęłabyś sama pozostać w swej sypialni pewnej nocy...

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz... Oczywiście, że mogłabym ci drzwi zamknąć przed nosem, ale pod wpływem pieszczot wola słabnie i...

- Ciało... materia zwycięża ducha...

- Tak.

- Oto, do czego zmierzałem, Dolly... Ja przewyciężyłem się bez trudu (to było przesadą) - a ty nie byłabyś zdolna oprzeć się, nie potrafiłabyś nawet krzykiem wezwać pomocy...

- To prawda - skinęła główką i złote loki musnęły mi policzek drażniąco... - Nie potrafiłabym nawet krzyknąć... Ale w tej bezsilności jest właśnie największy urok. Czuję się beżmiernie słaba, wiem, że muszę ulec, lecz to przeświadczenie mnie nie przygnębia... Trochę się lękam, a przecież pragnę abyś mnie wziął, choćby siłą...

- A gdyby zamiast mnie tu był w tej chwili inny mężczyzna?...

- Nie... Nie!... Nigdy!...

- Na przykład Bob, którego lubisz... Gdyby cię nagle objął ramieniem, przycisnął do piersi, gdyby ustami nakrył twe usta...

Dla skontrolowania tego doświadczenia, każde z wyrzuconych słów poparłem czynem. Więc oplotłem rękami szczupłą kibić Dolly, przycisnąłem do mego boku, wpiłem się wargami w jej usteczka, a oderwawszy je wreszcie, mówiłem dalej w gorączkowym podnieceniu.

- Przymknij oczy, darling, abyś mnie nie widziała. Tak... Dobrze... Jesteś posłuszną dziewczynką... Zapomnij na chwilę o Ralphie. Tu siedzi Bob Kennedy... On! trzyma cię w objęciach słabą, bezbronną. Chciałabyś się wyrwać, lecz nie możesz... Czujesz, że twój opór zda się na nic, że ulegniesz... Musisz ulec... On jest silniejszy... Łakomymi wargami całuje twoje ramiona... szyję... o tak... Potem niżej... piersi...

Usiłowała mnie odpechnąć, ale był to wysiłek bardzo słaby. A kiedy dotknąłem ustami odsłoniętej piersi, ręce jej opadły wzdłuż korpusu, głowa pochyliła się wstecz bardzo nisko, a całe ciało zwisło mi bezwładnie przez ramię...

- Nie męcz... ty okrutny - wyszeptała zamierającym głosem. - Nie męcz... weź mnie!

- Oto, do czego zmierzałem, moja Dolly! - rzekłem sucho. - Oto, co miałem na myśli, nazywając was, kobiety płcią słabą... Nie oparłabyś się temu elegancikowi, ani żadnemu mężczyźnie... Eksperyment się udał niestety i w zupełności potwierdził moje obawy, co do twojej bierności...

Myślałem, że zaprzeczy, że obrazi się. Nic!... Pół leżała, pół siedziała na środku kanapy, z zamkniętymi szczelnie oczami, z obwisłymi ku podłodze rękami... Oddychała tylko ciężko,

nierówno. Gdyby nie ten szybki ruch falujących piersi, mógłbym sądzić, że zemdlą...

- Milczysz? - zasyczałem z wściekłością, gdyż niespodziewanie przypomniało mi się łacińskie zdanie: "Qui tacet, consentiri videtur..."

- Nie możesz zaprzeczyć... przyznajesz milcząco, że mam najzupełniejszą słusność... Tym lepiej, iż przyznajesz... Nie będziesz też mogła mieć do mnie żalu w przyszłości, że Bob Kennedy, ani jemu podobni, nie przekroczą nigdy progu naszego domu... Okazje prowadzą do grzechu, jak to już mówiłem... A teraz, żegnam cię, Dolly... Godzina już późna...

Nie ruszyła się, ani nie uniosła powiek. Jej ręka, którą musnąłem zdawkowym pocałunkiem narzeczeńskim wypuszczona z uścisków mych palców, opadła bezwładnie i zwisała, jak jej lewa siostrzyca...

Poprawiłem sobie w lustrze pokrzywioną muszkę, przekręciłem klucz w zamku i wyszedłem...

XIV

- Rewanżując się za przejażdżkę, zapraszam pana na obiad, o ile oczywiście ma pan dzisiejszy wieczór nie zajęty - rzekła Halina, kiedy po powrocie z dwugodzinnego spaceru zegnałem ją przed bramą domu nr 336 przy Amsterdam Avenue.

- O której godzinie mam się stawić? - spytałem, nie ukrywając radości.

- Powiedzmy o ósmej... Jest to trochę późno, lecz mam przedtem coś do załatwienia.

- Doskonale. Stawię się punktualnie o ósmej. Raz jeszcze dziękuję pani serdecznie, Miss Halino, że raczyła pani wziąć udział w dzisiejszej wycieczce. Te krótkie chwile pozostawiły mi po sobie niezatarte wspomnienia.

Pogroziła mi palcem, skinęła głową na pożegnanie i weszła do bramy.

Kwadrans później zatrzymałem auto przed gmachem "New York Morning News", a oddawszy je pod opiekę jednemu z redakcyjnych szoferów, wsiałem do ekspresowej windy, która zatrzymuje się tylko co dziesiąte piętro.

Dick Campbell przyszedł natychmiast do mego gabinetu, jak tylko usłyszał łoskot zatrzaśniętych drzwi.

- Jakie nowiny? - spytał.

- Nowiny?... Żadne. Czy oczekiwałeś jakichś?

- No pewnie. Przecież dostałem rano twoją kartkę...

- W której pisałem, że, mając do załatwienia kilka pilnych interesów, przyjdę do biura dopiero w południe.

Dick pokręcił głową i zrobił dość niewyraźną minę.

- Zapewne - bąknął. - Ponieważ jednak wziąłeś najlepsze auto redakcyjne, myślałem, że owe interesy dotyczą...

- Bardzo cię przepraszam - przerwałem mu urażony. - Na drugi raz wezmę taxi, lub wypożyczę sobie samochód z jakiegoś garażu.

- Z ciebie też obraźliki...

- Nie, ale wobec tak wyraźnej aluzji...

- "Time is money" - przerwał on z kolei i wskazał na tabliczkę, wiszącą nad biurkiem, głoszącą wielkimi literami tę ulubioną jego maksymę... - Czy mamy się kłócić już od rana?

- Pozwolę sobie zauważyć, że rano dawno minęło. Obecnie dochodzi pora lunchu. Wbrew zasadzie "time is money" straciłem pół dnia na załatwienie prywatnych interesów - wycodziłem z ironią. - Jeżeli mi już chcesz robić wymówki, to bądź ścisły w swych powiedzeniach...

Dick wzruszył tylko ramionami. Zapaliwszy nieodstępną fajeczkę ruszył w stronę drzwi swego gabinetu, lecz w progu zatrzymał się nagle:

- Byłbym zapomniał - rzekł. - Był tu interesant...

- Do mnie?

- Tak.

- Kto taki?

- Jakiś profesor...

- Czy nie Edgar Scott?

- Właśnie. Nazywał się Scott.

- A szkoda, że mnie nie zastał!...

- On także bardzo żałował, tym więcej, że wyjeżdża dziś do Kanady...

- Tam do licha!... To prawdziwy pech... Jadę do niego natychmiast... A prawda... Już pół dnia straciłem na załatwienie...

- Przestaniesz już raz?...

- Więc nie masz nic przeciwko temu, abym przedłużył dotychczasowy urlop o dalszą godzinę?...

- Schowaj tę zjadliwą ironię, bo ci z nią nie do twarzy. Dolly rozmyśliłaby się, gdyby cię tak teraz ujrziała...

- Dobrze, dobrze...

- Stój, nie bądź w gorącej wodzie kąpany... Zanim pójdziesz, przeczytaj przynajmniej list, jaki ci ten profesor Scott zostawił...

- Zostawił list? Czemu od razu nie mówiłeś...

- Boś mnie nie dopuścił do głosu...

- Gdzie ten list?

- Zaraz ci przyniosę... Pisał go u mnie...

Z angielską flegmą pomaszzerował do swego gabinetu i z podobnym pośpiechem powrócił za chwilę, niosąc firmową kopertę redakcyjną, przez którą przeświecała kartka papieru, oddarta z bloczka...

- Masz... Czytaj.

- Dziękuję za łaskawe przyzwolenie - odciąłem już bez ironii, ale żartobliwie. Potem rozerwałem kopertę i pośpiesznie przebiegłem rzędki niewyraźnego pisma. Edgar Scott był tym razem mniej zwięzły, niż w pierwszym liście, jaki kilka dni temu od niego otrzymałem:

“Z opisu gospodyni mego przyjaciela Stanleya wnioskuje, że to Pan o mnie zapytywał. Żałuję niezmiernie, że nie mogliśmy się zobaczyć. A szkoda! Byłby się Pan dowiedział ciekawych rzeczy. Teraz musi Pan czekać całe dwa tygodnie, aż wrócę z Kanady. Wyjeżdżam dzisiaj o dwunastej piętnaście. Jeśli Pan zdaży, proszę przyjść do mnie przed dwunastą. Odwiezie mnie Pan na dworzec i pogadamy po drodze. Na wypadek, gdybyśmy się mieli już nie zobaczyć, notuję następującą prośbę: Vollar startuje pojutrze (wiem z dzienników) o szóstej po południu. Nie znam

żadnego z tej trójki lotników, ale Pan jako dziennikarz, pędź do nich trafi. Niechaj zmienia godzinę odlotu, jeśli im miłe życie. Odlot w godzinach popołudniowych, to pewna śmierć! Najbezpieczniej startować zaraz po wschodzie słońca. Proszę zapamiętać i ostrzec tamtych, nie wyjawiając nikomu, że ja jestem autorem tego ostrzeżenia. Nie chcę się narazić na kpiny idiotów. Mam nadzieję, że obecna moja wycieczka pozwoli mi wyjaśnić publicznie zagadkę tragicznie zakończonych przelotów nad obydwoma oceanami... Raz jeszcze zaznaczam, iż odlot w godz. popołudniowych to niechybna śmierć!

Do zobaczenia za dwa tygodnie lub trochę później. Proszę przyjąć mocny uścisk dłoni od oddanego E. Scotta.”

- No? - zagadnął Dick, widząc że ukończyłem czytanie, że spojrzałem na zegarek i wykonałem gest pełnego rezygnacji zniechęcenia...

- Za późno... Dochodzi wpół do pierwszej...

- Ściśle mówiąc, jest dwunasta minut trzydzieści jeden. Twój zegarek znowu się spóźnia.

- Tak, tak - potwierdziłem w roztargnieniu. - Za późno... Edgar Scott już jest w drodze...

Złożyłem list na biurku, podszedłem do okna, oparłem czoło o chłodną szybę i zamyśliłem się głęboko... Cóż mogły znaczyć te zagadkowe słowa... “Odlot w godzinach popołudniowych to pewna śmierć”... albo drugie zdanie: “Najbezpieczniej startować zaraz po wschodzie słońca”. Profesor Scott miał widocznie na myśli, że należy się wystrzegać odlotu przed nocą. Dziwnie! Przecież lot nad Atlantykiem trwa około trzydziestu godzin, więc i tak jedną noc muszą lotnicy spędzić w powietrzu. A jeśli tak, to raczej pierwszy etap niebezpiecznej podróży poświęcić na lot nocny, póki nerwy wypoczęte, nie wyczerpane...

Hm. Gdybym nie znał Scotta tak dobrze, jak go rzeczywiście od lat znałem, gdybym nie wiedział, że jest człowiekiem bardzo poważnym i nigdy słów na wiatr nie rzuca, byłbym skłonny całe to niezrozumiałe ostrzeżenie poczytać za głupi żart...

- Co on pisze?! - wykrzyknął Dick, który bez ceremonii przeczytał w międzyczasie porzucony na biurku list znakomitego zoologa.

Wstrzymałem się od słusznej uwagi, że nie przypominam sobie, abym go upoważnił do zapoznania się z treścią tego pisma, a odpowiadając na jego pytanie, rzekłem.

- Wiem tylko tyle, co ty. Edgar Scott prosi, bym przestrzegł Vollara i doradził mu, ażeby startował raczej ranną porą.

- Ale dlaczego, dlaczego?

- To wie jeden Scott, a ponieważ niestety wyjechał...

- Posłuchasz jego rady, oczywiście... - przerwał mi.

- Ani mi się śni. Vollar spojrzałby na mnie jak na wariata lub w najlepszym razie spytałby o przyczyny, dla których powinien zmienić z dawna zapowiedzianą godzinę odlotu...

- Hm, hm... Więc mnie to pozostaw... Ja ich ostrzeżę...

- Doskonale. Będę ci niewymownie wdzięczny.

- All right... Zrobione.

- Tylko nie zapomnij o zastrzeżeniu profesora.

- Jakim mianowicie?

- Że nikt nie ma się dowiedzieć, iż on jest właściwym autorem tej niezrozumiałej rady.

- No, oczywiście. Jest mi to właśnie bardzo na rękę, że Edgar Scott rezygnuje z praw autorskich. He, he, he, he! Zdębiejesz, kiedy jutro zobaczysz mój artykuł wstępny o lotnictwie...

- O lotnictwie?... Ty chcesz o tym pisać?!...

- Nic się nie bój... Aha, jeszcze jedno. Nowelkę puszcę także w jutrzejszym numerze.

- W sobotnim? - zainteresowałem się, zapominając od razu o profesorze i jego liście. Sobotni numer "New York Morning News" był najobszerniejszy i miał nakład dwa razy większy, niż w każdy inny dzień tygodnia.

- Tak, w sobotnim... Myślę, że jesteś zadowolony. Skrypt odesłałem na dół, do drukarni jeszcze rano. Czekaj, zapytam, jak są daleko z tą robotą.

Podszedł do telefonu i kazał się połączyć z oddziałem linotypów. Rozmowa trwała krótko, zaledwie trzy zdania, gdyż Dick tylko w stosunku do mnie pozwalał sobie na gadulstwo; z resztą był bardzo zwięzły, czy raczej silił się na przesadną zwięzłość. Otrzymałszy od kierownika drukarni odpowiedź, że skład noweli będzie gotowy za dwie godziny, odłożył słuchawkę i poklepał mnie po ramieniu:

- Dziś wieczór puścimy świetlną reklamę na dachu naszego budynku tej treści: "Zagadka katastrofy samolotu N. N. wyjaśniona. Czytajcie sobotni numer N. Y. Morning News"... albo coś w tym rodzaju. He, he, he, he... Nasz wieżowiec wystrzela ponad inne drapacze chmur. Ćwierć Nowego Jorku przeczyta te słowa, a konkurenci dostaną żółtaczkę z zazdrości.

Dick wpadł w szczerzy zapał. Pykając niezmordowanie swą fajeczkę, chodził wielkimi krokami po gabinecie i obwieszczał co chwilę coraz to nowe pomysły. Chcąc się go pozbyć, zacząłem zerkać ku tabliczce z napisem: "Time is money"... Skutek tej niby mimowolnej demonstracji był nadzwyczajny. Dick stanął jak wryty, strzelił palcami i huknął:

- A teraz, do roboty!... Jesteś bardzo zajęty?

- Dostyc - zastrzegłem się przezornie.

- Tylko dostyc. Ja natomiast bardzo. Wobec tego dopilnujesz, aby mi natychmiast przyniesiono roczniki naszego pisma poczynszy... poczynszy od przelotu Lindbergha...

- Lindbergha?

- Właśnie... Tylko jak najszybciej.

- To do twego artykułu o lotnictwie?

- Zobaczysz jutro i zdębiejesz... zdębiejesz!...

- Słowem... chcesz zrobić konkurencję noweli...

- Konkurencję? Nie! Chcę tylko zwrócić na nią uwagę wszystkich, nawet tych czytelników, którzy z reguły nie lubią tracić cennego czasu na czytanie podobnych bzdur, jak utwory literackie.

Tak więc Dick Campbell zapomniał bardzo szybko, że jeszcze wczoraj przyznawał się do współautorstwa “naszej” noweli, że pysznił się tym wobec córki i żony, a znieważywszy w mej osobie wszystkich Bogu ducha winnych literatów, wyszedł z czupurną miną z gabinetu...

XV

Przybyłem do mieszkania Haliny pięć minut przed ósmą.

- Panienska powinna nadejść lada chwila - zapewniła stara Anna, prowadząc mnie do dobrze znajomego saloniku. Podreptała potem ku drzwiom i wyszła, lecz po chwili wróciła znowu: - Gdyby się panu dłużyło, to proszę sobie wziąć coś do czytania. Tam, obok, w pracowni panienski znajdzie pan gazety i książki. Ja muszę iść dopilnować gotowania.

Końcowa uwaga rozśmieszyła mnie. Pocziwa Murzynka usprawiedliwiała się niejako, że nie może z powodu swych zajęć zabawić gościa rozmową.

- Kapitalny okaz! - mruknąłem, zapalając papierosa.

Nagle przypomniałem sobie jedno zdanie: "Tam, obok, w pracowni panienski". Więc tam jest jej pracownia. Jej! Haliny! Na myśl o tym uczułem, że serce mi bije szybciej. Trójka Ralphów, mieszkających w mej cielesnej powłoce w przykładowej zgodzie, podzieliła się natychmiast na trzy stronnictwa... "Do dzieła!"... komenderował przedsiębiorczy redaktor: "Zobacz, jakie dzienniki abonuje, jakie książki czyta. Z pewnością znajdziesz coś ciekawego". Ralph_ten trzeci podzielał ten pogląd: "Poznasz jej upodobania, jej ulubioną lekturę" mówił, lecz Ralph_gentleman warknął oburzony: "Z wizytą tu przyszedłeś, czy na przeszeptę?". Został oczywiście przegłosowany, a wobec trafnej uwagi redaktora, że służąca Anna upoważniła gościa do przekroczenia progu sąsiedniego pokoju, rad nie rad powędrował z tamtymi do pracowni...

Pracownia Haliny!...

Był to właśnie pokój męski, prawdopodobnie gabinet zmarłego ojca pięknej Polki, lecz sposób rozstawienia mebli, obecność licznych wazonów z kwiatami i wiele drobnych na pozór szczegółów świadczyło, iż przebywa tu stale kobieta, a nie mężczyzna.

Uwagę moją przykuła przede wszystkim olbrzymia szafa z książkami, zajmująca niemal pół ściany i stojąca z tyłu, za dużym, dębowym biurkiem. Złote napisy na grzbietach oprawionych w płótno lub w skórę książek, wymieniały mi nazwiska autorów, nazwiska przeważnie słowiańskie, trudne do spamiętania, wśród których znalazłem dwóch polskich laureatów Nobla, Sienkiewicza i Reymonta. Dość dużą grupę stanowiły książki francuskie, wreszcie "last not least", angielskie.

Stamtąd wzrok mój miał już bardzo niedaleko do biurka. Rzuciły się w oczy trzy duże, gabinetowe fotografie, oprawione w gustowne ramki...

- Jej rodzice i Walter Ashley - odgadłem bez trudu, gdyż Ashleya znałem dobrze z licznych reprodukcji w naszych "N. Y. Morning News" oraz w innych czasopismach, a rysy twarzy Haliny, które miałem bardzo wryte w pamięć, były tak ładząco podobne do fotografii, jaką właśnie oglądałem, że nie wątpiłem, iż ta starsza pani, w niemodnej dziś sukni, to matka Haliny. Ten sam uśmiech, pełen melancholijnej słodyczy, ta sama chwytająca za serce nieśmiałość w wielkich marzących oczach. Znacznie mniej podobieństwa zachodziło natomiast pomiędzy ojcem a córką.

Jedynie może pięknie wykrojone usta oraz wysokie czoło, przypominały dziewczynę, ale gdybym fotografię tego łysawego pana spotkał gdzie indziej, nie na tym właśnie biurku, nie domyśliłbym się z pewnością, kogo ona przedstawia.

Nagle drgnąłem. Spuszczając wzrok niżej, ujrzałem elegancki brulion, otworzony, przyciśnięty suszką, spod której wystawał pierwszy rząd dużego, zamaszystego pisma. Przeczytałem wbrew woli, zanim zdołałem sobie zdać sprawę z nietaktu, jaki popełniłem:

“ma przyjść o ósmej. Sprawia mi to”

Uczułem zawrót głowy. “Ma przyjść o ósmej”... Ależ to ja! To się do mnie odnosi niewątpliwie. Więc zostałem uwieczniony w pamiętniku, czy dzienniczku pięknej Haliny. “Miałaby o kim pisać”, szydził gentleman: “Na pewno o Ashleyu mowa, a ty będziesz skończonym łajdakiem, jeśli się ośmielisz”. Sam mu podał tę myśl. Nie byłbym się ośmielił z pewnością. Ralph_redaktor wykluczył możliwość utrzymania hipotezy sceptycznego gentlemana. Prawa strona była czysta, lśniła niepokalaną bielą, więc jej lewa siostra, nakryta ciężkim kolebaczem, była ostatnią zapisaną stronicą, a zatem zawierała najświeższe, może dzisiejsze notatki. Oczywiście, że dzisiejsze. Wczoraj nie widziałem Haliny i dzisiaj dopiero, po niezapomnianej przejażdżce autem, zaprosiła mnie na wieczorny obiad.

Walczyłem z sobą ciężko. Redaktor, pozbawiony wszelkich skrupułów, radził, by skorzystać z nieobecności autorki pamiętnika i przeczytać, ile się da. Gentleman sapał z oburzenia, a Ralph - ten trzeci poszedł na kompromis: “Zerknąć tylko na ostatnią stronę. Napisała przecie: “Sprawia mi to”. Należy się przekonać, czy jej to radość sprawia, czy przykrość. Jeśli to drugie, lepiej się cofnąć zawczasu i nie narzucać się, jak dotychczas. Radość lub przykrość! Trzeciego rozwiązania nie znam... Więc...”

Zdawało mi się, że słyszę odległy dźwięk dzwonka. Nie!... To było przywidzenie. Rzuciłem niespokojne spojrzenie ku otwartym drzwiom saloniku. Wyobraziłem sobie nagle, że podobne chwile lęku musi przeżywać złodziej na pierwszej swej wyprawie... “Długo się jeszcze będziesz namyślał?” szyderczo zapytał redaktor, gentleman dorzucił wcale nie gentelmański epitet: “Świnia?” i drżącą ręką uniosłem suszkę...

Czytałem jednym tchem, z wznoszącym wzruszeniem, z rosnącą ciekawością:

“ma przyjść o ósmej. Sprawia mi to wielką radość. Nie wiem, czym to tłumaczyć. Chyba tym, że jego ogromna delikatność przypomina mi ludzko-subtelną naturę Waltera...”

Te zwierzenia nie są przeznaczone dla nikogo. Są moją wyłączną własnością, a wobec siebie muszę być szczerą. Więc muszę przyznać, że każda rozmowa z Ralphem B. przynosi dużą ulgę memu smutkowi. Z lękiem czekam godziny rozstania, gdyż wiem, iż, skoro on odejdzie, będę znów sama, opuszczona, zdana na pastwę nie tyle bólu, co tych myśli przeklętych.

Oh, cóżbym dała za to, żebyśmy mogła mieć pewność, iż katastrofę “Victorii”, spowodował

defekt motoru albo burza. Niestety! Krew na śmigle, odpryski kości, ślady mózgu, wszystko to świadczy, że ten zbrodniarz zamordował mego Waltera i zatopił samolot. Chciał zatrzeć ślady ohydneho czynu...

A jeśli dotrzymał słowa? Jeśli powiedział Walterowi przed śmiercią, że ja jestem przyczyną, mimowolną przy..."

- Ah! - zabrzmiał głośny okrzyk...

Przeżony, wstrząśnięty do głębi, wypuściłem trzymany brulion na podłogę.

W drzwiach, wiodących do przyległego saloniku, stała Halina i mierzyła mnie wzrokiem zimnym, niemal wzdurliwym...

Myślałem, że się spalę ze wstydu. Oh, gdybym mógł się zapaść pod ziemię w tym momencie!... Byłem zdemaskowany, schwytany na gorącym uczynku zuchwałej ciekawości, bezczelnego wdzierania się w tajniki cudzego serca... "Te zwierzenia nie są przeznaczone dla nikogo"... brzmiało mi w uszach, a dalsze wiersze ostatniej zapisanej stronicy nieszczęsnego pamiętnika były wymownym potwierdzeniem uwagi, że owe słowa są wyłączną własnością ich autorki... "dobrze ci tak! W jej oczach nie różnisz się teraz w niczym od zwykłego złodziejaska, przyłapanego in flagranti... A kiedy gentleman szydził ze mnie bezlitośnie, Ralph_redaktor i ten trzeci zły duch nie znaleźli ani słowa na moją obronę. Milczeli jak zakłęci..."

Halina postąpiła krok naprzód...

- Przeszkodziłam panu, Mr. Bronson - wycodziła z wyraźną ironią.

Z posepnie zwieszoną na piersi głową czekałem na dalsze wyrzuty lub na zasłużony w zupełności gest: wskazania mi drzwi. Byłem zmieszany do ostatnich granic... Nie!... To za słabe określenie. Byłem zmiażdżony, zdeptany, jak nędzny robak...

Nie odrywając wzroku od podłogi, zacząłem mówić chrapliwym, nie swoim głosem:

- Proszę mnie zechcieć wysłuchać. Przyznaję - uciąłem nagle. Nie byłem w stanie wykrztusić więcej z zaschniętego gardła. Uważałem, że całe tłumaczenie nie ma najmniejszego sensu, że nie umniejsza mojej winy, a przeciwnie pogorszyć może sytuację... Lecz chciałem się bronić za wszelką cenę. Drżałem na myśl o zerwaniu, które wobec tego, co zaszło, było bardzo prawdopodobne...

- Miss Halina!... - zacząłem z nerwowym pośpiechem. - Na pamięć moich rodziców klęę się, co powiem, będzie szczerą prawdą! Niech mnie pani nie potępia, nie wysłuchawszy najpierw... Ja proszę... błagam... przysięgam! bełkotałem coraz szybciej, widząc jej ruch zniecierpliwienia...

Przedstawiłem drobiazgowo genezę popełnionego nietaktu, odmalowałem barwnie przebieg walki, jaką stoczyłem z samym sobą na widok przeczytanego mimowolnie pierwszego wiersza, a zwykła swada dziennikarska, przytomność umysłu i łatwość koloryzowania powracały mi z każdą sekundą.

- Miss Halino - mówiłem, przejąwszy się swymi słowami: - Proszę mi wierzyć, że gdybym był zobaczył każde inne zdanie, nie ośmieliłbym się nigdy na podobny występ. Co mówię... Na podobną bezczelność!... Ale gdy przeczytałem: "Ma przyjść o ósmej. Sprawia mi to"... gdy to przeczytałem, nie mogłem się oprzeć wewnętrznemu nakazowi, by zajrzeć na dalsze wiersze. Zrodziło się we mnie podejrzenie, że zakończeniem tego zdania będzie słowo: przykrość. Na tę myśl zadrżałem przerażony. Niech pani zrozumie, że nie mogłem zostać w niepewności...

- Przypuśćmy - wtrąciła z dość łaskawym uśmiechem.

- Przysięgam! - dodałem skwapliwie.

- Chcę wierzyć, ale czy poprzestał pan na przeczytaniu do końca tylko owego zdania, czy też...

Uderzyłem się w piersi i niepewnym głosem przyznałem, że rozpędziwszy się, przeczytałem także kilka zdań następnych.

- Dokąd mianowicie?

Podniosłem leżący na ziemi brulion i pokazałem uczciwie, zgodnie z prawdą, do którego miejsca zdołałem się zapoznać z treścią pamiętnika.

- Rozpęd był duży, rzeczywiście - rzekła, a przyjrząwszy się z bliska, zmarszczyła brwi: - Więc aż dotąd?... To źle!... To bardzo niedobrze!... Czy poprzednie kartki także pan przeglądał?

Zapewniłem ją uroczyście, że nie. Nastąpiła dłuższa chwila uciążliwego milczenia, które przerwał wreszcie głos Murzynki:

- Obiad gotowy. Proszę państwa do stołu...

Halina ocknęła się z zadumy...

- Przejdziemy do jadalni - rzekła, kiedy Anna zniknęła za drzwiami.

- Miss Halina! - zawołałem, a rozpaczliwa prośba dźwięczała w moim głosie: - Nie potrafię nic przełknąć, dopóki nie będę miał pewności, że pani się nie gniewa... Zgrzeszyłem, przyznaję, lecz błagam o jedno litościwe spojrzenie, o jeden uścisk dłoni... Pani się ze mną nawet nie przywitała tego wieczoru... Proszę powiedzieć, czy będę mógł sobie w jakikolwiek sposób zasłużyć na jej przebaczenie...

- Już panu przebaczyłam - rzekła z prostotą. Żadne dalsze dąsy czy kwasy nie zmienią w niczym tego, co się stało. Ale konsekwencje będzie pan musiał ponieść do końca. W myśli wydałam już wyrok.

- Przyjmuję go bez zastrzeżeń i zrzekam się odwołania.

- Przypomnę to panu po obiedzie.

- A teraz jeden uścisk dłoni, Miss Halina...

Pochwyciłem jej wyciągniętą rękę, przyłgnałem do niej ustami i całowałem raz za razem, zapewniając wzruszonym głosem o swej głębokiej wdzięczności za jej dobroć...

Pogodzeni, uśmiechnięci, przeszliśmy do jadalni, gdzie stara Anna kończyła właśnie gderliwy monolog na temat guzdralstwa młodych ludzi i o wynikających stąd kłopotach szanującej się kucharki.

XVI

- A teraz - zaczęła Halina, kiedy po skończonym obiedzie znaleźliśmy się w saloniku na “naszej” kanapce - nastąpi ogłoszenie wyroku skruszonemu winowajcy.

- Słucham - odparłem cicho i trochę niepewnie, gdyż sądziłem, że nie będzie już o tym mowy.

- Skazałam pana na wysłuchanie długiej historii.

- Doskonale! - zawołałem, ucieszony z takiego obrotu rzeczy. Ralph_gentleman syknął wprawdzie, że: “ten łajdak zasłużył sobie na inne traktowanie”, lecz umilkł natychmiast udobruchany, kiedy tamci dwaj przystali z zapalem na jego definicję, iż “Miss Halina jest aniołem dobroci, a kto by w to wątpił, zostanie znokautowany”.

- Przede wszystkim jednak - ciągnęła urocza gospodyni - zaręczy mi pan słowem gentlemana, że to wszystko, co powiem, pozostanie absolutną tajemnicą dla osób trzecich...

- Jak pani może w to wątpić!

- Zastrzegam się nie tylko dlatego, że większość mężczyzn odznacza się zamiłowaniem do plotkarstwa, nie ustępującego w niczym osławionemu plotkarstwu kobiet, lecz przede wszystkim dlatego, że jest pan dziennikarzem, trochę, o ile wiem, literatem i zasłyszana ode mnie historia mogłaby się odbić mimowolnym echem w jakimś pańskim utworze. Taka przypadkowa analogia jest zupełnie zrozumiała...

- Nazywamy to po prostu plagiatem...

- Mniejsza o nazwę... Otóż pytam teraz, czy może mi pan zaręczyć słowem...

- Ma pani moje słowo - przerwałem jej szybko.

- Wierzę panu i dziękuję. Z kolei muszę wyjaśnić, dlaczego obarczam pana udziałem w mej tajemnicy. Nie byłabym tego uczyniła na pewno, gdyby nie pańska ciekawość, czy “przymus wewnętrzny”, jak to pan grzecznie nazwał. Czytając urywek mego dzienniczka, uchylił pan rąbek owej tajemnicy, ale tylko rąbek, nie przeniknął pan zagadki, a co gorsza, na podstawie tych kilku przeczytanych zdań mógł pan sobie wyrobić najbardziej fałszywe w świecie wyobrażenie o mnie lub o Walterze. Mniejsza o mnie, lecz nie ścierpiałabym, aby najlżejszy cień padł na pamięć mojego narzeczonego... Z tych właśnie powodów skazałam pana na wysłuchanie długiego opowiadania...

Umilkła na dłuższą chwilę i poprosiła o papierosa.

- Zasadniczo nie palę, ale czuję, że nikotyna dobrze mi zrobi na nerwy - wyjaśniła, kiedy wyraziłem zdziwienie, że chce zapalić. Nigdy tego nie czyniła dotychczas...

Uważając, iż wypada coś rzec z mej strony, przemówiłem.

- Zagadkowe słowa w ostatnich zdaniach, jakie przeczytałem bezprawnie, zaintrygowały mnie, przyznaję, ale nigdy nie przyszłoby mi na myśl przypisywać jakąkolwiek winę takiemu aniołowi, jak pani... Doceniam też w zupełności zaufanie, jakim mnie pani obdarza i proszę mi

wierzyć, będę się starał go nie zawieść. Niech pani nie sądzi, że opowiadając mi historię tych wypadków, uchyli pani zamkniętą dotychczas furtkę tej tajemnicy... O, nie. Przeciwnie! Tej tajemnicy strzec będzie teraz oprócz pani gentleman, mężczyzna oddany pani człowiek, gotowy do wszelkich poświęceń. On stoi na straży, Miss Halina, a honor swój składa jako porękę wiernej służby!

Znowu zapanowało milczenie, w czasie którego przyszły do głosu refleksje. Ralph_gentleman nie omieszkiał wtrącić szyderstwa: "Patos, autoreklama i stek idiotyzmów", szepnął redaktorowi, który z właściwą sobie perfidią zepchnął winę na tego trzeciego: "Co się mnie czepiasz?" mruknął.

Halina zdusiła nie dokończony papierosa w popielniczce, poprawiła abażur na lampie i przyciszonym głosem zaczęła opowiadać.

- Jak panu dobrze wiadomo, uczestnikiem wszystkich większych lotów Waltera był Włoch, Giovanni Martini. Mój narzeczony przedstawił mi go i przyprowadził go tu z sobą coś dwa lub trzy razy, lecz widywałam go dość często na ulicy. Dziwnym zbiegiem okoliczności (jak przypuszczałam początkowo) spotykałam Martiniego niemal codziennie na Amsterdam Avenue, tuż koło bramy tej kamienicy. Odkłaniał mi się z przesadną uprzejmością, ale nigdy nie podszedł do mnie i nie zagadnął. Przyśpieszał kroku, mijał mnie i znikał z oczu w tłumie przechodniów.

Toteż nasza znajomość była bardzo powierzchowna, że tak powiem, i dopiero w czasie pewnej wycieczki miałam sposobność poznać tego człowieka bliżej. W owej wycieczce samochodowej wzięła udział garstka lotników, kolegów Waltera, ich żony, narzeczone czy przyjaciółki, nie wiem; nikt tam metryk ślubu nie badał.

Lunch zjedliśmy na jakiejś ślicznej leśnej polanie, potem zaczęła się zabawa w chowanego, w ślepą babkę i tym podobne igraszki. Martini asystował mi stale, aż do znudzenia. Zniecierpliwiło mnie to w końcu, lecz skoro ujrzałam, że Walter flirtuje z jedną mężatką z naszego towarzystwa, rozpoczęłam z przekory, czy dla zabicia czasu, kokietować mego adoratora. Był wniebowzięty, a kiedy w czasie gonitwy po lesie znaleźliśmy się sam na sam przez kilka minut, wyznał mi swą miłość...

Parsknęłam śmiechem oczywiście. Oh, dawno tak się nie uśmieiałam, jak wówczas, ale w pewnym momencie prysła moja wesołość, jak bańka mydlana. Rozanielona twarz Włocha zmieniła się nie do poznania. Był na ogół bardzo przystojnym mężczyzną, ale w owej chwili wydał mi się odrażająco brzydkim. Rysy skurczyły się w grymasie obrażonej dumy, gniewu, prawie nienawiści, oczy błyszczały złowrogo, a wargi rozchyliły się, ukazując zaciśnięte, wspaniałe zęby. Podobnie wygląda zły pies, podrażniony kijem psotnego wyrostka i gotujący się do wściekłego ataku.

- Co się panu stało? - wyszeptałam przerażoną tą zmianą humoru i wyglądu. - Co pana upoważniło do takiego zachowania się i tych wynurzeń? - dodałam, ochłonawszy trochę.

- Pani mnie upoważniła! - zasyczał, chwytając obie moje ręce. - Pani dziesiętsze

postępowanie ze mną... Kocham panią do szaleństwa!...

Posłyszałam chrzęst krzaków w pobliżu. Dodało mi to odwagi, choć z drugiej strony zaniechałam kpin, nie chcąc pełnego temperamentu południowca doprowadzać do ostateczności...

- Jeśli moje postępowanie wprowadziło pana w błąd, przepraszam za to stokrotnie - zaczęłam, siląc się by nadać głosowi brzmienie możliwie najbardziej łagodne i miękkie. - Jest mi ogromnie przykro, ale i pan, Mr. Martini, mówił pod wpływem chwilowego nastroju. Tak, tak, proszę się przyznać. Wszyscyśmy dziś przekroczyli ustawę prohibicyjną, szumi nam w głowach, a potem to tło romantyczne po szarych kulisach kamienic, kominów fabrycznych, brudnych doków portowych, to sam na sam, które nam właśnie ktoś zakłócić zamierza...

Jakoż, ledwie dopowiedziałam te słowa, nadbiegało dwóch lotników i dwie panie z naszego grona... Wracaliśmy na polanę w zwiększonym komplecie. Postanowiłam unikać podobnych sytuacji jak ta, pamiętna. A jednak kochliwy Włoch zdołał mi szepnąć po drodze:

- Przy najbliższej sposobności przekonam panią, że nie działałem dziś bynajmniej pod wpływem chwilowego nastroju. Kocham panią od dawna. Bogu tylko wiadomo, ile godzin spędziłem, przed kamienicą, gdzie ty mieszkasz czekając, rychło ujrzę w oknie twą słodką twarzyczkę, rychło cię zobaczę, wychodzącą z bramy, gdy śpieszysz na spotkanie z nim!

Przyśpieszyłam kroku, lękając się, że padną jakieś słowa o Walterze, słowa, których nie mogłabym ścierpieć...

Od owego weekendu przeszły dwa miesiące z górą. Walter przygotowywał się do swego największego i ostatniego zarazem lotu. Martiniego spotykałam dość często na ulicy, lecz nie rozmawiałam nigdy, a kiedy się pewnego razu domyśliłam, że chce do mnie podejść, wskoczyłam bez namysłu do pierwszej z brzegu taksówki i uciekłam mu.

Walterowi nie wspominałam oczywiście o tym, co zaszło pomiędzy mną a jego przyjacielem... oh, "przyjacielem"!

Tymczasem dzień odlotu zbliżał się szybko. Walter wpadał do mnie coraz rzadziej, zajęty swoją "Victorią". Kiedy mu czyniłam wyrzuty, że mnie zaniedbuje, przyrzekł, iż ostatni wieczór spędzi ze mną...

- Martini prosił, bym go ze sobą zabrał - rzekł, witając się w przedpokoju. - Czekałem całe pięć minut, ale sprzykrzyło mi się w końcu. On przyjdzie zapewne. Chciał się z tobą pożegnać...

Skrzywiłam się i nie tałam swego niezadowolenia.

- Musimy się go szybko pozbyć - odparłam. - Ten wieczór należy wyłącznie do ciebie, Walterze, i nie chcę, by nam ktoś przeszkadzał...

Świadomość, że tamten ma nadejść lada chwila, zepsuła mi zupełnie humor. Ale po godzinie zapomniałam o nim. Nie przyszedł. Nie przeszkodził nam w ostatniej, niezapomnianej, póki życia, pogawędce, tu, w tym saloniku. O wpół do dwunastej Walter wyszedł. Nie upłynęło ani pięć minut,

kiedy zadzwieczał dzwonek...

- Oho, zły znak - mruknęła Anna. - Nasz pan czegoś zapomniał i wraca...

Ja sama pobiegłam otworzyć i cofnęłam się zaskoczona niemile. Przedemną stał Giovanni Martini...

- Przyszedłem się pożegnać - rzekł, mnąc kapelusz w rękach. - Przepraszam, że o tak późnej porze przychodzę, lecz byłem w instytucie meteorologicznym. Na szczęście pani jeszcze nie śpi...

Byłam przekonana, że kłamie, że stał na ulicy, czatując na wyjście Waltera. Ale cóż miałam począć? Gdyby Anna poszła była otworzyć, można się było jakoś wykręcić od tej spóźnionej wizyty, powiedzieć, iż śpię, czy coś w tym rodzaju. Niestety widział mnie ubraną przy drzwiach; musiałam go przyjąć...

Pierwsze minuty naszej rozmowy przeszły pod znakiem konwenansowej uprzejmości, lecz wyczuwałam doskonale, że Martini nie po to przyszedł, aby mi prawić komplementy... Jakoż szybko przeszedł do tematu, którego się lękałam. Powiódł swe oświadczenia, zapewniał mnie o swej bezgranicznej miłości i prosił o wzajemność...

- Pan zdaje się zapomina, że jestem narzeczoną Waltera! - wycodziłam oziębłe i niedwuznacznie spojrzałam na zegarek.

Wtedy stało się coś nieoczekiwanego, coś, czego nie byłabym się nigdy spodziewała...

- Choćbyś była narzeczoną szatana, moją będziesz, albo niczyją! - krzyknął i, zanim zdążyłam zerwać się z kanapy, objął mnie w pół i pocałował w usta. Słyszałam jego zduszony szept, czułam jego szalone pocałunki na oczach, policzkach, wargach, jego przśpieszony oddech. Mogłam krzykiem przywołać Annę, lecz byłam i jestem zbyt dumna, aby służbę wtajemniczać w takie sprawy. Wołałam sama dać mu nauczkę. Szybko wyswobodziłam prawą rękę. Odgłos siarczystego policzka rozległ się w tym saloniku, który nigdy jeszcze nie był świadkiem podobnie gwałtownych scen!

- Precz! - rzekłam, nie podnosząc głosu, choć kipiałam od wewnętrznego wzburzenia...

Zerwałam się z kanapy i wskazałam mu drzwi...

Jutro na lotnisku powiem Walterowi o wszystkim. Niech wie, jakiego ma "przyjaciela"... - powiedziałam.

Skrzyżował ręce na piersiach.

- Nie lękam się go - odparł - a z drugiej strony pani mu nic jutro nie powie... Nie powie mu pani choćby dlatego, że ta wiadomość uderzyłaby weń obuchem, pozbawiłaby go zimnej krwi, przytomności umysłu, hartu nerwów i tym podobnych zalet, niezbędnych w czasie naszej karkołomnej podróży... zaledwie 15% przelotów nad Atlantykiem nie skończyło się śmiercią... Pani wie o tym dobrze.

- Więc spowoduję odroczenie terminu odlotu. Walter wystartuje z innym towarzyszem, Mr.

Martini.

- Ha, ha, ha, ha... Pani sądzi, że dla tak "ważnej przyczyny" będzie odroczony termin?... Nie, moja piękna!... Tak dobrze nie będzie, i, dbając o życie Waltera, będzie pani milczała, jak grób...

- Aż do jego powrotu - rzuciłam i szybko cofnęłam się do ściany, gdzie znajdował się przycisk dzwonka, gdyż ten szaleniec, upewniwszy się w swym przekonaniu, że muszę na razie milczeć, szedł ku mnie z wyciągniętymi rękami, jakby mnie chciał wziąć w objęcia.

- Aż do jego powrotu - powtórzył ironicznie. - A jeśli to nasz ostatni lot? Jeśli "Victoria" zaginie bez śladu, jak "Błękitny Ptak" Nungessera i tyle innych samolotów po nim?

Zachwiałam się na nogach. Jego słowa brzmiały, jak niedopowiedziana groźba. Zauważył to widać, bo wstrzymał swój pochód, który mógł łatwo spowodować interwencję służącej, wsparł się na poręczu krzesła i zaczął mówić przyciszonym głosem.

- Musi przecież istnieć jakaś sprawiedliwość na świecie. Jeżeli w ciągu pięciu dni przebedziemy Atlantyk tam i z powrotem, czeka nas sława, wielka sława. Ale jej lwia część zagarnie Walter. Jemu już przypadnie w udziale nagroda Forda, owe 100000 dol., o które już tylu lotników się pokusiło i zginęło. Jemu przypadną honoraria za wywiady, wykłady, filmy... A mnie co? Ten i ów dzienniczek raczy wspomnieć, że jakiś tam Martini i mechanik Petit towarzyszyli bohaterowi Ashleyowi. Ale ja rezygnuję chętnie z tych wszystkich zaszczytów, bylebym ciebie zdobył, ukochana!... Za tę cenę polecę do piekła, na księżyc, gdzie każesz. Jeżeli mi natomiast odbierzesz wszelką nadzieję, jeżeli siebie jemu nieodwołalnie przeznaczasz, to duch mój zbuntuje się, cienka powłoka kultury popęka i przemówi natura pierwotna, zła, mściwa, żądna sprawiedliwości nawet za cenę kainowej zbrodni...

Mówił tak długo, bardzo długo, lecz połowy nie słyszałam z pewnością. Utkwiło mi najbardziej w pamięci zdanie, że, gdyby mu przyszło spowodować katastrofę "Victorii", to przedtem powie Walterowi, dlaczego muszą zginąć obaj...

- Niech się dowie w godzinę śmierci, że ty jesteś jej przyczyną - powiedział i te słowa dźwięczały mi wciąż w uszach, niby dzwon, bijący na trwogę. Te słowa oraz inne pogróżki. Zrozumiałam jedno, że trzeba Waltera ratować. Skoro nie można odroczyć terminu startu, skoro nie można zdemaskować fałszywego przyjaciela w chwili odlotu, to pozostaje tylko jedno wyjście: uspokoić szaleńca za wszelką cenę i nie dopuścić do zbrodni. Toteż kiedy, ukończywszy swe długie wywody, zażądał stanowczej odpowiedzi, rzekłam obłudnie.

- Przecież ja pana jeszcze nie Kocham, Mr. Martini. Jakże więc mogę...

- Jeszcze! - wykrzyknął, przyskakując do mnie jednym susem. - Skarbie mój! Dzięki za to "jeszcze"... Pokochasz mnie z pewnością... Walter jest najzaciejszym człowiekiem, ale to nie mąż dla ciebie. To sztywna anglosaska lalka, mumia. Uschłabyś przy nim, jak kwiat bez słońca...

Oh, z obawy o życie narzeczonego musiałam tego słuchać spokojnie! Aby nie budzić podejrzeń pyszałka, co się mienił być czymś lepszym od mego drogiego Waltera, musiałam słuchać dobry kwadrans jego gadaniny, musiałam na pożegnanie musnąć zimnymi wargami jego czoło i życzyć mu szczęśliwego powrotu.

Poszedł nareszcie, a kiedy poszedł, rzuciłam się na fotel i przesiedziałam tam całą noc, modląc się za Waltera i płacząc na przemian.

Nastał ranek pamiętny, kiedy ostatni raz w życiu widziałam ich obu, przyjaciół_rywali...

Waltera zaniepokoił mój zły wygląd, bladeść, podkrążone od płaczu oczy. Martini stał przy samolocie i obserwował nas spod oka. Zdołał zamienić ze mną kilka słów na osobności, korzystając z tego, że Waltera obległa czereda fotografów i dziennikarzy...

- Kochasz mnie? - spytał cicho. - Prawda, powiedziałaś, że jeszcze nie... Ale, lubisz mnie chociaż? Będziesz się cieszyła, jeśli szczęśliwie powrócę?

Byłabym mu najchętniej przypomniała wczorajszy policzek, lecz w tym momencie zabrzmiał donośny głos jednego z licznie zgromadzonych panów.

- Najważniejsza rzecz, mocne nerwy, ale o to jestem spokojny, M. Ashley. Znamy się nie od dzisiaj...

Prawie równocześnie posłyszałam szept Włocha:

- Kochasz mnie, darling?

- Tak - skłamałam wargami, przeklinając go w duszy i życząc mu śmierci.

- Chcę ci wierzyć - odparł i przenikliwym spojrzeniem wejrzał w moje przerażone oczy. - Bo gdybym miał najlżejsze podejrzenie, że mnie okłamujesz, spełnię wczorajszą groźbę w całej rozciągłości...

- Co tam: "w całej rozciągłości"? - zagadnął Walter, który wyrwał się wreszcie fotografom i usłyszał ostatnie słowa...

- Obiecałem coś twojej narzeczonej i zaznaczam, że słowa dotrzymam w całej rozciągłości - rzekł Włoch z tupetem...

Walter spostrzegł, że się ślaniem na nogach. Powierzył mnie opiece dwóch znajomych lotników, gdyż nadeszła chwila startu. Wsiadł pierwszy, za nim Petit, na końcu on, Martini... Odwrócił się jeszcze i krzyknął w moim kierunku.

- Proszę pamiętać... Dotrzymam słowa w całej rozciągłości i...

Łoskot silnika zagłuszył dalsze słowa. Nie widziałam właściwego odlotu, gdyż zemdlałam i obudziłam się dopiero w hangarze, dokąd mnie przeniesiono. "Victoria" znikła jak za woalem białych obłoczków...

Kiedy nadeszły depesze, donoszące o szczęśliwym wylądowaniu samolotu pod Paryżem, nabrałam otuchy... "Byleby wrócili w zdrowiu"! myślałam, ślubując w duchu, że wybaczę wszystko

temu szaleńcowi, jeśli zaniecha swych niedorzecznych planów wobec mej osoby...

A potem nastąpiła podróż powrotna... Resztę pan zna dobrze, Mr. Bronson... Na śmigle były ślady krwi i mózgu. Ten łotr domyślił się, że go oszukałam, że chciałam tylko uspić jego podejrzliwość i zamordował mego Waltera. Zabił go, spowodował katastrofę "Victorii" i sam zginął, dotrzymując słowa..."

Halina skończyła swą opowieść. Przyznaję, że słuchałem jej z roztargnieniem, gdyż już od pierwszych słów uderzyła mnie, jak obuchem, myśl przeraźliwa: W jutrzejszym numerze "New York Morning News" ma się ukazać moja nowela pod tytułem "Mogła na Oceanie", czyli "Tajemnica samolotu N. N.". Dziwnym zbiegiem okoliczności treść tego utworu pokrywa się dokładnie z treścią dopiero co zasłyszanego opowiadania. Mniejsza już o to, że w osobie bohaterów: Johna Moore'a, De Costy, Wolffa, Alicji, domyśliłby się każdy czytelnik Waltera Ashleya, Martiniego, Petita oraz Haliny, ale, co gorsza, ona sama, a więc osoba, na której mi najbardziej zależało, nie uwierzyłaby nigdy w przypadkowość analogii lecz byłaby święcie przekonana, że opisałem ściśle jej tragedię, zmieniając tylko dla przyzwoitości nazwiska czwórki bohaterów...

Bo oprócz fabuły nawet epizody były jednakowe... De Costa, ognisty południowiec, czarny charakter mej noweli, spędza ostatnią noc przed odlotem w mieszkaniu Alicji, krewki Martini wpadł również ostatniego wieczora do mieszkania Haliny, narzucając się ze swą miłością. Jeden i drugi narzekają na niesprawiedliwość losów, które wszystkie korzyści przyznały szczęśliwemu rywalowi. Jeden i drugi popełnia zbrodnię w przededniu ukończenia wielkiego lotu. A scena na lotnisku, przy pożegnaniu? A bladość, ślady bezsennej nocy na twarzy tej, która w jednym i w drugim wypadku była przyczyną tragedii?...

W miarę, jak porównywałem opowiadanie do noweli, w miarę, jak znajdowałem coraz więcej odpowiedników, ogarniała mnie bezbrzeżna trwoga, że mój przyjacielski stosunek z Haliną, a może nawet opinia tej dobrej niewinnej dziewczyny zawisły na cieniutkim włosku... Jakie szczęście, że doszło do tych zwierzeń! Jakie szczęście, że był jeszcze czas nie dopuścić do katastrofy i zniszczyć głupią nowelkę!...

Spojrzawszy na zegarek, zerwałem się z kanapki, jak oparzony... Było trzy kwadransy na jedenastą. O jedenastej, w drukarni "New York Morning News" puszcza się w ruch maszynę rotacyjną...

- Pan już chce odejść Mr. Bronson? - zdziwiła się Halina, niemile dotknięta. Oczekiwała ode mnie ciepłych słów pocieszenia, współczucia, przyznania, że jest niewinną... - Nie ma jeszcze jedenastej...

- Tak, to prawda, Miss Halina... Jeśli kiedy, to dziś właśnie powinienem dłużej pozostać, ale... niestety... mam bardzo pilną robotę w redakcji... Gdybym nie przyszedł natychmiast,

jutrzejszy numer wyszedłby ze znacznym opóźnieniem... A mamy przecież licznych czytelników spoza Nowego Jorku... Że też mogłem o tym zapomnieć! - kłamałem, zerkając tęsknie ku drzwiom...

- Ha, jeżeli ta robota jest rzeczywiście pilna, nie zatrzymuję pana.

Pożegnała mnie dosyć chłodno, przypominając raz jeszcze, że przyrzekłem jej zachować absolutną dyskrecję...

- Dał pan słowo gentlemana - rzekła, podając mi rękę.

- Pamiętam o tym, proszę pani - odparłem z akcentem zniecierpliwienia, gdyż przelotny rzut oka w kierunku zegara przekonał mnie, że do jedenastej brakuje zaledwie osiem minut...

XVII

Rzeński chłód nocy sprawił, iż zacząłem obliczać na trzeźwo. Pozostało mi już tylko sześć minut czasu. Wystarczyło to na przebycie jednej trzeciej części drogi, a więc przybyłbym za późno...

- Telefon! - błysła mi szczęśliwa myśl. Wpadłem jak bomba, do najbliższej restauracji i dorwałem się do aparatu telefonicznego. Na połączenie z naszą drukarnią nie czekałem ani pół minuty. Odezwał się niebawem przywołany redaktor dyżurny...

- Mówi Tailor.

- Ah, więc pan ma dyżur dzisiaj - powiedziałem.

- Niestety.

- Mówi Bronson. Czy numer gotowy?

- A jakże. Pańska nowela pójdzie w całości...

- Jak to? Przecież była obliczona na trzy numery.

- Tego już nie wiem, na ile, dość, że Mr. Campbell wydał takie polecenie. Sam dopilnowałem ostatniej korekty i łamania. Może pan być spokojny.

- Mr. Tailor, nowela nie pójdzie w jutrzejszym numerze! Proszę ją...

- To niemożliwe! - przerwał mi. - Numer gotowy, zaraz puszcza maszynę.

- Powtarzam raz jeszcze, że nowela nie pójdzie... na razie. Może za kilka dni, kiedy dokonam pewne zmiany... za chwilę będę w redakcji. Na moją odpowiedzialność wstrzyma pan...

Znowu mi przerwał. Nieoczekiwana wiadomość wprawiała go wprawdzie w osłupienie. Narzekał, że przez to będzie musiał dyżurować znacznie dłużej, niż zwykle, przestrzegał, iż numer wyjdzie z opóźnieniem, aż kiedy zaznaczyłem, że ja wyłącznie poniosę odpowiedzialność za wszelkie ewentualne następstwa przestał oponować...

- Tylko ciekawy jestem, czym zatkamy tę olbrzymią dziurę - zauważył w końcu...

- Czym? Znajdzie się chyba pod ręką jaki felieton. Może ma pan coś w tece?...

- Owszem, ale tym nie wypełnię całej luki... Stop! Haig siedzi na górze w redakcji i poci się nad artykułem o emigracji żółtych na Alaskę. Pytał mnie przed chwilą telefonicznie, jakie ma zająć stanowisko. Radziłem mu przestrzec społeczeństwo przed tym nowym niebezpieczeństwem. Zmartwił się, bo był innego zdania...

- Więc nie utrudniajmy mu roboty. Niech zachęca wszystkich skośnookich do podróży nad Jukon... Niech wszyscy wymarzną do ostatniego! Proszę zaraz zadzwonić na górę.

- Well. Postanowione zatem, że w miejsce pańskiej nowelki pójdzie mój felieton i artykuł Haiga o emigracji żółtych na Alaskę? - zapytał raz jeszcze przezorny Tailor.

- Tak, tak, tak!

- Wobec tego pański przyjazd zbyteczny. Sam wszystko załatwię. Niech się pan bawi

dobrze...

- Dziękuję... Prawdopodobnie jednak wpadnę do was na chwilę... Do widzenia...

Kiedy przechodziłem przez salę restauracyjną, ktoś zaczął na mnie psykać, potem huknął na cały głos.

- Hallo, redaktorze!... Co słysząc u pana?...

Obejrzałem się. Przedemną stał Mr.Grouse, towarzysz pamiętnej podróży na "Majesticu". Na wąsach miał ślady sosu, w ręku trzymał serwetę; wszystko to wskazywało, że właśnie w tym lokalu jadł kolację.

- Bardzo się cieszę ze spotkania - ciągnął dalej. - Nie skończyliśmy ciekawej rozmowy wówczas, pamięta pan, kiedy to porucznik biegł zbudzić kapitana statku, no... ta depesza z rozpaczliwym "SOS".

- Pamiętam doskonale - odparłem - ale śpieszę się obecnie do redakcji...

- Do redakcji? O tej porze?... He, he, he... Mnie pan nie weźmie na taki kawał... Siadaj pan przy moim stoliku... Pogawędzimy, jak para starych znajomych. Dziś, kiedy nie ma tego sceptyka Scotta, zapoznam pana dokładnie z moją hipotezą.

- Ostatecznie... mogę zostać - przystałem po chwili, przeprowadziwszy w duchu następującą kalkulację; moja obecność w drukarni jest rzeczywiście zbyt cenna. Na słowie Taylora można polegać. Wypełni dane mu zlecenie tym chętniej, że zamiast mojego, pójdzie jego felieton... Z drugiej strony Dick Campbell nie zwolni mnie z obowiązku napisania nowelki na temat częstych i tajemniczych katastrof przy przelotach Atlantyku. Będę musiał "zrobić" nowy utwór w każdym razie. Ze względu na Halinę trzeba obmyślić inny powód zaginięcia samolotu. Może id~ee fixe oryginała M. Grouse'a zastąpi starcie lotników_rywali. Kto wie? Nie zaszkodzi wysłuchać wynurzeń nieszkodliwego maniaka...

- Słucham pana - dodałem po chwili, zamówiwszy u kelnera na odczepnego "bananas split".

Mr. Grouse przysunął się z krzesłem.

- Zanim przystąpię do wtajemniczenia pana w moją hipotezę - rzekł wyjmując dobrze wypchaną cygarnicę - opowiem coś innego, co na pozór nie stoi w żadnym związku z licznymi wypadkami samolotów, a przecież ułatwi panu znakomicie zrozumienie mej teorii. Co ważniejsze przekona pana, że mój niemal fantastyczny pomysł ma 90% szans prawdopodobieństwa.

Odciał z nabożeństwem czubek cygara, zapalił i, rozkoszując się pierwszymi wonnymi pociągnięciami, w milczeniu odchrząknął i zaczął swą opowieść tymi słowami.

- Swego czasu byłem udziałowcem pewnej kompanii okrętowej, której statki kursowały pomiędzy USA oraz Kanadą, a północnymi krajami Europy... Ale po kilku latach ulegliśmy w zacieklej walce konkurencyjnej z wielkimi kompaniami. Z tymi rekinami nie można się mierzyć, proszę pana. Potrafią i stać ich na to, obniżyć taryfę do minimum, a nawet przez cały rok pracować

ze stratami, byle zdusić słabszych finansowo przeciwników. Skoro ich zniszczą i obce statki za bezcen wykupią na licytacjach, podnoszą ceny biletów i odbijają sobie szybko to, co stracili w chudym roku...

Tak więc wycofałem swój uszczuplony do połowy kapitał i już myślałem zaniechać wszelkich interesów i żyć z wystarczającej mi renty, kiedy zgłosił się do mnie pewien francuski wynalazca. Chciał on skonstruować ślizgacz pasażerski, niebywałych dotychczas rozmiarów, który osiągałby prędkość do 80 kilometrów na godzinę i był zdolny do podróży przez ocean, bez względu na stan pogody...

Zapaliłem się do tej myśli, ale nie chciałem się narazić na straty w razie zawodu. Toteż, zanim przystąpiłem do sfinansowania projektu, poleciłem zbudować kilka modeli różnej wielkości. Próby przeszły wszelkie oczekiwania. Aby być daleko od siedzib wielkich rekinów, które mnie już raz tak urządziły, wyjechałem do Francji i w jednym z tamtejszych doków zbudowaliśmy w największej tajemnicy pierwszy pasażerski ślizgacz dla komunikacji transatlantycznej.

Pamięta pan zapewne olbrzymie ogłoszenia, jakie umieściłem we wszystkich największych pismach Europy. Zaczynały się od słów:

“Podróż przez Atlantyk trwa tylko 70 godzin! Pierwszy pasażerski ślizgacz “Lightning” opuszcza Havre dnia 6 lipca br. o godz #/11, przybywa do Nowego Jorku 9 lipca o #/9, według czasu zachodnioeuropejskiego. Za każdą godzinę ewentualnego spóźnienia wypłacamy pasażerowi 100 dol. gotówką. Jest jeszcze wolnych piętnaście kabin luksusowych na dwie osoby każda. Zgłoszenia itd., itd.”

Oh, ogłoszeń było dziesięć razy więcej, niż wolnych miejsc, bo osiem kabin zarezerwowaliśmy dla zaproszonych przedstawicieli prasy...

Nasze przedsięwzięcie wywołało zrozumiałą sensację. Bądź co bądź, co trzy doby, to nie sześć. Najpoważniejsze czasopisma zapowiadały przewrót w komunikacji morskiej i upadek wielkich kompanii okrętowych...

“Czas to pieniądz. Cóż nam z luksusu na tych pływających miastach, kiedy na podróż do Nowego Świata trzeba tracić długich sześć dni...”

Tak pisał “Times”, “Daily Chronicle” i inni, a co dopiero mówić o entuzjazmie egzaltowanych Francuzów...

Przed samym odjazdem zaszedł epizod, który zaważył diabelnie na szali moich śmiałych zamysłów.

Stałem właśnie na grobli, otoczony gromadą reporterów, fotografów i gapiów, kiedy do naszej grupy podjechała taksówka.

- Gdzie jest Mr. Grouse? - wrzasnął szpakowaty jegomość, który wyskoczył z tego auta.

- Jestem nim - oświadczyłem, wysuwając się z łoku.
- Sir, jedna kabina dla mnie na pokładzie pańskiej "Lightning"...
- Żałuję bardzo, ale wszystkie zajęte.

- To niemożliwe! - ryknął. - Muszę być za pięć dni w Nowym Jorku! "Olimpic" uciekł mi w Southampton sprzed nosa. Byłbym go ścigał hydroplanem, lecz mam idiosynkrazję do samolotów. No, choruję po prostu. Więc przepравиłem się z Anglii na kontynent i jestem. Pan musi mnie zabrać, u licha!...

- Jeszcze raz wyrażam...

- Niech pan nic nie wyraża - przerwał. - Jadę z panem i kwita. Płacę za przewóz mej osoby 1000 dolarów.

- Niestety.

- Tysiąc pięćset!

Wspólnik trącił mnie łokciem. Jak każdy Francuz, był łasy na zarobek....

- Za dwa tysiące odstąpię panu mojąabinę - rzekł, zwracając się do zdenerwowanego jegomościa.

- Zgoda - huknął Jankes wyjmując książeczkę czekową. Potem uśmiechnął się triumfalnie i poklepał wynalazcę po barkach. - Za szybko się pan zgodził. Byłbym nawet zapłacił 5000, gdyż dzięki temu zdążę zarobić w Nowym Jorku ćwierć miliona...

- A jeśli pan nie zdąży? Jeśli ślizgacz zawiedzie nadzieje, jakie się w nim pokłada?...
Fantastyczne nadzieje!

Odwróciłem głowę. Za mną stał jakiś elegancko ubrany starszy gentleman z monoklem w oku...

Uwaga sceptyka nie zatrwożyła spóźnionego pasażera...

- Właściciele "Lightning" gwarantowali w dziennikach, że podróż trwać ma najwyżej 70 godzin. Czytałem to. Yes. Jeśli spóźnią się, będę skarżył, a jeszcze w życiu nie przegrałem procesu... Nazywam się Morgan...

Morgan! Ten sławny adwokat, daleki krewniak bankierskiej rodziny Morganów... Ten rzeczywiście nie przegrał jeszcze procesu w żadnym sądzie cywilnym, ale też zawsze szedł na pewniaka...

Gentleman w monoloku siał dalej ziarno sceptycyzmu w serca pasażerów, którzy zjeżdżali się na gwałt, gdyż za kwadrans miał nastąpić odjazd...

- Hallo, sir!... - zawołałem, zadraśnięty w najczulszą stronę mej ambicji. - Jestem gotów założyć się o 30 000, że "Lightning" dotrzyma terminu...

- Well - brzmiała spokojna odpowiedź. - Przyjmuję zakład o 30 000 funtów, że ani nawet w ciągu czterech dni nie dotrzecie do Nowego Jorku...

Zrobiło mi się trochę ciepło, gdyż mówiąc o 30 000 miałem na myśli franki, do których zdążyłem się przyzwyczać w ciągu roku z górą pobytu we Francji. (Jak panu wspomniałem, nasz ślizgacz był budowany w jednym z francuskich doków). Ale słowo się rzekło, nie mogłem się cofnąć, tym więcej, że obecni przy tej rozmowie reporterzy pisali już zawzięcie w swych notesach...

Jeszcze raz spojrziałem na "Lightning", nim otworzyłem usta 30 000 funtów! Dziwny zbieg okoliczności. Właśnie taka kwota pozostała mi w "Credit Lyonnais", gdyż cały pozostały majątek pochłonęła budowa ślizgacza... "Ty mnie nie zawiedziesz, Błyskawico", pomyślałem i rzuciłem głosem zupełnie pewnym.

- Zakład stanął.

- But, sir... dla porządku rzeczy należałoby jeszcze czek wystawić i złożyć do rąk osoby trzeciej. Chcąc świecić przykładem, zaczynam od siebie - rzekł mój przeciwnik i wyjął książeczkę czekową "Guarant Trust Company"...

- Dobrze... W czyje ręce złożymy nasze stawki?

- Hm... Najpewniej byłoby w banku. Z braku czasu proponuję tu obecnego Mr. Morgana...

Przystałem bez wahania...

Adwokat pokwitował nam odbiór i już po wyruszeniu z portu zawinkulował telefonicznie na obu kontach odpowiednie kwoty. Bo "Lightning" posiadała na pokładzie stację telegraficzną najnowszej konstrukcji.

Wyruszyliśmy tedy...

Pierwszy dzień minął szczęśliwie. Zrobiliśmy o 60 kilometrów więcej, niż było przewidziane w najlepszym wypadku. Pasażerowie składali mi gratulacje. Dziennikarze nie odstępowali od kabiny telegrafu.

W drugim dniu podróży przeszliśmy małą burzę, z której ślizgacz wyszedł zwycięsko, a skończyło się na morskiej chorobie kilku pasażerów. Najbardziej chorował Mr. Morgan. Kiedy go odwiedziłem w kabinie, zaklął siarczyście...

- Diabli by wzięli pańskie zakazane pudło! Gorzej się czuję, niż w samolocie - warknął i jakby dla zilustrowania swych słów pośpieszył chwiejnym krokiem za parawan...

Ale w Nowym Jorku czeka pana ćwierć miliona, które byłoby uciekło, gdyby nie "Lightning"...

- To prawda - odparł udobruchany znacznie. - To prawda. Bardzo miły stateczek, tylko czemu się tak kołysze u licha!

Gryząc z pasją cytrynę, zaczął mi składać gratulacje.

- 30 000 funtów ma pan tak, jak w kieszeni. Mr. Izaak Caster przegrał zakład, albo ja nie jestem Morgan.

Mój przeciwnik nazywał się Izaak Caster.

Pod wieczór morze uspokoiło się zupełnie. Przyszła druga noc, oh, najgorsza w życiu! Zbudziłem się około pierwszej. Nie mogłem spać. Nie wierzę w przecucia, a jednak owej nocy czułem jakiś ucisk na piersiach, jakieś tajemnicze szepty ostrzeżenia w uszach. Wstałem. Otworzyłem okienko kabiny. Wydało mi się, że słyszę szybkie kroki biegnącego w stronę mej kabiny człowieka...

- Hallo, M. Grouse!... - zabrzmiał głos mechanika.

- Co tam, John!... Wrzeszczycie, jakby się paliło.

- Wolałbym ogień, sir... Ktoś przedziurawił zbiornik z benzyną!...

Oh, co tu się długo rozwodzić nad bolesnym wspomnieniem. Jakiś łotr, kanalia, zbrodniarz, wypuścił nam cały niemal zapas benzyny w morze. Jechaliśmy z pomocą motoru jeszcze przez godzinę, a potem nasz piękny ślizgacz, nazwany przeze mnie "Błyskawicą", włókł się, jakby przez ironię, chodem zdychającego ślimaka, gdyż wiatr ucichł i rozpięte czym prędzej żagle zwiślały martwo, jak bielizna, suszona w kuchni...

Co się wtedy działo, nie potrafię powtórzyć. Mr. Morgan ryczał, jak dzikie zwierzę. Inni pasażerowie wtórowali mu w miarę temperamentu. Zbrodniarza nie wykryto. Był nim zapewne ktoś z załogi, ale kto, który?

Zaczęła się moja golgota. Wszystkie okręty, zapytywane telegraficznie o benzynę, odpowiadały stereotypowo, że nie mają żadnych zapasów na pokładzie... Głupi by w to wierzył. Inne oświadczały, że nie mogą dla nas zbaczać z kursu i narazić się na konsekwencję dużego opóźnienia. Banda przeklęta!

Piątego dnia podróży wyczerpały się zapasy żywności. Były przecież obliczone na trzy dni zaledwie. Łowiliśmy ryby, lecz grymaśne podniebienia bogatych pasażerów "Lightning" nie były zadowolone z takiego wikt...

- To wycisk!... Bandytyzm! - wył M. Morgan. - Za dwa tysiące dolarów dają nam ohydne ryby na śniadanie, na obiad i kolację. Już wy mi za to zapłacicie!...

Zabrakło wody. Wybuchł bunt pasażerów. Omal nie doszło do strzelaniny z rewolwerów. Uwięziłem rozwścieczonego adwokata w kabinie i zdecydowałem się na wysłanie w przestrzeń rozpaczliwego krzyku rozbitków: "Save our souls"...

- Oh, wielkie kompanie czekały na to "SOS"! Dwie godziny później podpłynął ku nam jeden z olbrzymich statków. Zabrał wszystkich pasażerów, załozde dostarczył benzyny, której oczywiście wystarczyło tylko na pół dnia, i żywności...

- Dowlekliśmy się do Nowego Jorku dziesiątego dnia podróży, przyholowani przez umyślnie po nas wysłany parowczyk...

A rezultat?

Mr. Morgan nie zadowolili się wygraniem jednego procesu więcej. Podburzył wszystkich

pasażerów i rozpoczął proces o wypłacenie przyrzeczonego odszkodowania 100 dol. za każdą godzinę spóźnienia. Izaak Caster podjął z “Guarany Trust Company” moje 30 000 funtów. Aby nie pójść do więzienia za długi, sprzedałem za bezcen moją “Lightning” pewnemu przedsiębiorcy, ale ostatecznie brakło mi na podróż do Anglii, choćby trzecią klasą...

Nowy nabywca ślizgacza gotował się do powtórnej przeprawy przez Atlantyk. Nie żałował na iście amerykańską reklamę, lecz kompanie okrętowe miały większe fundusze. Rozpoczęły gwałtowną kampanię, której metodą było ośmieszenie komunikacji ślizgaczami. Nie brakło zjadliwych karykatur, przedstawiających unieruchomioną na oceanie “Lightning”, a dokoła niej rekiny, trzymające benzynowe zapalniczki...

“Może panom pożyczyć paliwa?” brzmiał napis pod rysunkiem. Albo takie ogłoszenia:

“Komu się śpieszy do Europy, niech używa najnowszych środków lokomocji. Ślizgacz “Ślimak” przebywa Atlantyk w rekordowym czasie dziesięciu dni.”

Nie brałem udziału w powrotnej podróży i dzięki temu żyję, Mr. Bronson... Bo, o ile pan pamięta ten wypadek, “Lightning” nie dotarła nigdy do brzegów Europy. Przepadła bez śladu wraz z całą załogą i garstką pasażerów. Poszła na dno, razem ze swym nowym właścicielem i wynalazcą, moim dawnym wspólnikiem. Zginęła, nie wysławszy nawet zwykłego: “SOS”...

Byłem nędzarzem. Byłbym nim do dzisiaj, gdyby nie spadek po zamożnej ciotce. Powróciłem do Anglii, żyjąc jedną tylko myślą: za wszelką cenę sprawdzić, czy moje podejrzenia są słuszne...

I sprawdziłem!...

Czy wie pan, kim jest Izaak Caster?... To współwłaściciel największej kompanii okrętowej, której luksusowe statki przewożą pasażerów przez Atlantyk... Proszę samemu sprawdzić...

To mi wystarczyło, Mr. Bronson, choć panu ten dowód może się wydać kruchym...

M. Caster, umieściwszy zaufanego człowieka na pokładzie “Lightning”, sprowokował ów zakład, aby mnie zniszczyć do reszty. Wiedział, że taką właśnie kwotę posiadam w “Credit Lyonais”, że tyle mi tylko pozostało po zbudowaniu ślizgacza...

Mr. Caster, jak się dowiedziałem, mianował adwokata Morgana amerykańskim syndykiem kompanii i nakłonił go do zorganizowania zbiorowej akcji wszystkich pasażerów w procesie o odszkodowanie za spóźnienie...

Na tej podstawie ośmielałem się twierdzić, iż nie kto inny, lecz Caster spowodował zatonięcie ślizgacza...

Tak, Mr. Bronson!...

Powie pan może, że mały stateczek, mogący zabrać ledwie pięćdziesięciu podróżnych, nie mógł być poważnym konkurentem dla kompanii, które rozporządzają całymi flotami olbrzymich okrętów. You are right, lecz Izaak Caster i jego wspólnicy patrzyli dalej. Zrozumieli, że w moje

ślady pójda setki, tysiące przedsiębiorstw, że trzeba rzecz utracić w zarodku i nie tylko amatorów do podróży ślizgaczami, ale i moich naśladowców zniechęcić gruntownie, przekonać ich o niedorzeczności samego pomysłu...

I dzięki temu, Mr. Bronson, ślizgacze obsługują dziś tylko komunikację przybrzeżną, a przez ocean podróżujemy po staremu na pokładach olbrzymich statków, składając olbrzymi haracz do kieszeni rekinów finansjery.

Teraz proszę uważać!...

W miejsce pokonanych, ośmieszonych ślizgaczy, zjawiają się samoloty. Oto nowy, jeszcze groźniejszy konkurent dla kompanii okrętowych. Niechże się znajdzie jeszcze z dwudziestu takich Lindberghów, Chamberlinów, to co nastąpi? Zupełny przewrót w komunikacji transoceanicznej. Powstaną potężne towarzystwa, zaczną budować olbrzymie samoloty pasażerskie i wariat pojedzie na pokładzie tych starych pudeł 50 000 tonowych, wariat chyba lub człowiek, zapadający tak łatwo na morską chorobę, jak ten przeklęty adwokat Morgan.

Kupiec, bankier, przemysłowiec, dziennikarz, słowem każdy szanujący się businessman, dla którego "time is money", poleci samolotem, bo zamiast stracić sześć dni, straci tylko półtorej doby. Półtorej doby! Dwie noce i dzień. Odliczywszy nocne spanie, straci netto tylko jeden dzień na podróż... Hallo, mister!... Czy pan to pojmuje? Z Paryża do Nowego Jorku jeden dzień za ledwie!

Ale kompanie czuwają. Trzeba rzecz zniweczyć w zarodku, jak biedne ślizgacze... Trzeba ludzi odstraszyć!"

Mr. Gouse zakrztusił się, zakaszłał, aż mu łzy w oczach stanęły. Wyzyskałem tę małą przerwę, aby nareszcie dojść do głosu.

- Bardzo to pan pięknie wykombinował - rzekłem - ale jak pan sobie wyobraża tę zbrodniczą kampanię? Czy może...

- Nie skończyłem jeszcze - upomniał się o swoje prawa. - Jeśli jednak mam wpierv odpowiedzieć na pańskie pytanie, to powiem krótko: nonsensem byłoby sądzić, że ktoś przekupuje konstruktorów, gdyż primo, taką rzecz wykryto by szybko, secundo, każdy aparat poddaje się przed lotem ścisłej próbie; jeszcze większym absurdem byłoby twierdzić, że wśród załogi samolotu znajduje się przekupiony zbrodniarz, jak to miało miejsce na moim ślizgaczu, gdyż spowodowanie katastrofy samolotu grozi śmiercią wszystkim pilotom i nikt nie ryzykowałby życia dla największej sumy...

- Więc?

- Słyszał pan coś może o wynalazku Hertza?

- Owszem - skinałem głową. - Podobno Niemcy pracują nad tym w tajemnicy...

- O której wszyscy mówią, wobec czego przestał być tajemnicą. Ja sądzę, że prócz Niemców także inne narody zainteresowały się tym wynalazkiem. Oczywiście dowiemy się o tym

dopiero przy okazji jakiejś nowej wojny światowej. Na razie sza!... Otóż zapewniam pana, że na co może sobie pozwolić najbiedniejsze państewko, na to może sobie pozwolić tym bardziej taka potęga, jak cichy trust kompanii okrętowych... O, dam głowę, że te rekiny dawno zwróciły uwagę na genialny wynalazek Hertza, że postarały się o udoskonalenie go do najwyższych granic możliwości. Mają chyba odpowiednie fundusze...

Niech pan posłucha teraz, jak ja sobie wyobrażam akcję tych panów. Przypuśćmy, że przeznaczyci na ten cel jakiś mały parowiec, którego załoga, zapewne bardzo nieliczna, składa się z ludzi doskonale opłacanych i zaprzędanych swym zbrodniczym chlebobdawcom. Parowiec jest wyposażony w ulepszony aparat do wysyłania fal, paraliżujących prądnicę każdego silnika...

Jakiś lotnik zamierza teraz przelecieć nad oceanem. O odlocie trąbi się już miesiąc naprzód. Panowie Izaak Caster and Comp. znają dokładnie wytyczoną trasę biednego samolotu, jak zna ją z gazet pan, ja i każdy.

Przychodzi moment startu. Lotnik czy lotnicy, pełni najlepszych nadziei, wzbijają się w powietrze i płyną nad oceanem, nie przypuszczając, że w poprzek ich drogi przywarował straszliwy korsarz dwudziestego stulecia, ów przeklęty parowiec.

Samolot wpada nagle w sferę działania owych fal, których zasięg może być znaczny, i bęc w morze. Szczęśliwy ten, komu uda się opaść na fale ślizgowym lotem i wysłać w przestrzeń błagalne "SOS". Jeśli morze nie jest wzburzone, jeśli łaskawym zrządzeniem losów przepływa w pobliżu jakiś okręt, to lotnicy ocala życie i do śmierci będą wierzyli, że upadek spowodował defekt silnika... Wszakże przestał działać w pewnej chwili...

Ale przeważnie ratunek przyjdzie za późno, bo w pobliżu znajduje się tylko jeden statek, ów korsarski parowiec, który oczywiście zamiast pośpieszyć z pomocą, będzie zmykał w przeciwnym kierunku...

Tak, Mr. Bronson...

- Ale jak mi pan wytłumaczy udane przeloty nad oceanami? - wtrąciłem....

- Całkiem po prostu. Samolot takiego szczęściarza zboczył o kilkanaście, czy kilkadziesiąt kilometrów z wytyczonego szlaku i na swoje szczęście rozminął się z przyczajonym korsarzem...

- Hm, hm, hm - chrząknąłem więcej ubawiony zacierzwieniem mojego rozmówcy, niż przekonany jego wywodami. - Na wszystko ma pan gotową odpowiedź.

Mr. Grouse uśmiechnął się zarozumiale.

- Bo moja hipoteza jest przemyślana w najdrobniejszych szczegółach i nic jej nie obali... Na przykład niech się znajdzie sprytny lotnik, co wystartuje bez idiotycznych zapowiedzi, niechaj nie mówi nikomu kiedy wyleci, skąd, którędy poszybuje, dokąd i tak dalej, a ręczę panu, że przebędzie Atlantyk w najlepszym zdrowiu, chyba... chyba, że natrafi na wielką burzę...

- Otóż to właśnie, Mr. Grouse! Chyba, że napotka burzę, chmurę śniegową, silne opady

atmosferyczne, chyba że będzie miał defekt motoru, że pęknie mu śmigło, że nerwy mu wypowiedzą posłuszeństwo i takich “chyba” będzie sto, a pan wszystko zapisze na rachunek kompanii okrętowych...

Mr. Grouse był bardzo cierpliwy i zaczął swe wywody da capo, czego oczywiście nie zamierzam powtarzać...

W pewnym momencie zagadnąłem go w ten sposób.

- Czy nie sądzi pan, że w takim razie należałoby rozpocząć zaciętą walkę z tym nowoczesnym korsarstwem, używając pańskiej definicji, z którą się zresztą nie zgadzam...

Aż podskoczył na krześle z radości...

- Naturalnie, kochany panie!... Naturalnie! Dlatego wtajemniczyłem w moją hipotezę właśnie pana, a nie kogo innego...

- Dlaczego właśnie mnie?

- Bo, widzi pan, choć wierzę niezłomnie w to, co powiedziałem, brak mi dowodów, które mogłyby przekonać sędziów, w razie, gdyby mnie kompanie okrętowe pociągnęły do odpowiedzialności. Z panem zupełnie inna sprawa. Literat - dziennikarz może sobie kropnąć niby to fantastyczny utwór, który de facto będzie wiernym odtworzeniem rzeczywistego stanu rzeczy i nikt się nie ośmieli pana zaczepić z tego powodu... Mr. Bronson! - zawołał głosem uroczystym. - Pasuję pana na rycerza słusznej sprawy... Walcz pan ze stugłową hydrą! Daję panu niewyczerpany temat i rezygnuję z praw autorskich, czy honorariów...

Masz tobie! Jeszcze jeden projektodawca literackich utworów. Ano, godny kompan Dicka Campbella.

Ale ostatecznie, “mutatis mutandis”, będzie można z tego ględzenia coś precedzić do drugiej noweli. Dick zmartwi się więc trochę, że rolę czarnego charakteru przejmie po niewiernej Alicji, narzeczonej Johna Moore'a... pani kompania okrętowa, lecz co mi tam jego zmartwienie czy dąsy... Co mi tam, że sam utwór wiele straci na tej zmianie, skoro słodka Halina nie będzie miała odpowiednika w wyrachowanej, złej Alicji...

- Zrobione, Mr. Grouse - rzekłem, kiwając na kelnera, aby uregulować rachunek. - Wracam do domu pisać nowelę o tragicznym locie nad oceanem, pod świeżym wrażeniem pańskiego opowiadania...

XVIII

Śmiertelny wróg wielkich kompanii okrętowych był tak uszczęśliwiony moją decyzją, że odprowadził mnie aż do samego domu...

Było po drugiej, kiedy znalazłem się w mieszkaniu, lecz pomimo spóźnionej pory nie odczuwałem potrzeby snu. Niemiły, a szczęśliwie zakończony epizod z pamiętnikiem Haliny, jej opowiadanie, wreszcie przydługie wywody Mr. Gruose'a, wszystko to wybiło mnie ze snu tak skutecznie, że zrzuciłem czym prędzej ubranie i w piżamie zasiadłem przy biurku do pisania.

Szło mi lichy, jeśli nie powiem źle. I dziwna rzecz, wspomnienie uroczej Polki nie było przyczyną braku nastroju do pisania tym razem, jak nie był nią wczorajszy eksperyment z Dolly, który mi zabił klina do głowy, że moja przyszła jest niepewnym materiałem na żonę... Nie! Przyczyna była inna i naprawdę niezwykła... Niewinny aparat telefoniczny, stojący tuż obok na biurku, nabrał nie wiedzieć dlaczego, magnetycznych właściwości. Przykuwał mój wzrok, odrywał spojrzenia od brulionu i myśli od tematu przerabianej noweli, jakby zapraszając, abym zadzwonił gdziekolwiek... Ale gdzie, dokąd, do kogo? Dolly śpi o tej porze niewątpliwie, podobnie, jak Halina. Więc do redakcji?... Hm, to prędzej... Byłbym się może na to zdecydował, gdyby nie głupia ambicja, że, dzwoniąc gdziekolwiek, uwidocznę moją słabość czy zależność od martwego przedmiotu, że dam się mu niejako zahipnotyzować...

Poszedłem po linii najmniejszego oporu. Aby zwalczyć niezrozumiałą a potężną pokusę, usunąłem ją po prostu. Zdjąłem słuchawkę z widełek i wyłączony w ten sposób aparat przestawiłem na okno, zasłoniwszy go w dodatku firanką...

To pomogło, albo wmówiłem w siebie, że pomogło. W każdym razie zacząłem wreszcie pisać...

O piątej rano wstałem od biurka. Druga nowela była gotowa. Właściwie nie był to zupełnie nowy utwór, gdyż, aby się zbytnio nie fatygować, pozostawiłem wszystkich czterech bohaterów, jak byli, wybielając tylko czarniawe charaktery. Więc Alicja stała się najwierniejszą kochanką Johna, De Costa żywił co prawda ukryty sentyment do narzeczonej przyjaciela, lecz myślał tylko o szczęściu tamtych dwojga. Wolff, mechanik, pozostał małomówną mrówką roboczą i chuchał na aparat z troskliwością dobrotliwej babki. Tak więc cała zgodna, miłująca się trójka lotników gotowała się do przebycia ostatniego etapu gigantycznej podróży, nie przeczuwając, że koło Nowej Funlandii przyczał się statek_korsarz (wybitny wpływ Mr. Grouse'a), wyposażony w aparat do wysyłania morderczych fal elektromagnetycznych. Samolot wpada w morze. John Moore odnosi kontuzje. Wolff telegrafuje niez mordowanie. Szlachetny de Costa z poświęceniem własnego życia ratuje przyjaciela, ale nie na długo... Raz jeszcze zaświtała biedakom jutrzeńka nadziei, kiedy w oddali ujrzeli kontury małego parowca. Lecz był to statek należący do najpotężniejszej kompanii okrętowej świata "Sun Line", ten sam, który doskonały samolot przed chwilą "zestrzelił", jeśli

wolno użyć tego wyrażenia. Jego kapitan obserwował przez lunetę rozpaczliwe wysiłki rozbitków, a kiedy zniknęli, nakryci górami wody, parsknął szyderczym śmiechem i zatarł dłonie na znak zadowolenia. - Hip, hip, hura! - zawołał do drugiego oficera. - Zarobiliśmy znowu uczciwie swoje 100 000. - Chwilę potem mały parowiec mknął chyżo ku brzegom Kanady...

Naśladując owego kapitana zbirów, zatarłem także ręce, zadowolony, że pozbyłem się roboty...

- Dicku Campbell! - rzuciłem wezwanie nieobecnemu szefowi. - Jeśli i tym razem przyznasz się do autorstwa noweli, to cię poślę do Mr. Grouse'a... A ty, moja słodka Halino, śpij spokojnie. Twej tajemnicy nikt nie przeniknie, bo na straży twego honoru stoję ja!...

Wygłosiwszy tak patetyczny monolog, zacząłem się rozbierać. Na wspomnienie smutnej pary oczu rozczuliłem się szybko. Przypominałem sobie, że w krasomówczym zapale nazwałem ją "moją"... - Moja, moja, moja! - powtarzałem bez końca, coraz głośniejszym, coraz pewniejszym głosem, jakby całemu światu rzucając rękawicę. - Moja kochana dziewczyna śpi sobie jeszcze - szeptałem wzruszony...

- A Dolly? - warknął ktoś z kąta. Poznałem głos Ralpa_gentlemana...

- Prawda, Dolly! - westchnął ciężko Ralph_ten trzeci, błagając redaktora wzrokiem o słowa pocieszenia, o drogę wyjścia z beznadziejnej sytuacji... Ale ów zdrajca ziewnął tylko od ucha do ucha i burknął mentorskim tonem.

- Nie rób głupstw, chłopcze. Dolly, to partia. Pomijam wyprawę, eleganckie mieszkanie, urządzone według wypróbowanego gustu Dicka, ale posag i stosunki w wielkim świecie, 25% akcji "New York Morning News", to nie fraszka...

- Za tydzień twój ślub z Dolly - dorzucił gentleman... - Złamałbyś serce dziewczynie, która, choć jest może trochę pusta, ale kocha cię szczerze.

Znów redaktor dorzucił swoje trzy grosze.

- Dolly otrzyma także 25%, a po śmierci Dicka odziedziczy pozostałą połowę dziennika, drukarni, gmachu etc.

Potem gentleman:

- Wynikłyby plotki z tak nagłego zerwania... Pomyśl, chłopcze... Za siedem dni twój ślub... Za siedem... Za tydzień!...

- Oh, dlaczego nie za rok! - wybuchnąłem i zrozpaczony rzuciłem się na łóżko...

Nieprędko zasnąłem i niedługo spałem...

Obudziło mnie kołatanie tak wściekle, że skoczyłem na dywan na równe nogi...

Dick Campbell, zaniepokojony moją ponowną nieobecnością, przysłał chłopca redakcyjnego...

- Nie można było telefonować, u licha? - warknąłem.

- Sir, podobno dzwoniło do pana kilka razy, lecz najpierw nikt się nie odzywał, a potem słuchawka była odłożona. Tak powiedziała telefonistka z centrali.

Racja. Przecież odłożyłem słuchawkę, zabierając się do pisania noweli... Poklepałem boya po karku...

- Wracaj, mały i powiedz, że za pół godziny przyjdę do redakcji...

Z brulionem noweli w teczce pod pachą, z miną Cezara, odbywającego wjazd triumfalny, wyszedłem z domu na ulicę... Z przyzwyczajenia raczej, niż z obowiązkowości, rzuciłem wzrokiem na grupkę kolporterów "urzędujących" na najbliższym skrzyżowaniu ulic. Zdziwiłem się. "N. Y. Morning News", wychodzące wczesnym rano, miały o tej porze zazwyczaj mało nabywców... A dzisiaj?... Pomimo spóźnionej pory (było kwadrans na dziesiątą) wszyscy chcieli nabyć numer naszego pisma...

- Dla mnie "Morning News" - rzucił przez zęby pan z fajką, a stara jejmość, człapiąca za nim, powtórzyła, jak echo:

- Dla mnie także "Morning News"...

- "Morning News", chłopcze! - krzyknął jakiś elegant.

- Jeszcze jeden, poproszę - powiedziała grzeczna panienka z pieskiem...

Wyobrażam sobie minę Dicka. Pasjami lubił obserwować robotę sprytnych kolporterów, a niekiedy podchodził ku nim z kapeluszem, nasuniętym aż na nos, aby go ktoś nie poznał...

- Dla mnie, chłopcze, "Morning News" - mówił tak głośno, że ludzie się oglądali. - To jest jedyne porządne pismo w całych Stanach... Innego nie czytuję z reguły...

Szkoda, że nie ma go ze mną... Miałby prawdziwą uciechę...

- Trzeba naśladować pana teścia - mruknąłem z humorem i podszedłszy do najbliższego chłopaka, rzuciłem głośno.

- Został ci jeszcze jakiś numer "Morning News"? Bo widzę, że innych pism nie sprzedajesz...

- Yes, sir - brzmiała odpowiedź i towarzyszyło jej radosne spojrzenie dziecięcych jeszcze, lecz sprytnie patrzących oczu. - Kończę sprzedawać drugą paczkę dzisiaj... Żeby tak zawsze szło!

Wziąłem egzemplarz naszej gazety z zamiarem przejrzenia go w taksówce, lecz nagle przysła mi ochota zobaczyć, jak wygląda felieton Taylora i artykuł Haiga o emigracji żółtych na Alaskę. Liczyłem się z tym, że przyjdzie wysłuchać kazania od Dicka i nie od rzeczy było zapoznać się z materiałem... Ha, powinienem to być uczynić jeszcze wczoraj...

Otworzyłem pismo, przerzuciłem dwie kartki i nagle zachwiałem się na nogach... Ryknąłem tak strasznie, że przechodzące obok mnie panie uskokowały w bok przerażone. Przetarłem oczy, sądząc, że śpię... Spojrzałem na zadrukowaną płachtę papieru, cuchnącego świeżą farbą drukarską. Nie!... To nie był sen, niestety... Dwucalowymi literami był tam wydrukowany tytuł mej nowelki:

“Mogiła na Oceanie”.

XIX

- Czy pan zasłabł?...

Obejrzałem się, spojrzałem nieprzytomnie na mówiącego. Był to młody chłopak, ubrany po sportowemu, prawdopodobnie skaut, lub członek YMCA. Chciał mi udzielić “pierwszej pomocy”...

- Dziękuję panu - odrzekłem bezdźwięcznie. - Chciałem zdobyć taksówkę.

W minutę przyprowadził żądane taxi...

- Odwiozę pana - zaofiarował się usłużnie...

- To naprawdę niepotrzebne... Jeszcze raz panu serdecznie dziękuję.

W aucie wróciła mi energia...

- “Morning News”! - huknąłem na szofera. - Tylko pędem, na Boga!...

Wzruszył ramionami i wskazał ręką leniwie płynącą rzekę pojazdów, do której zbliżaliśmy się pod kątem prostym i która miała nas pochłonąć za chwilę...

- Proszę jechać bocznymi ulicami...

Po drodze starałem się skupić rozpierchłe myśli. Powiodło to mi się częściowo, lecz umysł porażony, odrętwiały, pracował źle, pracował w niewłaściwym kierunku. Więc zamiast przemyśliwać, jak przeszkodzić, aby dzisiejszy numer naszego pisma nie dostał się do rąk Haliny, względnie, o ile go już czytała, jak się usprawiedliwić, jak udowodnić, że przekłętą nowelę napisałem już kilka dni temu, a nie pod wpływem jej wczorajszych zwierzeń, zacząłem na gwałt szukać winowajcy... Sprawa była jasna. Albo Taylor nie wykonał polecenia, a w takim razie wybije mu wszystkie zęby i dziś jeszcze wyleci z redakcji, albo... Dick... Hm... To bardziej prawdopodobne. Taylor nie ośmieliłby się chyba zlekceważyć rozkazu swego przyszłego szefa i chlebodawcy...

Więc Dick... Zaszedł prawdopodobnie do drukarni koło północy, dowiedział się o mej decyzji i ze zwykłą swą apodyktycznością zmienił ją, nie pytając mnie o zdanie...

Zamajaczyła mi nagle przed oczyma twarz Haliny. Mniejsza już, co sobie pomyślała o mnie, o wartości mego słowa, ale co ona, biedaczka, przeszła, jak cierpiała, jak cierpi jeszcze w tej chwili, jeśli fatalny sobotni numer “Morning News” już ma w rękach...

Na tę myśl ogarnęła mnie niepohamowana wściekłość...

- Czekaj, łajdaku! - odgrażałem się pod adresem Campbella. - Myślisz, że skoroś złapał męża dla córki, to ci się uda zrobić z niego posłusznego manekina, który będzie znosił twe idiotyczne humory bez szemrania?... Nie, mój panie!... Ja ci pokażę, że mnie nie wolno lekceważyć i podrywać mego autorytetu wobec personelu redakcyjnego. Jestem zdecydowany na wszystko. Mogę dziś opuścić twoją budę, ale ty mnie popamiętasz!...

Taksówka zajęchała wreszcie przed gmach “N. Y. Morning News”. Wpadłem do windy, wyskoczyłem na dwudziestym piętrze, gdzie mieściły się biura naczelnego redaktora i sekretarzy,

przebiegłem, jak wicher, niedługi korytarz i runąłem w drzwi gabinetu Dicka...

Miał szczęście, że go nie zastałem...

- Jest na dole, w drukarni... Robimy trzeci nakład dzisiejszego numeru, a wszystko przez pańską nowelkę.... Gratulu...

Mr. Haig nie dokończył i skurczył się przerażony, zmiażdżony siłą mego wzroku.

Przystąpiłem do niego i wpiłem mu wszystkie dziesięć palców w ramiona, aż syknął z bólu. Mam podobno diabelnie mocne łapy...

- Mr. Haig, zanim policzę zęby Taylorowi i jeszcze drugiemu panu, zapytuję, dlaczego pański artykuł o Alasce nie ukazał się w dzisiejszym numerze. Zapewne pocił się pan nad nim całą noc i drukarnia nie mogła dłużej czekać... - zasyczałem...

- Nie, nie... - zaprzeczał skwapliwie. - Artykuł był gotów na czas i Taylor też nic nie winien. Zaraz po pańskim telefonie przyszedł Mr. Campbell. Był bardzo zdziwiony pańską decyzją. Telefonował z pięć razy do pana, ale nikt się nie odzywał. Wysłany chłopiec redakcyjny wrócił z wiadomością, że pana nie ma w domu... Mr. Campbell był wściekły po prostu... - Co jemu do łba strzeliło - mówił. Oh, oberwało się nam wszystkim po kolei. Do godziny pierwszej czekaliśmy jeszcze na pana. Wreszcie szef palnął się dłonią w czoło, jakby sobie coś przypomniał. - Obraził się widocznie na mnie - rzekł - że zauważyłem żartem, iż trzeba zwrócić uwagę na tę nowelkę nawet tym, którzy nie lubią tracić czasu na czytanie podobnych bzdur, jak utwory literackie... ale to był żart, u licha. Nie będziemy się z tego powodu narażali na straty. Reklama świetlna pracuje od ósmej wieczorem, zapowiada na jutro wyjaśnienie zagadkowego zaginięcia samolotu N. N., a ja mam zmieniać numer, dlatego tylko, że mój pan zięć się trochę obraził... Hallo, Mr. Taylor!... Maszyna w ruch!... Mr. Bronson do jutra zapomni o dziecinnej obrazie... Tak się rzecz miała, Mr. Bronson - zapewniał redaktor Haig. - Proszę zapytać Taylora i innych, którzy byli przy tym obecni... Mr. Taylor twierdził, że pan zajdzie do drukarni i wyjaśni powody, dla jakich polecił wstrzymać druk swej noweli, ponieważ jednak nie przyszedł pan do kwadrans na drugą, a dłużej czekać nie było można, więc numer poszedł w pierwotnym układzie...

Ha, w takim razie ja zawiniłem w pierwszym rzędzie, bo, zamiast słuchać w restauracji idiotycznego gładzenia tego maniaka, Mr. Grouse'a, powinienem był przyjechać natychmiast do gmachu "Morning News", jak to Taylorowi telefonicznie zapowiedziałem... Moja wina!... Moja wina przede wszystkim, ale Dick także zawinił. Zbyt wygodnie interpretował sobie przyczyny mej decyzji...

Do drzwi ktoś zapukał...

- Sir, list do pana... Przyniosła go przed chwilą jakaś Murzynka.

- Murzynka?... - Powtórzyłem, odbierając z rąk boya, średniej wielkości kopertę, z lakową pieczęcią... Nagle pociemniało mi w oczach... Murzynką jest Anna, stara służąca Haliny. Jeden rzut

oka na adres potwierdził słuszność tej obawy. To było to samo duże, wyraźne pismo, jakie widziałem wczoraj na kartce jej pamiętnika...

Trzęsącymi się palcami rozerwałem kopertę, spojrzałem na pierwsze linijki i zwałem się na fotel...

Boy znikł za drzwiami, Mr. Haig ulotnił się także. Pozostałem sam w gabinecie Dicka. Sam na sam z swoim bólem, i z tym fatalnym listem. Przemknęło mi przez myśl, że podobnego uczucia muszą doznawać skazańcy, zamknięci w Sing_sing, kiedy do "celi śmierci" wkroczy urzędnik i drewnianym głosem obwieści, że gubernator odrzucił prośbę o ułaskawienie, że wyrok śmierci na krześle elektrycznym będzie wykonany za dwie godziny...

Pierwszy wiersz listu był dla mnie wyrokiem, a jednak znalazłem siłę do przeczytania całej treści.

"Pańską nowelkę przeczytałam przed chwilą. Teraz dopiero zrozumiałam, dlaczego opuścił mnie Pan wczorajszego wieczoru tak nagle i jaką to pilną robotę miał pan w redakcji...

Nie mam do pana żalu za to, że w osobie bohaterki Alicji przypisał mi Pan "zalety", do jakich się naprawdę nie poczuwam. Nie miał Pan przecież obowiązku wierzyć w prawdziwość moich słów i zwierzeń.

Nie czuję do Pana żalu ani wzdąry, że potępił Pan publicznie bezbronną kobietę, za którą nie ma się kto ująć, ani za to, że tak szybko zdążył Pan zapomnieć o słowie gentlemana. Pan na litość raczej zasługuje, niż na pogardę.

Lecz nienawidzę Pana za to jedynie, że zabił Pan we mnie wiarę w uczciwość ludzką. Dziś wiem, że człowiek, który potrafi sobie nadać pozory szlachetności i delikatności mego nieodżałowanego Waltera, może być i jest rzeczywiście tylko... (niech Pan sam dokończy).

A pomimo wszystko żywię dla Pana głęboką i szczerą wdzięczność. Mniejsza o to, czy kierowała Panem godna pochwały chęć oblania mnie zimną wodą, czy obawa, że inny literat_businessman ubiegnie Go w wyzyskaniu pomysłu nowelki. W każdym razie jestem Mu winna serdeczną podziękę za to, że zdemaskował się Pan tak wcześnie... Bo gdyby...

Z odpowiednim szacunkiem

Halina Horska"

Dobilo mnie to ostatnie zdanie, niedokończone, przekreślone, lecz dosyć czytelne dzięki temu, że zbyt wcześnie przytknięto do pisma bibułkę suszki... "Bo gdyby"!... Czyż trudno domyślić się reszty? Nie jestem zarozumialcem, lecz mogę przysiąc, że niedokończone zdanie skryształizowało się w sercu Haliny w takiej formie: "Bo gdybyś się był zdemaskował dopiero za miesiąc, dwa, trzy, a może wcześniej, wówczas nie przeżyłabym rozczarowania zawodu. Taki cios zabiłby mnie"...

A jeśli tak, to znaczy, iż moje uczucia wobec Haliny nie były bezwzajemne, to znaczy, że ta

biedna, osamotniona, w żałobie pogrążona dziewczyna zdążyła się także do mnie przywiązać i była na najlepszej drodze do pokochania mnie taką samą czystą, głęboką miłością, jaką pokochała Waltera Ashleya... Lecz gmach runął w gruzy. Burzącą minę podłożyłem własnoręcznie... Ja... ja... ja!...

- Nie ja! - krzyknąłem rozpaczliwie... Ja nie chciałem, Bóg mi świadkiem... To los nienawistny sprawił... Ten los, który tobie, biedna moja Halino, zabrał ojca, matkę i Waltera. Nie ja... Nie!

Drzwi uchyliły się i z wąskiej szpary wyjarzała głowa zdziwionego boya...

- Precz! - ryknąłem rozwścieczony...

Ale gniew trwał krótko. Pochłoneła mnie fala zniechęcenia, apatii, zubożenia na wszystko. Podobnej depresji psychicznej nie przeżywałem jeszcze nigdy. Ukrywszy twarz w dłoniach, z łokciami na blacie biurka, siedziałem długo, bardzo długo. Zdaje mi się, że telefon dzwonił kilkakrotnie, lecz nie miałem siły ani ochoty, by sięgnąć po słuchawkę. Boy, który miał dyżur w poczekalni, nie ośmielił się wejść powtórnie, choć dzwonek jęczał długą chwilę...

Zadudniły wreszcie ciężkie, znajome dobrze kroki.

- No, jesteś przecież - przywitał mnie Dick i ze zwykłą rubasnością zaczął poklepywać moje plecy...

Nie rzekłem ani słowa, nie odepchnąłem go, nawet głowy nie podniosłem. A miałem go zamiar obrzucić takimi słowami, jakich na pewno nie słyszał od czasu, gdy w tej samej redakcji rozpoczął swą karierę od posady redakcyjnego chłopca... Piekielny chaos myśli nie zdołał porwać w swój wir świadomości, że ani gniewy, ani wyrzuty, ani nic w ogóle nie zdoła odmienić tego, co się stało...

Dick był w przepysznym humorze.

- Co to znaczy, jak takie dwa łby, jak mój i twój, zabiorą się do roboty! "Morning News" puściły w tej chwili trzeci nakład dzisiejszego numeru. Ekspedycja zawałona zamówieniami. Telefony dzwonią bez przerwy. Prowincja bombarduje telegramami. Kazałem zmniejszyć objętość numeru. Papier drogi, a im wszystkim chodzi o naszą nowelę. He, he, he... Trzeci nakład liczy zaledwie 20 stron druku, a ręczę ci, że nikt nie będzie reklamował. Chłopcze, udało ci się. Jestem z ciebie naprawdę zadowolony. Cóż, nie cieszysz się?

Musiał spostrzec moją obojętność, bo umilkł na chwilę i zniżając głos do skali zwykłej rozmowy, powtórzył.

- Ralph... czy cię to naprawdę nie cieszy, że setki tysięcy, co mówię miliony ludzi czyta nasz utwór... twój utwór, jeśli ci tak oto chodzi... Pomyśl! Miliony czytelników, żadnych wstrząsów, dreszczy, sensacji i...

Moje odrętwiałe nerwy zareagowały wreszcie... Zerwałem się z fotela, palnąłem pięścią w

biurko i krzyknąłem rozziewającym głosem:

- Pluję na twoje miliony, rozumiesz?!... Tam wije się z bólu biedna istota, której niezabliźnioną ranę serca rozdrapałem moją idiotyczną nowelą. Czy pojmujesz, że jej jedna łza obchodzi mnie więcej, niż całe "Morning News" razem z ich milionami łotrowskich czytelników? Bo, żeby zaspokoić ich głód sensacji, żeby ciebie zadowolić, człowieku bez serca, przyłożyłem rękę do tej zbrodni... A kiedy chciałem naprawić zło, kiedy wczorajszej nocy telefonowałem, aby zniszczyć ten głupi utwór, tyś się w to wmieszał... Unieszczęśliwiłeś mnie na całe życie, dokonałeś wiwisekcji na duszy nieszczęśliwej sieroty... Ty... oh, zejdź mi z oczu, bo nie ręcę za siebie!...

Dick przestraszył się nie na żarty moim wybuchem...

- Co on plecie? Przyłożył rękę do zbrodni? Do jakiej zbrodni? Co za wiwisekcja? - mruczał, cofając się przezornie ku drzwiom drugiego gabinetu...

- Stój! - zawołałem... - Zostań, to twoje miejsce... ja odchodzę...

- Ralph, stary przyjacielu - rzekł niemal serdecznie, nie podchodząc jednak bliżej ani o krok.

- Dokąd chcesz iść?...

- Chcę iść naprawić zło, jakie wyrządziłem z twej winy. Proś Boga, aby się powiodło, bo inaczej nie ujrzysz mnie więcej!...

Z tymi słowy wybiegłem z gabinetu na korytarz, pozostawiając Dicka w zupełnym osłupieniu...

XX

Nie przyjęła mnie oczywiście. Byłem szalony, jeśli mogłem się łudzić choć przez moment, że postąpi inaczej...

- Pani wyjechała - rzekła Murzynka i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem z taką pasją, że osoby, znajdujące się właśnie w klatce schodowej, spojrzały na mnie, jak na jakiegoś domokrażcę... Zatelefonowałem do mieszkania Haliny z najbliższej kawiarni. Czekałem długo, a potem, chociaż zmieniłem głos, jak najlepiej mogłem, posłyszałem z ust starej Anny identyczną odpowiedź: - Wyjechała...

Przez West 72 Street zaniósł mnie nogi do "Central Parku". Usiadłem na wolnej ławce nad sadzawką i pogrążony w smutnej zadumie, przesiadzałem tam... aż do zmroku. Tak, do zmroku przesiadzałem, aż głód zmusił mnie do opuszczenia parku. Wszakże nic jeszcze w ustach nie miałem od rana. Zapomniałem o śniadaniu, o lunchu, ale teraz nadeszła pora kolacji i pusty żołądek upominał się o swoje prawa. Wstąpiłem do pierwszej z brzegu restauracji. Była to jakaś trzeciorzędna jadalnia, przesiąknięta odorem tłuszczu, jaki wdierał się z kuchni i aż kręcił w nozdrzach... Jadłem szybko, prawie żarłocznie, byle wyjść stamtąd jak najprędzej. Ile się to może zmienić w ciągu doby! Wczoraj o tej porze jadłem obiad z Haliną, w jej mieszkaniu, a dziś...

Nie dokończyłem leguminy, zapłaciłem i nie czekałem na wydanie reszty, wybiegłem czym prędzej na ulicę. Nie wiem zupełnie, w jaki sposób, dlaczego, ani kiedy, zaszedłem na Amsterdam Avenue, pod numer 336. Nie próbowałem kołatać do drzwi, które mi dziś już zatrzaśnięto, lecz przeszedłem na drugą stronę ulicy i patrzyłem tęsknie w okna mieszkania Haliny... Było w nich ciemno. Do dziesiątej nie zapalano światła w żadnym pokoju... Więc wyjechała rzeczywiście?...

Przyszło mi na myśl, że przede mną był także ktoś, kto całymi godzinami stał w tym samym miejscu i patrzył w te same okna... Tak. Giovanni Martini, przyjaciel, a zarazem rywal Waltera Ashleya... On również cierpiał, ale jego ból był niczym wobec mojej męki... On poznał ją, kiedy była już zaręczona z innym, ja straciłem Halinę z własnej winy. Bo gdybym się nie był zagadał z tym narwanym Grouse'em...

Ah, na cóż wspominać!... Raczej wypadało się zastanowić, co począć dalej. Wracać do swego mieszkania?... Za nic!... Oszalałbym tam. I znowu poszedłem, gdzie nogi poniosą. Znalazłem się w podrzędnym kabarecie, zwabiony zachęcającym ogłoszeniem: "Otwarte do szóstej rano"... Tego właśnie pragnąłem gorąco. Przesiedzieć całą noc wśród gwaru, hałasu, wśród ludzi, a nie pozostać w samotności, zdany na pastwę swych myśli... Trzy razy próbowała bar_girl, za każdym razem inna, przysiąść się do mego stolika, lecz odeszła szybciej, niż przyszła. Kelner, obdarzony na samym wstępie sutym napiwkim, pozostawił mnie w spokoju i przesiadzałem całą noc w gryzącym dymie tytoniowym, w atmosferze niewybrednej zabawy, ogłuszony, niewyspany i, co najgorsze, bynajmniej nie opancerzony przed napaściami rozpaczliwych myśli i strasznej

tęsknoty za Haliną...

- Sir, zamykamy za kwadrans - rzekł kelner...

Już szósta? Omal go nie uściskałem z radości. Nad ranem przyszedł mi bowiem do głowy pewien pomysł, który natychmiast wprowadziłem w czyn. Murzyni odznaczają się wielką pobożnością. Stara Anna nie zapomni, że dzisiaj niedziela, i prędzej czy później opuści kamienicę nr 336 przy Amsterdam Ave, aby pójść do kościoła na nabożeństwo. Byłem ją przydybał na ulicy, to jakąś przecież wiadomość z niej wydobędę...

Kalkulacja była całkiem dobra. Dwadzieścia minut po siódmej ujrzałem Annę wychodzącą z bramy na ulicę. Poznała mnie natychmiast i odsunęła się jak najdalej, jakby na widok diabła... Zastąpiłem jej drogę odważnie...

- Czego pan chce? - rzuciła szorstko. - Proszę zaraz odejść. Nie znam pana...

- To nieprawda, Anno... Znaście mnie dobrze...

- Znałam! - wybuchnęła. - Ale takiego łotra, co moją panienkę śmiał opisać w gazetach, nie chcę znać, zrozumiano?... Takiego anioła obsmarować w gazecie!... Boże jedyny!...

Mówiła podniesionym głosem, a skończywszy, odepchnęła mnie silnie i ruszyła w swoją stronę. Ten i ów przechodzień spojrział ze zdziwieniem na dobrze ubranego pana, który starą Murzynkę zaczepiał w biały dzień...

- Taki gust - burknął ktoś głośniej...

Nie dbałem o nic. Dopędziłem służącą, i zanim zdążyła rozpocząć nową litanie obelg, pokazałem jej banknot dwudziestodolarowy... Zawahała się, przystanęła, spojrzała na mnie pytająco...

- Anno... Tu zaszła straszna pomyłka... - szeptałem bardzo szybko, lękając się, że mi przerwie... - Wszystko wyjaśnię, lecz proszę mi wpierv odpowiedzieć na jedno pytanie....

- Nic nie powiem...

- Dam wam 50 dolarów.

- To zależy, jakie pytanie - rzekła łagodniej. Lody były więc złamane, chociaż nie spłynęły jeszcze.

- Czy Miss Horska wyjechała naprawdę, czy to tylko tak się mówiło...

- Wyjechała naprawdę wczoraj wieczorem...

- Dokąd?... Anno, nie pożałujecie tego... Zapłacę ładną sumę...

- Ba, żebym to sama wiedziała. Pan nie będzie wierzył, ale ja nie mam pojęcia, dokąd... od rana zaczęła pakować rzeczy, dała mi pieniądze na miesiąc i powiedziała, że za tydzień, albo za dwa, napisze. Czy ja wiem, proszę pana... Może pojechała do ciotki...

- A ciotka Miss Haliny gdzie mieszka?...

- Gdzieś w Kalifornii... Zapomniałam, jak się to nazywa...

- San Francisko?... Los Angeles?...

Wymieniłem kolejno kilkanaście miejscowości, lecz każdej nazwie towarzyszył przeczący ruch głową... Anna nie pamiętała lub nie chciała powiedzieć. Udobruchała się w każdym razie, co już było dużym postępem wobec niedawnego powitania pod bramą kamienicy nr 336. Otrzymawszy 50 dol., podziękowała mi grzecznie i przyrzekła, że, gdy otrzyma od Haliny jakikolwiek list czy kartkę, powie mi, jak brzmi nazwa poczty, skąd korespondencję nadano. Miałem o to codziennie zapytywać przez telefon. Musiałem się także zobowiązać uroczyście do zachowania dyskreji oraz do osobnego honorowania nowej przysługi, po czym rozstaliśmy się w najlepszej zgodzie... Niech mi teraz kto powie, że pieniądz nie jest najlepszym taranem dla najpotężniejszej fortecy. Stara to prawda, że Aleksander Macedoński słów na wiatr nie rzucał...

XXI

Powróciwszy do domu, wziąłem kąpiel, ogoliłem się, przebrałem i znowu wyszedłem na miasto, już w lepszym nastroju, który jednakże nie miał trwać długo. Kiedy siedziałem w restauracji, gdzie jadałem lunch w te niedziele, w które nie byłem proszony lub nie chciałem iść do Campbellów, wpadło na mnie dwóch znajomych...

- Gratuluję, Mr. Bronson - wołali na wyścigi - Pańska nowela we wczorajszym numerze "Morning News" wzięła wszystkich...

Mam wrażenie, że ten lunch przysporzył mi dwóch wrogów.

- Płacić! - krzyknąłem.

- Pan już odchodzi? - zdziwił się kelner, znający mnie chyba od lat pięciu. - Zapewne śpieszy się pan na lotnisko, ale w takim razie dość czasu. Vollar startuje o szóstej...

- Bez uwag, proszę! - rzuciłem z wściekłością, gdyż nie wiem dlaczego, Vollar przypomniał mi nagle Ashleya, a więc pośrednio Halinę... Uwzięli się na mnie ci ludzie, czy co...

- Ostatni raz tu mnie widzicie - zawołałem w najwyższym rozdrażnieniu i wyszedłem szybko, udając, że nie spostrzegam zdumienia Bogu ducha winnego kelnera, ani porozumiewawczych spojrzeń dwóch obrażonych na mnie gentlemanów...

Powróciłem znowu do domu i zabrałem się do pisania sążnistego listu do niej. Zdawałem sobie sprawę, że Halina nigdy listu ode mnie nie przyjmie, że poczta zwróci mi go niewątpliwie, a jednak pisałem, pisałem, pisałem bez końca. Przedstawiłem dzieje nieszczęsnej noweli od samego początku, zaklinałem się na cienie rodziców, że nie kłamię, składałem winę na nienawistny los, na fatalny zbieg okoliczności, który sprawił, iż wspólny pomysł Dicka i mój był wiernym odtworzeniem tragedii Haliny. W końcu błagałem o przebaczenie. Dzieło było skończone i liczyło sobie dwanaście kartek listowego papieru średnich rozmiarów.

- Siódemka - stwierdziłem nie bez zdziwienia. Rzuciłem się na łóżko i w świetle lampy zacząłem odczytywać treść mego listu. Nie dotarłem do końca. Przejścia i wstrząsy wczorajszego dnia, noc bezsenna, spędzona w zadymionej knajpie, dzisiejsza włóczęga po Amsterdam Avenue zmęczyły mnie i wyczerpały doszczętnie. Powieki ciążyły ołowiem, kleiły się, nie pozwalając na dalszą lekturę listu. Czułem, że za chwilę zasnę, że zabraknie mi już siły woli, by wstać, przejść do przedpokoju i zamknąć na klucz drzwi od klatki schodowej, czego nie zrobiłem zaraz po powrocie do domu... I zasnąłem twardo...

Śniłem o Halinie. Była w moim mieszkaniu, siedziała przy biurku, czytała mój długi list i cicho popłakiwała. Potem przyszła do łóżka. Przysłoniła lampę abazurem, aby światło nie padało mi na twarz, a usiadłszy w obok stojącym, niskim fotelu, jęła mnie głaskać po czole. Widziałem i zdawałem sobie sprawę, że śpię, bo tylko senna zjawą mogła muskać moje włosy i skórę tak delikatnie, prawie bez wycucia dotyku, bo tylko obecność Haliny mogła moje zasmucone serce

napęłnić taką radością. A że Halina była w tej chwili daleko, że było niemożliwością, aby rzeczywiście zaszła do mego mieszkania, aby darzyła mnie pieszczotą za zło, jakie jej wyrządziłem, więc był to duch Haliny, który powstał w mojej podświadomości, aby mnie chociaż we śnie pocieszył.

Więc widząc ją jakby na jawie, wiedziałem równocześnie, że to sen tylko, lecz modliłem się, żeby trwał długo, wieczność i, uśmiechając się przez sen, podsuwałem rozpalone czoło ku jej chłodnym ustom...

- Ralph!... Nie dam cię nikomu... Nikt mi ciebie nie wydrze... - słyszałem jak przez grubą zasłonę głos... Jej głos... Czy naprawdę głos Haliny?... Znalazłem siłę, by odpowiedzieć... i rzekłem:

- Tak, dziecino... Twój jestem... Twój wyłącznie...

- Za sześć dni nasz ślub, darling...

Słodkie, pachnące usteczka wpiły się w moje wargi aż do zębów, aż do utraty tchu. Otworzyłem oczy szeroko i ujrzałem... Dolly! To ona była... ją widziałem, nie tamtą...

- Dolly! - zakrzyknąłem, by usłyszeć swój głos, by się upewnić, że znowu nie ulegam złudzeniu...

- Dolly jest przy tobie, my honey... będzie zawsze przy tobie... Wiem wszystko. Już wtedy odgadłam intuicyjnie, że pomiędzy nami stanął ktoś trzeci; opowiadanie ojca o wczorajszym incydencie w redakcji i twoje nagłe zniknięcie skłoniło mnie do przyścia tutaj, a te listy wyjaśniły mi resztę. Wybacz niedyskrecję. Musiałam je przeczytać, gdyż o ciebie tu chodziło, darling... Ale teraz wszystko już będzie dobrze, jak było przedtem, zanim ją poznałeś...

- Ona wyjechała.

- Wyjechała. Usunęła się nam z drogi.

Westchnąłem mimowolnie...

- Tak być musiało - ciągnęła Dolly poważnie. - To zrządzenie losu, że przypadkowym odkryciem i odsłonięciem tajemnicy Haliny wykopałeś przepaść pomiędzy nią, a sobą. Gdyby nie to, mogło być dojść do wielkich komplikacji... Przecież ty się w niej... prawie kochałeś...

Prawie? Czy tylko "prawie"? Dolly sama w to nie wierzyła z pewnością, bo nagle dwie duże łzy zaperliły się w kącikach jej oczu i jęły powoli spływać po policzkach. Nienawidzę histerycznych wybuchów, urozmaiconych strumieniami łez, lecz cichy, bolesny płacz kobiety ugniata mi serce na wosk w mgnieniu oka. Więc przycisnąłem rozżaloną dziewczynę bliżej do siebie i zacząłem ją tulić, pieścić, jak małe, zapłakane dziecko. Ale krew nie woda. Pocałunki stawały się coraz szybsze, coraz dłuższe, aż tchu zabrakło niekiedy...

- Ralph! - rzuciła w pewnej chwili zdyszczym głosem - pójdę już bo...

- Bo co?

- Nie rękę za siebie...

- Ha, skoro chcesz mnie opuścić w takiej chwili...

Spojrzała mi w oczy badawczo i szybko zmieniła decyzję.

- Masz słuszność, najdroższy... Nie mogę cię teraz pozostawić na pastwę wspomnień i myśli... o tamtej. Zostaje!

Zatelefonowała do domu, że powróci około północy, gdyż znalazła mnie i mamy zamiar pójść razem do kabaretu, potem zamknęła na klucz drzwi, wiodące z przedpokoju do klatki schodowej, które, zasypiając, zostawiłem otwarte, wreszcie weszła za parawan. Słyszałem drażniący szelest jedwabnej sukni, stuk odrzuconych pantofelków, lecz przeszła dłuższa chwila, a Dolly nie wychodziła spoza zasony... Kiedy ją zawołałem po imieniu, odparła głosem cichym, zmienionym:

- Wstydzę się, Ralph... Zgaś lampę.

Zgasilem.

Przez kilka sekund łowiłem chciwie uchem odgłos stapania bosych nóg po podłodze, a za ledwie leżący przy łóżku dywanik pochłoniął te szmery, obnażone gorące ramiona owinięły mi szyję...

Może kwadrans później zaświeciłem lampę. Dolly przymrużyła oczęta przed blaskiem elektrycznej żarówki, źle osłoniętej abażurem. Przyzwyczajony do światła, ucisnęła mocno obie moje dłonie i powiedziała głosem tak poważnym, że aż o uroczysty ton zatracał.

- Od dzisiaj jestem twoją małżonką... Nie wolno ci już myśleć o tamtej...

O, po cóż dodała to drugie zdanie! W tym momencie nie myślałem rzeczywiście o Halinie, lecz niebaczone słowa targnęły struną przepotężnej tęsknoty i odłożyły wszelkie wspomnienia...

- Ralph!... Czemu nie patrzysz mi prosto w oczy? Uściskaj mnie i powiedz: żono moja.

- Żo_no - powtórzyłem z jękiem, gdyż z ciemnego kąta sypialni wyjrzała nagle, jak żywa, niezapomniana twarz tamtej, stworzona siłą mej wyobraźni, tęsknoty i... miłości.

XXII

Pompey Vollar podzielił los Waltera Ashleya i tylu innych lotników. Trzy dni, trzy doby upłynęło od chwili startu spod Nowego Jorku. Trzy doby czekały miliony ludzi na jakąkolwiek wiadomość. Lecz na darmo. Poza jednym telegramem, wysłanym z kabiny aeroplanu w czasie przelotu nad Nową Szkocją, a donoszącym że “wszystko w porządku”, nie wyłapały stacje odbiorcze nic więcej, nawet rozpaczliwego “SOS”.

Niepoprawni optymiści, którzy w pół roku po odlocie “Błękitnego Ptaka”, wierzyli, iż Nungesser i Coli bląkają się gdzieś w puszczech Kanady, wierzyli także tym razem, że Vollar oraz jego dwaj towarzysze się odnajdą...

Ale ja do takich optymistów nie należę. Wiem, że Edgar Scott słów na wiatr nie rzuca; skoro twierdził, iż odlot z Ameryki przed wieczorem grozi niechybną śmiercią, to musiał mieć po temu ważne argumenty. Pompey Vollar nie przywiązał żadnej wagi do wstępnego artykułu sobotniego numeru “New York Morning News”, zlekceważył ostrzeżenie i poniósł konsekwencje. Byłem pewny, że tak się stanie...

Dick Campbell nie omieszkął przypomnieć opinii publicznej, iż przestrzegał przed odlotem o takiej a takiej porze dnia i także musiał odpokutować za swoje. Listownym czy telefonicznym zapytaniom, dlaczego start w godzinach popołudniowych grozi śmiercią lotnikom, nie było końca. Odźwierny John staczał homeryckie boje z procesjami czytelników, żądających wyjaśnień. Musiałem dobrze pilnować mego in spe teścia, aby nie zdradził tajemnicy, iż właściwym autorem ostrzeżenia jest profesor Edgar Scott. Pomysłowy Dick znalazł wyjście z trudnego położenia. W czwartkowym numerze naszego dziennika kropnął sążnisty artykuł o przelotach nad Atlantykiem, zestawiając w skonstruowanej ad hoc tabeli pory startu poszczególnych maszyn. Ku niemałemu zdziwieniu samego autora okazało się, że 85% udanych przelotów z Ameryki do Europy rozpoczęło się startem w godzinach przedpołudniowych. W liczbie tych szczęśliwych lotników znaleźli się sławny Lindbergh, dalej Chamberlin, a także Walter Ashley, który przecież do Francji doleciał, a zginął w powrotnej drodze.

Podobnie miała się rzecz z lotami w przeciwnym kierunku. Aparaty, które zbliżały się do brzegów Nowego Świata nocną porą, przepadały bez śladu w olbrzymiej większości...

Ta smutna stastyka świadczy najwymowniej... wołał Dick Campbell w swym rewelacyjnym artykule:

że nocną porą zawisła jakaś groza, jakieś straszliwe niebezpieczeństwo u brzegów Ameryki. Dopóki to niebezpieczeństwo nie będzie zbadane do gruntu, dopóki nie znajdziemy środków do zwycięskiego zwalczania go, nie wolno nam narażać najdzielniejszych lotników na nieuchronną zgubę.

Sprawa przelotów nad Atlantykiem powinna być uregulowana w drodze ustawy. Na

podstawie statystycznych danych należy ustalić trasę przelotów, a przede wszystkim porę startu...

Nie zamierzam tu oczywiście cytować reszty artykułu, gdyż zajęłoby to nazbyt wiele miejsca.

Około jedenastej wszedł do mej pracowni Dick, zacierając dłonie, jak zawsze, kiedy był z czegoś zadowolony...

- Jesteś bardzo zajęty? - spytał. - Średnio.

- Jak skończysz przegląd prasy, to wyjdź. Masz zapewne coś do załatwienia w przededniu swego ślubu.

- W przededniu ślubu - powtórzyłem machinalnie, - Tak, mam kilka sprawunków.

- Urządzasz kawalerski wieczór, co? He, he, he, he! Masz rację, chłopcze. Małżeństwo to... to... - nie wiedział, który z oklepanych komunałów będzie najodpowiedniejszy. Machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: "co tu gadać; sam się przekonasz". Potem myśli jego powróciły ku jednemu ideałowi, jaki posiadał w życiu: doprowadzenie "Morning News" do najwyższych możliwych szczytów świetności. Tej idei musiało służyć wszystko, każdy fakt musiał być cegiełką pod gmach suprematu "Morning News" nad konkurencyjnymi pismami, nawet zaślubiny jedynaczki...

- Na pierwszej stronie pójdą tylko dwie fotografie, Dolly oraz twoja. Pod spodem olbrzymi napis: "Najważniejsze wydarzenie kroniki towarzyskiej Nowego Jorku"... Na drugiej stronie machnie się artykuł na dwie kolumny... Powiedzmy na trzy. Mam go już w głowie...

- Jak to? Ty sam chcesz pisać o ślubie swej córki?

- A kto ma pisać?

- Dajże spokój. Ośmieszylbyś się wobec personelu redakcyjnego. Niech się Taylor tym zajmie, albo Haig...

- Haig? Dziękuję uprzejmie. Za trzy dni byłby artykuł gotowy... Hm... Taylor... To prędeż, ale muszę mu dać wskazówki... Aha, chciałem cię zapytać o bardzo ważny szczegół, o którym zrobi się specjalną wzmiankę... Dokąd właściwie zamierzacie wyjechać w podróż poślubną...

- Dokąd? Prawdę powiedziawszy nie uczyniliśmy jeszcze wyboru.

- Niesłychane! Od niedzieli konferują na ten temat, jutro ślub, i do tej pory nie postanowili, dokąd pojadą. Skończy się na tym, że pojedziecie na Florydę. Przecież kabinę na każdym statku trzeba zamówić kilka dni wcześniej.

- Zaręczam ci, że wyjedziemy z Nowego Jorku jutro wieczorem.

- Ale dokąd, dokąd człowiecze!... Jak mam pisać?...

- Cóż się mnie czepiasz. Pozostawiłem Dolly wybór...

- A ona, nie dawniej, jak dzisiaj rano, powiedziała mi przy śniadaniu: "Ralph ci powie. Jemu pozostawiłam decyzję".

- Ha, jeśli tak, to dzisiaj po południu się dowiesz.

Idąc na lunch, nadłożyłem drogi i zapukałem do mieszkania Haliny.

- Dostałam kartkę od panienki - przywitała mnie stara Anna.

Omal jej nie uściskałam z radości...

- Pokaż... Anno, prędko, prędko!

Nie zdradzała żadnego pośpiechu, przypominając mi w ten "subtelny" sposób, że według naszego układu każda cenna wiadomość ma być osobno honorowana.

- Oto dziesięć dolarów - rzekłam, wręczając jej banknot.

Chwilę później czytałem z biciem serca krótką treść widokówki, wysłanej przez Halinę do wiernej służącej. "Wiernej, ale przekupnej" przemknęło mi przez myśl.

Miss Halina pisała:

"Moja Pocziwa Anno!

Zaczynam przychodzić do siebie. Jestem bardzo zadowolona, że opuściłam Nowy Jork. Zapewne nieprędko powrócę do tego hałaśliwego miasta, z którym łączy mnie tyle smutnych wspomnień. Zamieszkać prawdopodobnie u ciotki, w Sacramento. Adres dam Ci jak przyjadę, ale pamiętaj, że nie wolno go nikomu podawać. Nikomu! Czy pytał może ktoś o mnie? Masz mówić, że nie wiesz, dokąd wyjechałam. Pozdrawiam Cię serdecznie, Pocziwa Nianiu

Twoja Hala"

Przeczytałem raz jeszcze i obejrzałem widokówkę ze wszystkich stron. Wrzucono ją do skrzynki listowej w Ogden, jak głosił stempel poczty. To by się zgadzało. Jadąc do Kalifornii, wybrała Halina tak zwaną "Overland Route", która wiedzie przez Ogden, położone nad Słonymi Jeziorami...

Dziesięć minut później telefonowałem z najbliższej kawiarni do narzeczonej...

- Dolly - zacząłem trochę niepewnie. - W związku z naszą podróżą poślubną przyszedł mi właśnie pewien pomysł do głowy. Możebyśmy tak zwiedzili Kalifornię... Jak uważasz?

- Kalifornia?... Byłam tam dwa lata temu, widziałam prawie wszystko, co widzenia godne, ale skoro ty chcesz, darling...

- Stamtąd możemy zrobić wycieczkę na Hawaje - dodałem skwapliwie, chcąc Dolly zainteresować mym projektem.

- O, widzisz!... To już coś, Hawaje, ewentualnie Filipiny lub Japonia.

- Tak, tak, oczywiście, jeśli tylko czasu starczy - potakiwałem z zapałem. - Twój ojciec zapytywał przed godziną, dokąd się wybieramy, gdyż ta informacja jest mu potrzebna do jutrzejszego artykułu pod tytułem: "Najważniejsze wydarzenie kroniki towarzyskiej Nowego Jorku"... Jak ci się to podoba? Pyszne, co?... Powiem mu zatem, że jedziemy do Kalifornii, a stamtąd ewentualnie dalej...

- Czemu tylko ewentualnie?... na pewno gdzieś dalej. Hm... Skąd ci właściwie przyszedł ten pomysł? Jeszcze wczoraj głosowałaś za Egiptem.

- Skąd mi przyszedł ten pomysł? - powtórzyłem przeciągle, aby zyskać na czasie i znaleźć jakiś wybieg. - Bardzo po prostu. Wpadły mi w ręce najnowsze prospekty "Southern Pacific", zachwalające "Overland Route", "Sunset Route" i inne - łgałem szybko, błogosławiąc w duchu, że nie pojechałem z tym do Campbellów osobiście, skutkiem czego Dolly nie mogła widzieć mego zmieszania .

- Aha - rzekła dość obojętnie, kiedy ukończyłem długą litanię pochwał na cześć podróży na zachód. - A więc marszruta naszej podróży poślubnej nareszcie ustalona... Dobrze... Wpadniesz do nas oczywiście przed wieczorem... Nie zapomnij przynieść z sobą tych prospektów.

- Odłożywszy słuchawkę, zapisałem w notesie: "Zaopatrzyć się we wszelkie prospekty, dotyczące Kalifornii"...

XXIII

Klamka zapadła.

W dniu dzisiejszym odbył się nasz ślub; Dolly jest od dzisiaj moją legalną małżonką wobec świata, a oboje zostaliśmy współwłaścicielami “New York Morning News” i współnikami Campbella.

Dzień ten pozostawił mi wiele wrażeń, nie powiem przyjemnych, lecz mocno wżerających się w pamięć. Chwilami zdawało mi się, że patrzę na film, rzucany na ekran w groteskowo zwolnionym tempie, i że równocześnie gram w tej fazie główną rolę. W każdym razie był to film pierwszorzędny, wyreżyserowany mistrzowsko w najdrobniejszych szczegółach. Statyści nie byli tłumem manekinów, ale zbiorowiskiem doskonałych aktorów, z których każdy grał swą epizodyczną rolę, tak jakby wszystkie oczy zwrócone były wyłącznie na niego. Główni bohaterzy przeszli samych siebie i zgasili swą grą najlepsze gwiazdy z Hollywood...

Taki Dicka Campbell stworzył niezrównaną kreację powojennego dorobkiewicza, który jedynaczkę za mąż wydaje, który pragnie, aby o tym fakcie wiekopomnym wszyscy mówili jak najwięcej, jak najgłośniej, jak najdłużej. Chwilami ulegałem złudzeniu, że fraj mego teścia uszyty jest z nadzwyczajnych dodatków “N. Y. Morning News”, że jego złote zęby to lampeczki świetlnej reklamy, która woła donośnie i obwieszcza “urbi et orbi:” Jestem Dick Campbell! Kto mnie jeszcze nie poznał z licznych fotografii, niechaj patrzy. Na urządzenie eleganckiego mieszkania dla córki wyasygnowałem 70 000 dolarów; na podróż poślubną 15 000 dolarów; dzisiejsza uroczystość będzie mnie kosztowała co najmniej 10 000 dol., bo 5000 dol. wypłaciłem do tej pory. Patrzcie na biżuterię mej żony. Jak myślicie, ile kosztowały koronki, które córce sprawiłem? To nie falsyfikat, moi drodzy. Dicka stać na oryginały!... Tak, tak. Same oryginały”...

Mrs. Campbell dotrzymywała placu godnemu małżonkowi. Nie miała wprawdzie złotych zębów, lecz rolę świetlnej reklamy odgrywały przeliczne brylanty jej biżuterii. Ooo, bo moja teściowa błyszczała owego dnia, jak okno wystawowe pierwszorzędного jubilera.

Ciotki, kuzynki, brzuchaci wujowie o łapach, jak łopaty, wystrojone babki, które swą karierę, w kramach na prowincji zaczynały zapewne, w ogóle cała dalsza rodzina mej żony stworzyła galerię niezrównanych typów.

Odrębną grupę stanowili liczni pretendenci do ręki Dolly i portfelu jej papy, z Bobem Kennedy na czele. Miny na pierwszy rzut oka pewne, nonszalanckie, spojrzenia rzucające w moją stronę zaprawione dozą ironii i kawalerskiego triumfu: “dał się złapać” lub “szybko zramolejesz, biedny żonkosiu”, a potem wzrok ich biegł ku świetlnej reklamie złotych zębów Dicka, ku bajecznym brylantom Mrs. Campbell i stawał się smutnawy, melancholijny, jakby mówił: “nieprędko się trafi taka gratka; panna piękna, młoda, a przy tym synekura u diabła ładowanego papy... szkoda! Bronson wcale nie taki głupi, jak myślałem”.

Muszę i o sobie coś powiedzieć. Czułem się bardzo nieswojo, przeklinałem w duchu całą tę hecę i z utęsknieniem wyglądałem jej końca. Ale do końca było jeszcze bardzo daleko, a na razie wypadło grać swoją rolę jak najlepiej, bo zewsząd czyhały najwrażliwsze obiektywy świata, zazadrosne, nieżyczliwe oczy bliźnich...

Zdając sobie doskonale sprawę ze śmieszności tej komedii, w jakiej mi narzucono główną rolę, usiłowałem być naturalny, swobodny i taki jak zawsze, lecz im bardziej do tego dążyłem, tym bardziej stawałem się sztywny, napuszony, nieswój. A kiedy chciałem się poddać tej sztywności, która tak się sama narzucała, ujrzałem ironiczne uśmiešky “serdecznych przyjaciół” rodziny Campbellów i zrozumiałem, że byłem śmieszny. Więc uradowany tym odkryciem, zacząłem się także uśmiechać, sypać żartami, kiedy nagle posłyszałem plotkarski szept z boku.

- W tak uroczystym dniu błaznuje. I to ma być zdaniem Dicka: człowiek serio!... Biedna Dolly!

Odwróciłem głowę machinalnie i dostrzegłem zgorszone spojrzenie ciotycznego areopagu, który też wyniósł się co prędzej do przytulnego salonu.

Wówczas mruknąłem pod nosem brzydkie przekleństwo pod adresem wszystkich gości i całą uwagę zwróciłem na Dolly. Wyglądała ślicznie. Starła się nie dać poznać po sobie, że jest trochę wzruszona, a ustawiczne lawirowanie pomiędzy stanem tkliwego rozrzewnienia a filuterną brawurą, złożyło się w rezultacie na minę tak rozkoszną, że trudno było oczy od niej oderwać. Nie odrywałem ich też i patrzyłem na nią bez przerwy, jak w tęczę, czując, że w sercu zaczyna kiełkować nowe uczucie, może mniej silne, niż “wulkaniczna” młodzieńcza miłość, może mniej gwałtowne, niż wybuchy namiętnego pożądania kochanki, lecz bardziej stałe, pewne, równomierne i trwałe; rozumiałem, że budzi się we mnie uczucie, nazwane niesprawiedliwie tylko: przywiązaniem, a które jest w rzeczywistości silniejszą spójnią i cementem małżeństwa, niż miłość lub interes.

Halina nie przyszła mi na myśl ani razu w ciągu całego dnia, jak gdybym jej w ogóle nie znał. Aż wieczorem w czasie ostatniego aktu wspaniałego przyjęcia u Campbellów, sam Dick wywołał wilka z lasu...

- Wyjeżdżają do Kalifornii - huczał tak, aby wszyscy słyszeć mogli. - Tak, proszę pani, do Kalifornii, a potem zapewne nieco dalej... na przykład Japonia - podkreślił. - Żona doradzała Florydę, ale Ralph się uparł i na tym stanęło.

Wystawa sklepu jubilerskiego... przepraszam... moja teściowa zerknęła na przegub dłoni, gdzie tkwił maleńki zegareczek w aureoli brylantów.

- Moje drogie dzieci - wymówiła swym drewnianym głosem. - Najwyższy czas zacząć się przebierać do podróży.

Żegnałem się z gośćmi machinalnie, odruchowo ścisnąłem czyjeś dłonie na lewo i prawo,

nie bardzo wiedząc, co robię ani czy przytomnie odpowiadam na zdawkowe pytania, gdyż w duszy staczałem ciężką walkę. Ralph_gentleman dowodził przekonująco, że, skoro poślubiłem Dolly, to byłoby haniebną nieuczciwością udawać się w podróż w te strony, gdzie mogłem spotkać tamtą... “Przecież wybierając wczoraj Kalifornię, żyłeś jedyną tylko nadzieją: “ujrzeć choćby z daleka Halinę”... mówił, i było to szczerą prawdą...

Ralph_ten trzeci, przyciśnięty do muru, wił się jak wąż: “Masz rację”, bełkotał... “Kocham Dolly, przywiązuję się do niej z każdą minutą więcej i wiem, że z tamtą wszystko skończone po wydrukowaniu nieszczęsnej noweli, lecz za późno teraz zmieniać decyzję. Bilety mam w kieszeni, hotele powiadomione telegraficznie, kufry na dworcu. Nieoczekiwana zmiana trasy wywołałaby zrozumiałe zapytania, komentarze, może nawet podejrzenia... Właśnie przez wzgląd na Dolly należy brnąć dalej. Zresztą, Kalifornia duża. Nie wierzę, żebyśmy się mieli gdzieś spotkać”... “Nie wierzysz, ale marzysz o tym” mruknął gentleman. Ralph_dziennikarz nie brał udziału w utarczce, zajęty banalną konwersacją z weselnymi gośćmi...

Stojąc już na progu salonu, ujrzałem, że Dick przeciska się pośpiesznie w moją stronę...

- Chciałeś mi coś powiedzieć? - spytałem.

- Nie - odparł. Wzywają mnie do telefonu. Haig dzwoni z redakcji.

- Musiało zajść coś niezwykłego, bo, o ile pomnę, przykazałeś wczoraj, aby ci nie przeszkadzano.

- Tak. “Chcę mieć choć jeden dzień odpoczynku”, powiedziałem Haigowi. Jak widzisz, jest to niemożliwe.

Tak rozmawiając, dotarliśmy razem do gabinetu Dicka, gdzie znajdował się telefon. Niestety, nie było mi dane już teraz zaspokoić ciekawość, gdyż odwołała mnie Dolly...

- Honey, spóźnimy się stanowczo na pociąg - rzekła z łagodnym wyrzutem i wprowadziła mnie z sobą do dalszych pokojów. Dopiero przy pożegnaniu z teściami zdołałem zagadnąć Dicka, jakie wiadomości otrzymał z redakcji...

- Czy naprawdę zaszło coś ważnego?

- Tak... zapewne - odparł niechętnie - Przyszła depesza z St. John, że Pompey Vollar się odnalazł.

- Co ty mówisz!...

- Dzięki Bogu!

- Jakże się cieszę! - padły jednocześnie trzy okrzyki, mój, Mrs. Campbell i Dolly. Natomiast sam zwiastun radosnej wieści nie miał bynajmniej zadowolonej miny...

- Dobrze wam się cieszyć - mruknął - ale jak ja teraz wyglądam po czwartkowym artykule. Napisałem przecież, że Vollar zginął na pewno, ponieważ nie posłuchał ostrzeżenia “Morning News” i wystartował przed wieczorem... Tom się ubrał... A wszystko przez tego głupiego Scotta,

czy jak się tam twój uczony zoolog nazywa.

Dolly oburzyła się szczerze.

- Więc papa wolałby, aby ci dzielni lotnicy utonęli w Atlantyku, byle tylko "Morning News" miały rację?... Aaa, ślicznie!

- Nie wtrącaj się do nie swoich rzeczy - burknął ugodzony w piętę achillesową.

- Czekaj no, Dick... Nie powiedziałeś nam wszystkiego. Gdzie znaleziono Vollara? Czy na brzegach Anglii?

- Gdzie tam! Załedwie w połowie drogi Bonavista Bay.

- Zatoka Bonavista... To Nowa Funlandia?

- Tak.

- Więc czemu się martwisz, stary chłopie? Wszystko w porządku. Twój czwartkowy artykuł nie tylko cię nie ośmiesza, ale czyni cię autorytetem w sprawach przelotów transoceanicznych.

- Czy kpisz?

- Słuchaj, człowieku. Przepowiadałeś, że lot rozpoczęty, wieczorną porą, nie może się powieść i nie powiódł się rzeczywiście: Pompey Vollar spadł tuż obok Nowej Funlandii... Że mu się udało ocalić życie, to po prostu cud. Inni nie mieli tego szczęścia. Otóż, nie wchodząc w to, czy zginął, czy się ocalił, stwierdzam jeden fakt murowany, że oceanu nie przeleciał, zlekceważył bowiem mądrą przestrożę profesora Scotta...

- Scotta? Któż to taki? - zainteresowała się Mrs. Campbell.

Dick zbył to pytanie machnięciem ręki, jakby się opędzał od utrapionej muchy. Moje trafne spostrzeżenie poprawiło mu humor od razu...

- Toś mnie pociszył! - huknął. - Naturalnie, że czwartkowe proroctwo pasuje mnie na autorytet... Oczywiście! Zapowiadałem: nie przeleci i bęc, wpadł w wodę. Oho, kropnie się jutro artykuł. Aż mnie ręka swędzi... Hm, hm, hm... miałbym ochotę już teraz go naszkicować...

- Ależ, Dick!... Mamy gości... Musisz ze mną a wy, dzieci, jedźcie jedźcie... Jest naprawdę bardzo późno...

Wsiedliśmy do limuzyny, która ruszyła pędem w stronę dworca. Nie dowiedziałem się już, czy Mrs. Campbell zdołała przekonać małżonka, że stanowczo lepiej robotę na jutro odłożyć, czy też krewki Dick znowu postawił na swoim i, porzuciwszy gości, poszedł do swego gabinetu szkicować nowy artykuł o przelotach nad Atlantykiem...

Przybyliśmy na dworzec na cztery minuty przed odejściem pociągu, zostawiając skutkiem pośpiechu, w aucie, najmniejszą z przelicznych walizek...

- Zły znak - rzekła Dolly szczerze zmartwiona. Tam schowałam mój amulet.

- Jaki amulet?

- Mały posążek Buddy. Niedobrze się zaczyna nasza podróż poślubna.

Na próżno ją przekonywałem, że wszelkie zabobony to nonsens, na próżno żartowałem, udowadniając, iż podróż poślubną należy odbywać stanowczo we dwoje a nie we trójkę, choćby tym trzecim miał być sam doskonały Budda, zapatrzony w swój pepek i pogrążony w kontemplacji; Dolly pozostała zamyślona, nieledwie smutna i, co najdziwniejsze, zaraziła mnie tym nastrojem, mnie, który dotychczas nie wierzyłem w przeczucia...

XXIV

Do Chicago zajechaliśmy nazajutrz o godzinie trzeciej po południu, mając pięć godzin czasu do odejścia najbliższego pociągu linii "Overland Limited", bowiem Dolly nie chciała się tutaj dłużej zatrzymywać. Pozostawiwszy więc kufry w przechowalni, zrobiliśmy dłuższą wycieczkę samochodem wzdłuż brzegu Jeziora Michigan, powałęsaliśmy się po mieście i, zaopatrzeni w spory ładunek czasopism, powróciliśmy na dworzec. Śniadanie zjedliśmy już w wagonie restauracyjnym ekspresu, który wyruszył z Chicago punktualnie ósma dziesiąta, by po sześćdziesięciu trzech godzinach jazdy wyrzucić nas po drugiej stronie kontynentu w San Francisco.

Po obiedzie zaczęło się zwiedzanie naszego pędzącego hotelu. Rolę przewodnika objęła Dolly, która już dwukrotnie odbyła podróż tą linią kompanii "Southern Pacific". Oprowadzała mnie po wagonach sypialnych, łazienkach, salonach fryzjerskich dla pań i panów, bibliotece, czytelnicy i salonach.

Rozglądałem się z ciekawością, gdyż pierwszy raz w życiu jechałem tak luksusowym pociągiem. W początkach bowiem mej kariery podróżowałem bardzo skromnie, aby oszczędzić pieniędzy, a później, kiedy los zaczął mnie kokietować, zrozumiałem, że największym majątkiem businessmana nie jest pieniądź, który można równie szybko stracić, jak i odzyskać z nadwyżką, lecz czas, którego nigdy odrobić nie można i, aby jak najmniej tego skarbu uronić, podróżowałem niemal wyłącznie pasażerskimi samolotami.

Toteż z zainteresowaniem słuchałem rozkosznego szczebiotu mej przewodniczki i ze szczerym uznaniem podziwiałem komfort i celowość każdego drobiazgu w tym ruchomym hotelu. Wszystko było tu z góry przewidziane, obmyślane i urządzone tak, by zapewnić jak największą wygodę wybrednym turystom i kapryśnym magnatom finansjery, nawykłym do życia wśród zbytku.

- Jeszcze musisz zobaczyć ostatni wóz - rzekła Dolly, kiedy zbierałem się do powrotu, sądząc, że już wszystko obejrzałem.

Ostatnim wozem był tak zwany "observation car", czyli ogromny wagon salonowy bez przedziałów, przeznaczony do podziwiania mijanych okolic. Środkiem przez całą długość biegł dywan, a po obu bokach stały wysokie i bajecznie wygodne fotele, po szesnaście z jednej i drugiej strony. Każdy fotel był ruchomy, osadzony na pionowej osi, jak nieodzowny taboret przy pianinie w mieszczańskim saloniku, każdy sąsiadował z jedną z trzydziestu dwóch dużych szyb, poza którymi przesuwał się barwny kalejdoskop przesuwających się krajobrazów.

Samo zakończenie pociągu stanowiła platforma, nakryta daszkiem, lecz ogrodzona tylko żelazną barierką. Tu stały wyplatane krzesła i leżaki dla zwolenników świeżego powietrza, tu spod stóp uciekały dwa stalowe węże szyn, biegnących, zda się, w nieskończoność.

- Ale wszystko to trzeba obejrzeć dopiero jutro. Teraz ciemno.

Ostatnia uwaga Dolly była całkiem słuszna. Powróciliśmy też niebawem do naszego

przedziału w drugim wagonie sypialnym i wyciągnąwszy się na wygodnych łózkach, z słuchawkami radiowymi przy uszach, rozpoczęliśmy czytanie zakupionych w Chicago czasopism. Audycja lekkiej, tanecznej muzyki nie przeszkadzała w tym bynajmniej, przeciwnie, uprzyjemniała również lekkostrawną lekturę...

- Czytałaś?! - krzyknąłem w pewnym momencie, a kiedy żona zaprzeczyła ruchem głowy i zdjęła słuchawki, aby lepiej słyszeć, przeczytałem głośno:

“Wiadomość podana przez poranne wydanie naszego pisma o odnalezieniu Pompeya Vollara okazała się, niestety, mylną.

Nasz korespondent z St. John donosi, że rybacy znad zatoki Bonavista wyłowili w dniu wczorajszym tylko część lewego skrzydła samolotu Vollara, a nie cały samolot, jak w pierwszej depeszy omyłkowo podano.

Wobec tego, iż z górą dobę trwające, energiczne poszukiwania nie dały żadnego rezultatu, należy się liczyć ze smutną ewentualnością, że bohaterscy lotnicy zginęli w nurtach oceanu, jak”...

urwałem nagle, sam nie wiem dlaczego...

- Jak... kto? - spytała Dolly spokojnie, patrząc mi prosto w oczy.

Odchrząknąłem, przeczytałem jednym tchem i zagadałem czym prędzej, pragnąc zatrzeć wrażenie całkiem niepotrzebnego zmieszania...

- “Jak Walter Ashley i inni”... Więc jednak zginęli biedacy... A to fatalnie!... Tak blisko brzegu... Hm, co ty na to?

- Cóż ja; żal mi ich serdecznie, ale dam sobie rękę uciąć, że papę ta wiadomość ucieszyła.

- Sądzisz go nazbyt surowo - ująłem się za Dickiem nie tyle z przekonania, ile w tym celu, by jej uwagę odwrócić od Ashleya... - Gdyby to kto obcy słyszał, mógłby...

- Sądzę go tylko takim, jakim jest rzeczywiście - przerwała mi Dolly. - Tak, darling... Tu nie ma co ukrywać... Pompey Vollar żywy mógłby udowodnić, że wypadek spowodował defekt motoru, burza, czy inna, podobnie prozaiczna przyczyna... Pompey Vollar nieżywy będzie milczał, bo tajemnicę zabrał do grobu... Nic tedy nie przeszkadza naczelnemu redaktorowi “Morning News” rozpisywać się nadal o “tajemniczej grozie, jaka zawisła nocną porą u brzegów Nowego Świata”, czy jak tam wołał mój przedsiębiorczy papa w swym sławetnym artykule czwartkowym o przelotach transoceanicznych. Niesamowita zagadka będzie nadal niezrównanym żerem dla czytelników “Morning News”, którzy nie mogą żyć bez silnych wrażeń, wstrząsów, emocji... Nakład naszego pisma wzrośnie znowu, więc znowu my, akcjonariusze, zyskamy, a zyskamy dzięki nieszczęściu najdzielniejszych bliźnich, utuczymy się kosztem ich śmierci... Zwykła kolej rzeczy, dear Ralph...

Ruchem ręki przerwałem te wywody.

- Czekaj, darling - rzekłem - w “Chicago Tribune” widzę większą wzmiankę o wypadku

Vollara... Pozwolisz, że przeczytam?...

- Czytaj prędko... Jestem szalenie ciekawa.

- A zatem...

“Podana w depeszy wczorajszej wiadomość o ocaleniu Pompeya Vollara”...

- Okazała się, niestety, fałszywą; - wtrąciła Dolly domyślnie. - Wszystko na jedno kopyto...

Nowych szczegółów nie ma?

Przebiegłem wzrokiem notatkę i nagle usiadłem na łóżku, zelektryzowany treścią ostatnich wierszy...

- Słuchaj! - rzekłem stłumionym głosem...

“Dokładne oględziny znalezionej skrzydła samolotu “Pride of Brooklyn” doprowadziły do niezwykłego odkrycia. Mianowicie blacha na szczycie przedniej krawędzi jest lekko wgięta, wtłoczona do środka, jak gdyby skutkiem zderzenia z jakimś przedmiotem, a wierzchnia płaszczyzna skrzydła posiada tuż obok wgiętego miejsca kilka dużych, rdzawych plam. Pomimo skutków działania wody morskiej, w której złamane skrzydło dłuższy czas przebywało, zdołano stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że zagadkowe plamy są śladami krwi”...

- Krwi?! - krzyknęła Dolly, przejęta grozą. Zeskoczyła ze swego łóżka, wślizgnęła się pod moją kołdrę i przytuliła się do mnie całą długością ciała... Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zarzuciła mnie pytaniami na temat, jak się to mogło stać, że wierzchnia płaszczyzna skrzydła, w dodatku na samej krawędzi, a więc w miejscu bardzo od kabiny lotników odległym, została obryzgana krwią...

- Zanim to zaczniemy rozstrząsać, dokończmy wpierw lekturę - zaproponowałem. - Może się jeszcze czegoś dowiemy. Chcesz czytać razem ze mną?

- Nie, nie - odparła... - Tak mi teraz dobrze i nie boję się niczego przy tobie... Czytaj sam... głośno.

Czytałem więc:

“Znalezione skrzydło samolotu “Pride of Brooklyn” opakowano troskliwie i stosownie do dyspozycji prezydium Aeroklubu wysłano w dniu dzisiejszym do Nowego Jorku”...

- To już wszystko? - spytała, a głos jej zdradził duże rozczarowanie.

- Wszystko, jeśli chodzi o ostatnie telegramy. Ale jest jeszcze przypisek od redakcji okazałych rozmiarów. Chcesz posłuchać?

Przytaknęła głową.

“W dzisiejszym nadzwyczajnym dodatku, poświęconym katastrofie samolotu “Pride of Brooklyn” wypowiedzieliśmy się wyczerpująco na temat przelotów nad oceanami i związanych z tym niebezpieczeństw. Tu chcemy omówić szczegóły wypadku Vollara, szczegóły, jakich nie

znaliśmy jeszcze w chwili, gdy drukowano nadzwyczajny dodatek. Mamy na myśli ową szramę na przedniej krawędzi znalezionego skrzydła oraz ślady krwi (?).

Pierwsze odkrycie nie nasuwa żadnych trudności, natomiast drugie, o ile owe rdzawe plamy są rzeczywiście śladami krwi, stawia nas wobec najtrudniejszej zagadki.

W jaki sposób samolot otrzymał bliznę, jak po zderzeniu z twardym przedmiotem, skoro nie spadał na ziemię, lecz runął w nurty zatoki morskiej z dala od brzegu?

Na to pytanie można znaleźć aż trzy odpowiedzi.

Po pierwsze, nie jest wykluczone, że ów znak na skrzydle posiadał aparat już w chwili startu z lotniska, a spowodować go mogło nieuważne potrącenie czy uderzenie przy wytoczeniu samolotu z hangaru. Było to w takim razie draśnięcie zupełnie nieszkodliwe, gdyż poważniejszy defekt usunięto by niewątpliwie przed podróżą.

Po drugie jest bardzo prawdopodobne, że wgięcie delikatnej blachy duraluminiowej spowodowali rybacy, którzy wyłowili skrzydło samolotu z zatoki Bonavista. Wystarczył przecież nieostrożny ruch ciężkiego wiosła, lub uderzenie o burtę kutra.

Po trzecie, przypuścić można, iż wgięcie spowodowało lekkie uderzenie lecącego samolotu o szczyt jakiegoś drzewa. Ten, kto widział, jak aparat Pompeya Vollara, obciążony ogromnym ładunkiem benzyny, startował z lotniska dwukrotnie bez rezultatu, jak za trzecim razem oderwał się ciężko od ziemi i, płynąc bardzo nisko, niemal muskał wierzchołki drzew, rosnących za lotniskiem... ten nie nazwie trzeciej naszej hipotezy fantastyczną.

Tak więc posiadamy kilka rozwiązań pierwszej zagadki...

Lecz skąd ślady krwi? Wykluczone jest, aby to była krew kogoś z nieszczęśliwych lotników. Samolot "Pride of Brooklyn" był zbudowany całkiem podobnie, jak sławny "Spirit of St. Louis" kapitana Lindbergha, więc skrzydła, a raczej jedna wielka płaszczyzna obu skrzydeł była umieszczona ponad kadłubem i kabiną lotników, którzy, zamknięci w swym ciasnym pudle, orientowali się tylko za pomocą peryskopu. Wykluczonym jest, aby któryś z lotników rozbił się o skrzydło, wyskakując w morze, w momencie niezrozumiałej dla nas katastrofy, w takim bowiem wypadku mogłaby go była uderzyć spodnia część skrzydła, nigdy zaś wierzchnia, na której znajdują się ślady krwi.

Tak więc owe rdzawe ślady pozostaną dla nas nierozwiązaną zagadką, jak pozostały nią tajemnicze plamy, znalezione na złamanym śmigle "Victorii" Waltera Ashleya.

Być może jednak, iż dokładniejsze badania, przeprowadzone w Nowym Jorku, wykażą, że owe plamy nie są wcale śladami krwi, a wówczas niesamowita tajemnica "Pride of Brooklyn" spadnie do rzędu tragicznych wprawdzie, lecz niemniej zrozumiałych katastrof?

Autor powyższego artykułu rozwodził się długo na temat krwawych plam, stawiał coraz to nowe hipotezy, by je kilkanaście wierszy dalej obalić i w rezultacie zajął trzy długie szpalty

dziennika, a zagadki nie tylko nie rozwiązywał, ale ją jeszcze bardziej skomplikował. Toteż nie mam sumienia przytaczać tutaj w całości tasiemcowego elaboratu, który mnie w końcu znudził, a Dolly zmusił do dyskretnego poziewania i przeciągania się.

- Dużo naglądział, nic nie powiedział - streściła to trafnie i, wsłuchując się przez chwilę w monotony stukot kół wagonu, wyliczających sumiennie każdą przerwę między szynami, dorzuciła w zamyśleniu. - Same zagadki, lecz największą przeoczyły wszystkie pisma...

- Mianowicie jaką, kochanie?

- Słuchaj; skrzydło było z blachy, prawda?

- Tak.

- Jakże więc blacha mogła się utrzymać na wodzie i nie zatonać?

- Hm... Słusznie... A może to skrzydło pływało sobie na tej samej zasadzie, jak hermetycznie zamknięte blaszane pudełko?

- Myślałem o tym, lecz przecież skutkiem katastrofy, odłamania się skrzydła, czy czegoś w tym guście, musiała powstać szczelina, przez którą woda miała łatwy dostęp do środka pustej przestrzeni pomiędzy górną a spodnią powierzchnią.

- Mogła, lecz nie musiała... Może jednak skrzydła miały odegrać rolę pływaków na wypadek przymusowego wodowania i były podzielone na komory, podobnie, jak wielkie balony lub statki transoceaniczne. Musimy zapytać przy pierwszej sposobności jakiego lotnika... Ja się na tym zupełnie nie znam...

- Ooo, ale na innych rzeczach znasz się doskonale - rzuciła, przechodząc raptownie z poważnej rozmowy w swój żartobliwy ton i, zażenowana tym wykrzyknikiem, przytuliła zarumienioną twarzyczkę do mojego policzka...

A koła pędzącego na zachód ekspresu wystukiwały wciąż jednostajne tysięczne odstępy między szynami tej najdłuższej po syberyjskiej drogi żelaznej...

XXV

Pierwsze dwa dni pobytu w San Francisco spędziliśmy bardzo pracowicie, jak na turystów, którzy są zarazem młodym małżeństwem w podróży poślubnej i skutkiem tej okoliczności nie mogą poświęcać całego swego czasu wyłącznie na zwiedzanie osobliwości miasta...

Ale trzeciego dnia rano Dolly przeciągnęła się na łóżku ruchem rozpieszczonej kotki i westchnęła w przestrzeń, co było jednakże najwyraźniej aluzją.

- Ah, tak bym już chciała wyjechać na Hawaje!

- Już wyjechać?! - zawołałem przestraszony. - Czy zapomniałaś, co napisał Rudyard Kipling?

- On dużo napisał.

- Mam na myśli słowa, które poświęcił malowniczości pięknego Frisco...

- Nie znam.

- Więc słuchaj: "San Francisco has only one drawback: This hard to leave!"

- Tak napisał rzeczywiście?

- Tak.

- No, to bujał z grzeczności... Byłam tu już raz i wyjechałam bez większego żalu, a teraz rada bym wsiąść na statek odchodzący do Honolulu, choćby dzisiaj.

- Choćby dzisiaj - powtórzyłem jak echo, zgnębiony tą nieoczekiwaną wiadomością. Inaczej sobie wyobrażałem pobyt w cudnej Kalifornii. Godząc się pozornie z losem, hodowałem na dnie serca ziarenko nadziei, że uda mi się wymknąć samemu do Sacramento, że spotkam tam Halinę, że... że... oh, w sferze marzeń nie ma ani kresu, ani żadnych niemożliwości...

Z chwilą przybycia do Frisco, z chwilą uświadomienia sobie, że obecnie zaledwie trzy godziny jazdy autem czy koleją dzielą mnie od tamtej, zamiast czterech tysięcy kilometrów... ziarenko zakiełkowało i rozwinęło się w żywotną roślinkę... A teraz kaprys Dolly mógł ją zwarzyć mrozem, zniszczyć doszczętnie, mógł pomiędzy dom, gdzie Halina mieszkała, a moją siedzibę, wrzucić potworny szmat przestrzeni.

Głos żony wyrwał mnie ze smutnej zadumy...

- Więc jakże, Ralph? Portier mówił wczoraj, że okręt "President Roosevelt" odchodzi...

- Niech sobie odchodzi, kiedy chce! - wybuchnąłem z pasją, a czując na sobie zdziwiony wzrok Dolly, dodałem łagodniej. - Darling, nie rozumiem ciebie zupełnie. Celem naszej podróży była Kalifornia, gdyż...

- I Wyspy Hawajskie - wtrąciła szybko - bo liczyłam się z tym, że na wycieczkę do Japonii zabraknie czasu... Zresztą, przyznam ci się, że wolę Japonię zobaczyć na wiosnę.

- I Wyspy Hawajskie - zgodziłem się, nawiązując do jej pierwszego zdania - ponieważ jednak mamy sześć tygodni czasu, byłoby nonsensem przeznaczać tylko dwa dni na boską

Kalifornię, a resztę czasu na rozpaczliwe nudy w głupim Honolulu... Tyś tu już była. Prawda. Znasz wszystko, nęca cię więc nowe wrażenia, nowe krajobrazy... Ale ja jestem tutaj po raz pierwszy i niczego jeszcze nie widziałem, u licha...

- Niczego? A Frisco?

- To mało... Zresztą, czy zdołaliśmy obejrzeć wszystko, co godne zobaczenia w mieście i jego najbliższej okolicy? Ooo, ręczę, że ani czwartej części!

- A ja mówię, że widziałeś prawie wszystko - upierała się z zadąsaną minką i zaczęła wyliczać na palcach. - Zwiedziliśmy wczoraj Chinatown... Próbowałeś nawet jeść pałeczkami ich dziwne potrawy, bez większego zresztą powodzenia.

- Na to zgoda. Dzielnicę chińską "odrobiłem", choć nie wiem czy z wszelkimi jej osobliwościami.

- Z wszelkimi. Zwiedziliśmy dalej Pałac Sztuk Pięknych, "The Presidio", wspaniały Golden Gate Park...

- Tam musimy być co najmniej raz jeszcze. Nie widziałem Ogrodu Japońskiego, o którym mi tyle naopowiadałaś...

- O, jakże tego obecnie żałuję! - westchnęła żartobliwie. - Oglądałeś panoramę miasta ze szczytów Twin Paks, fotografowałeś fronton Misji Dolores, podziwiałeś The California Palace of the Legion of Honor, wynudziłeś mnie przy zwiedzaniu dzielnicy handlowej, widziałeś także Russian Hill...

- Ale z daleka - zastrzegłem skwapliwie - a sama wspomniałaś, że oryginalna architektura jego budynków, kręte uliczki, tarasami spływające ogrody...

- Tak, tak - potwierdziła niechętnie - wcale ciekawy zakątek stanowi ta siedziba miejscowej cyganerii, ale to jeszcze nie powód, aby tutaj siedzieć, Bóg wie, jak długo... Słuchaj, Ralph - rzekła ciepło i ujęła moją dłoń oburącz - to nie ma przecież sensu, abyśmy sobie wzajemnie robili na złość. Podróż poślubna powinna nam pozostawić na całe życie najmiłsze wspomnienia. Musimy iść na kompromis. Aby cię zadowolić, pozostaniemy tu jeszcze kilka dni, pokażę ci to, czego dotychczas nie widziałeś, zwiedzimy motorówką zatokę, wysepki Yerba Buena, Alcatraz i co tam chcesz wreszcie, zrobimy wycieczkę autem gdzieś w okolicę, ale potem na ciebie kolej do "poświęceń" i bez sarkania pojedziesz ze mną na Hawaje... Dobrze, kochanie?

Cóż miałem odrzec? Nie mogłem jej kapryswi przeciwstawić mego uporu, bo nuż wzbudziłoby to jakieś podejrzenia.

- Dobrze, Dolly - odparłem bezdźwięcznie.

Ucieszona moją uległością, zaczęła rozsnuwać swe plany na najbliższe dni.

- Zrobimy dwie wycieczki - szczebiotą roześmiana i zadowolona. - Pierwsza z nich zainteresuje dziennikarza, druga literata.

- To znaczy? - bąknąłem pod nosem.

- To znaczy, że najpierw pojedziemy wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, poprzez Santa Cruz, dokoła zatoki Monterey i przez Santa Barbara do Los Angeles. Pan redaktor posiedzi sobie ze dwa dni w Hollywood, zobaczy z bliska życie i pracę artystów filmowych, pogada z najwybitniejszymi reżyserami na temat obrazów, jakie się ukazały w tym sezonie i tak dalej, i tak dalej. Na tę wycieczkę przeznaczam pięć dni...

- A dla literata ile? - zapytałem znacznie już udobruchany. Pięć dni to zawsze coś...

- Dla Ralpa literata raczyłam przeznaczyć cztery dni. To wystarczy najzupełniej na przejażdżkę do jeziora Tahoe i stamtąd do Yosemite Park. Jeżeli te dwie rzeczy zobaczysz, to widziałeś wszystko co Kalifornia ma najlepszego do pokazania turystycznie...

- A... a... Sacramento? Stolica Kalifornii? Czy tam nie ma nic godnego uwagi?

- Nic absolutnie. Mała miejscina, jakich wiele w Stanach. Przejeżdżaliśmy już zresztą przez Sacramento...

- Taaak? - zdziwiłem się obłudnie. Wiedziałem doskonale, że droga nasza wiodła przez Sacramento. Mało tego, że wiedziałem. Stałem przy oknie wagonu, a tętno mego serca stawało się coraz szybsze, w miarę, jak ekspres zwalniał biegu, zajeżdżając na dworzec w Sacramento. Przecież do tego miasta schroniła się Halina, skrzywdzona mimowolnie moją niefortuną nowelką. Tu miała zamieszkać u swej ciotki, tu była już niewątpliwie od dni kilku... Stojąc tak, z czołem przylepionym do szyby, zdawałem sobie sprawę, że szaleństwem jest oczekiwać, aby ona pobyt w cudzej Kalifornii urozmaicała sobie przebywaniem na stacji, w dodatku o tak wczesnej porze, lecz mimo tego przeświadczenia przeskakiwałem wzrokiem z jednej sylwetki na drugą, nie mogąc stłumić nierozsądnej nadziei, że może wśród tego tłumu podróżnych zobaczę jej słodką twarzyczkę.

Tak; to było wówczas. Powrotna fala wspomnień, wspomnień bardzo świeżych, ogarnęła mnie i poniosła. Pamiętam jak pociąg ruszył już w dalszą drogę, rozpoczynając ostatni, trzygodzinny etap długiej podróży, a ja trwałem wciąż na posterunku przy oknie, a moje oszalałe z tęsknoty spojrzenia przetrząsały jeszcze ciżbę pasażerów, stłoczonych na peronie i czekających na inne pociągi... Potem smutny, ze ściśniętym sercem wróciłem na swoje łóżko. Pora bowiem była jeszcze wczesna, jak to już powiedziałem; o #/5#40 rano zajeżdża "Extra Fare Train" linii Overland na stację w Sacramento...

Głos Dolly przerwał te rozpamiętywania.

- Więc ugoda zawarta, darling? Dziesięć dni zabawimy tutaj, potem wsiądziemy na statek i...

- radosny okrzyk oraz ekwilibrystyczny podskok na łóżku uwieńczył to zdanie. Zaczęła mnie gorąco całować po twarzy, dziękując "najdroższemu mężulkowi", że jest taki dobry i bez szemrania przystaje na rychły wyjazd na Hawaje...

- Tak cię to cieszy? Dziwne... - rzekłem z przekąsem.

- Nie dziw się, honey. Byłam już raz w Kalifornii i widziałam wszystko.

- Wiem... Lecz człowiek, wrażliwy na piękno przyrody, rad przebywa w takich malowniczych okolicach nie tylko dwa, ale nawet pięć, dziesięć razy...

- Może masz ważniejsze powody - wyrwała się i umilkła zmieszana. Czuję, że się rumienię kompromitująco. Czyżby ona przeniknęła moje zamiary? Czy wie, że Halina przebywa obecnie w... Nie! To niemożliwe!... A może ja coś mówiłem przez sen? Może sam ją naprowadziłem na ślad mej tajemnicy?... Należało rzecz zbadać gruntownie. Raczej najgorsza wiadomość, niż dręcząca niepewność, niż błędzenie w labiryncie zagadek, nieudomówień, wzajemnych podejrzeń. Rozpocząłem tedy gwałtowny atak, który w końcu doprowadził do pożądanego rezultatu. Dolly, znudzona naleganiem, prośbami, zmiękczone zakłęciami i pieszczotą, dała za wygraną; zastrzegła tylko.

- Ale nie będziesz się śmiał ze mnie, nie będziesz szydził, że jestem zabobonna. To byłoby bardzo nieładnie z twojej strony.

Odetchnąłem i przyrzekłem uroczyście, że zachowam stoicki spokój, cokolwiek bym usłyszał. Mogłem przyrzec. "Nie będziesz szydził, że jestem zabobonna" powiedziała dosłownie, więc chodziło tylko o jakieś przeczucia... "Nie wie nie!" syknął triumfalnie Ralph_redaktor...

- Widzisz, darling - zaczęła nieśmiało, jakby wstydliwie. - Miałam dziwny sen w czasie naszej podróży. Stałam na środku jakiejś łąki, czy pastwiska. W oddali szemrało morze ludzi, odgrodzonych kordonem policjantów od grupy wielkich szop dziwnej budowy. Nagle otwarto wrota środkowej szopy i ujrzałam olbrzymi samolot. Wówczas uświadomiłam sobie, że jestem na lotnisku i będę świadkiem odlotu w jakąś długą podróż. Samolot ustawiono pod wiatr, który dął słabo, lecz czułam doskonale jego zimne tchnienie. Z małej grupy osób, otaczających aeroplan, oderwał się jeden człowiek, w kostiumie i masce lotnika. Był szczupły, zgrabny, szedł elastycznie i z wdziękiem w moją stronę. Kiedy podszedł bliżej, poznałam, że mam przed sobą kobietę. Nagle wydała okrzyk zdziwienia... To była narzeczona Waltera Ashleya...

- Kto? - wykrztusiłem zmienionym głosem. Pomiarkowawszy jednak, że moje nadmierne zdziwienie może wzbudzić czujność Dolly, dodałem spokojniej, siląc się na ton swobodny. - Jakże to możliwe? Przecież nigdy na oczy nie widziałaś tej kobiety... Skądże więc pewność, że to właśnie...

- O, przepraszam - przerwała z ożywieniem. - Zapominasz widać, że owego dnia, kiedy ona przysłała do redakcji i ty ofiarowałaś jej różę Ashleya, mnie przyrzeczoną, nawiasem mówiąc... ja byłam w gabinecie papy i z ciekawości podglądałam was przez dziurkę od klucza. Widziałam więc dobrze twarz niedosłej Mrs. Ashley i zapamiętałam ją doskonale.

- Aha... No i co dalej z twoim snem? Ona podeszła do ciebie...

- Podeszła do mnie - ciągnęła Dolly - zmierzyła mnie od stóp do głowy wzgardliwym

wzrokiem i rzuciła wyzywająco: “Ty mi zabrałaś Ralpa, ale teraz on jest mój! Nie wierzysz? Spójrz w stronę samolotu. Widzisz? Tam, w okienku kabiny”. Spojrzałam we wskazanym kierunku i dziwna rzecz, jaka się tylko w snach zdarza, chociaż znajdowałam się od samolotu bardzo daleko, może pół mili, może więcej, poznałam cię, Ralph. Spotkałam twój wzrok, lecz spuściłeś zaraz oczy i cofnąłeś się w głąb kabiny. Ona, mam na myśli narzeczoną Ashleya, szła szybkim krokiem w stronę aeroplanu. Chciałam biec za nią, niestety nie mogłam. Byłam przykuta do swego miejsca niewidzialnymi magnesami. Wołałam, krzyczałam głośno, lecz głos mój rozpływał się bez echa do tego stopnia, że sama go nie słyszałam. A przysięgam ci, że krzyczałam z całej mocy... Pamiętam nawet słowa: “Ralph, zostań! Po śmierć lecis! Ona ci przyniesie zgubę, jak przyniosła Ashleyowi!... Zostań!”.

Nie słyszałeś tych zaklęć, jak nie słyszał ich nikt, nawet ja sama, choć płuca mnie bolały od wysiłku... Rozległ się huk potężnego silnika. Puszczono w ruch śmigło, drzwi kabiny zatrzasknięto. W blaskach stojącego niemal pionowo słońca rozpędzone śmigło tworzyło lśniące kolisko. Samolot ruszył z miejsca, kołysząc się niezgrabnie na oba boki. Wówczas nadludzkiem wysiłkiem zdołałam przełamać siłę zagadkowych magnesów i z rozłożonymi rękami biegłam na przeciw złowrogiego ptaka. Ktoś krzyknął przeraźliwie, bym padła na ziemię, inaczej zginę. Ktoś dawał mi rozpaczliwe znaki rękoma. Nie słuchałam. Chciałam zginąć, byle ciebie zatrzymać. Ale samolot zdołał się już oderwać od ziemi. Warcząc ogłuszająco, przepłynął niemal nad moją głową. W oknie kabiny zamajaczyła mi plama twojej twarzy poblądłej, przerażonej... Ujrzałam jeszcze tył wzbijającego się samolotu i straciłam czucie. Ogarnęły mnie mrówki... Zbudziłam się ledwie żywa, szukając wzrokiem ciebie...

Dolly umilkła na chwilę, jakby ją wyczerpało wspomnienie straszego snu... Po chwili dokończyła opowiadanie głosem, w którym wyczułem nutę tkliwej radości, rozrzewnienia.

- Ujrzałam cię, Ralph najdroższy. Stałeś przy oknie naszego przedziału sypialnego, odwrócony tyłem do mnie. Pociąg stał na miejscu, więc domyśliłam się, że zbudziwszy się, chcesz zobaczyć, co za stacja. Chciałam cię przywołać, przytulić się do ciebie, lecz pomyślałam zaraz, że będziesz się zaśmiewał z moich snów, że kpić będziesz, jak ty to czasem potrafisz... Zewszta widok twej sylwetki i pewność, że tamto było tylko przykrym snem, napełniły mnie...

- Słuchaj, kochanie - przerwałem jej nieswoim głosem. - Czy nie pamiętasz, kiedy, której nocy przyśniłaś ten dziwaczny sen?

- Pamiętam doskonale... Było to nad ranem ostatniego dnia podróży. Zerknąwszy na zegarek stwierdziłam, że dochodzi zaledwie wpół do szóstej, wobec czego przewróciłam się na drugi bok i niebawem zasnąłam powtórnie... Taki to był sen... Powiesz może, że nie widzisz żadnego związku pomiędzy nim a moją niechęcią do dłuższego pobytu w Kalifornii... Miałbyś słuszność na pierwszy rzut oka. Ale jeśli sobie uprzytomnię, że ten dziwny sen przyśniłam, właśnie po przybyciu do

stolicy Kalifornii, bo musieliśmy być wtedy gdzieś koło Sacramento, jeśli dalej przypomnę ci, że na wyjeździe z Nowego Jorku zostawiłam mój amulet w aucie i jeśli dodam do tego jakieś nieokreślone złe przeczucia, które trapią mnie od chwili wyjazdu do Frisco, to, mów sobie co chcesz, ale ja się czegoś lękam tutaj i nie odetchnę, dopóki nasz statek nie wypłynie przez Golden Gate na pełne morze, dopóki kontury malowniczego, przyznaję, Frisco nie rozpląną się w oddali.

Mówiła z takim zapalem, że rumieńce wystąpiły na jej policzki, a wyczerpawszy temat, zaczęła zerkać niespokojnie w moją stronę, obawiając się widocznie czy mimo uroczystych zapewnień nie będę sobie z niej żartował... ten domysł potwierdziły zresztą jej dalsze słowa.

- Już czuję, że masz ochotę mnie nabierać... Wiedziałam, że tak będzie... Najpierw prosi, błaga: "powiedz", a potem naśmiewa się z człowieka...

Ale mnie wcale nie do śmiechu było. Sama treść jej snu nie zainteresowała mnie zbytnio, lecz dziwny zbieg okoliczności, że przyśniła się jej Halina, której nie znała zupełnie, którą widziała tylko przelotnie raz jeden i przyśniła jej się właśnie w tym momencie, kiedy pociąg stał na dworcu w Sacramento, gdzie tamta przecież mieszkała... ten zagadkowy zbieg okoliczności zastanowił mnie, a nawet przestraszył...

Moje wewnętrzne ja rozdzieliło się natychmiast na trzy części, jak w chwili każdej rozterki ducha. "Nie wierzę w przeczucia. Dolly jest naturą nadwrażliwą, co dowodzi, że organizm jej trawi jakąś choroba. Trzeba ją będzie dać zbadać jakiejś powadze lekarskiej... Ale z drugiej strony można by sam pomysł wyzyskać przy pisaniu nowego utworu. Rzecz wprawdzie oklepana, lecz nadal wcale popłatna. Dzisiejsza publiczność lubi tajemniczość, byle ona nie wkraczała w dziedzinę niesamowitości. "Edgar Poe i Ewers wyszli już z mody". Tak twierdził Ralph_redaktor, podczas gdy Ralph_ten trzeci wygłaszał znów swoje caeterum censeo: "Wrócisz do Haliny; ona ci przebaczy wszystko, jeśli już nie przebaczyła. Wrócisz na pewno. Czy proroczy sen Dolly nie przekonał cię jeszcze? Oto uchylono przed tobą rąbka zasłony, która zakrywa przyszłość. Tamta ci przeznaczona; śmiałyś walczyć z przeznaczeniem? A jeśli ci szaleńczej odwagi do tego nie braknie, czy chciałbyś walczyć? Przecież kochasz tamtą, o niej śnisz, marzysz, dla niej przyjechałeś w te strony"... "A Dolly?"... rzucił zniecka Ralph_gentleman... "Pocierpi trochę, lecz pociesz się rychło. Lepiej zresztą, jeśli ona sama tylko pocierpi, niż gdyby się mieli męczyć wszyscy troje"... brzmiała cyniczna odpowiedź.

Myślałem, że na tym się skończy, lecz w tym momencie Ralph_gentleman pochwycił przeciwnika za gardło... "Łotrze!" wrzasnął. "Perfidną interpretacją chcesz nam zamydląć oczy? Nawet głos Opatrzności, łaskawe ostrzeżenie niebios, jakim jest sen Dolly, chcesz wyzyskać dla swych nędznych zamiarów?" Wysapawszy się, puścił zaskoczoną atakiem ofiarę, zaczął mówić łagodnie, aż przy samym końcu znowu podniósł głos: "Dolly cię kocha, jak nikt w świecie. Czy jej sen nie jest tego najlepszym dowodem? Oto sama chciała zginąć, byle ciebie ocalić, byleś nie szedł

za tamtą, która już jednemu przyniosła zgubę. Nie jednemu nawet. Nie zapominaj, że prócz Ashleya zginęli zakochany w niej Martini i Petit, niewinna ofiara. Na kolana, łotrze! Dziękuj Bogu, że obdarzył cię taką żoną. Tamta, to demon z twarzą Madonny! Z tamtą czekałaby cię zguba, z Dolly czeka cię trwałe szczęście”... “I synekura u ładowanego papy”, wtrącił praktyczny Ralph_dziennikarz, przechodząc od razu na stronę gentelmana... Złączeni nowym przymierzem, natarli tak potężnie, że przyszedł moment, w którym byłem gotów upaść do nóg Dolly i wyznać jej wszystko... Wszystko... że Halina mieszka w Sacramento, że z tej właśnie przyczyny zdecydowałem się na wyjazd do Kalifornii, że dlatego broniłem się tak uporczywie przed zamiarem szybkiego wyjazdu na Hawaje... ale teraz sam pragnę uciec z tych stron, uciec jak najprędzej, jak najdalej i potargać na zawsze niewidzialne sieci, w jakie się zaplątałem...

- Dolly - zacząłem głosem bardzo wzruszonym, szukając słów, którymi miałem zacząć swoje wyznanie...

W tej chwili zapukano do drzwi...

- Kąpiel gotowa, proszę pani - zabrzmiał głos pokojówki hotelowej.

- Darling, nie odchodź... Chcę z tobą pomówić...

Ucałowała mnie w usta i zeskoczyła z łóżka na dywan...

- Później mi opowiesz. Na pewno nic ważnego, a tymczasem woda ostygnie... Aby ci się nie nudziło, to masz... - Porwała ze stołu przyniesione razem ze śniadaniem dzienniki, położyła mi je na kołdrę, narzuciła na siebie szlafrok i, poświstując wesoło, wybiegła do sąsiadującej z sypialnią łazienki...

Takim sposobem do zwierzeń nie doszło... “Umyślnie zwlekałeś”! rzekł z gorzkim wyrzutem Ralph_gentleman, w odpowiedzi na co, ten trzeci wybuchnął wzdargliwym śmiechem i rzucił krótko: “Przeznaczenie widocznie tak chciało!”...

XXVI

Wycieczka do rezerwatu Yosemite National Park stanowi nazbyt ważne ogniwo w łańcuchu wydarzeń z tego okresu mojego życia, bym ją mógł tutaj pominąć, jak pomijam “the interesting trip” do Los Angeles lub przejażdżkę morską do malowniczej wyspy Santa Catalina, łudząco podobnej do Capri, które znam z pierwszej mej podróży do starej Europy.

Pierwszy dzień owej wycieczki zawiódł moje oczekiwania. Zawiódł je nie dlatego, jakby ktoś mógł sądzić, że droga do doliny Yosemite wiedzie przez nieciekawą okolicę; przeciwnie, nie znam bardziej malowniczej drogi, a barwna różnorodność krajobrazów, zmieniających się poza każdym zakrętem gościńca i nadmiar niezapomnianych wrażeń jest wręcz za silną dawką dla turysty, zmuszonego przez YTS (Yosemite Transportation System) do ciągłego pośpiechu, bo według szablonowego planu wycieczki autobus musi stanąć za cztery i pół minuty przy następnym wodospadzie, na następnej serpentynie, czy u stóp następnej turni... To właśnie, owa przesadna ekonomia czasu: “Postój osiem minut; przewodnik objaśnia minutę, wspólna fotografia na tle konturów skały X.X. dwie minuty, turyści podziwiają piękny krajobraz pięć minut i odjazd w dalszą drogę”... ów przejaw doskonałej organizacji YTS... zepsuły mi dokładnie całokształt wrażeń na równi z cielecymi zachwykami dziesięciu przygodnych, a w dziewięciu dziesiątych mało inteligentnych, towarzyszy wycieczki...

Wtedy to właśnie złożyłem w duchu uroczysty ślub, że już nigdy nie wezmę udziału w zbiorowej wycieczce, lecz wynajmę auto i przewodnika do wyłącznej dyspozycji nas dwojga...

- Wypadnie to znacznie drożej - zauważyła Dolly, kiedy ją zapytałem, jaki jest jej pogląd w tej sprawie - ale z tym chyba najmniej potrzebujemy się liczyć, prawda, darling?...

Tak więc opinia nasza była zgodna w tym względzie, lecz na razie trzeba było pogodzić się z losem i znosić denerwujące towarzystwo innych turystów aż do schyłku dnia...

W Merced, dokąd przybyliśmy z Frisco pociągiem, wsiedliśmy do wygodnego samochodu wycieczkowego, który czekał w pobliżu dworca. Był to duży autobus, o czterech rzędach siedzeń, na cztery osoby każde. Przewodnik zajął miejsce obok szofera, przy nim jeszcze jeden pasażer, dwa następne rzędy zapełniło szczelnie wesołe towarzystwo złożone z czterech gruchających par, wreszcie w ostatnim, najwyższym rzędzie umieściłem się ja wraz z żoną i jakimś szpakowatym gentlemanem; jak się później okazało, ów jegomość nazywał się Hudson i był hodowcą strusi, które, sprowadzone nie tak znów dawno temu do Kalifornii, zaaklimatyzowały się tutaj świetnie i robią swoim braciom z południowej Afryki skuteczną konkurencję w dostarczaniu cennych piór.

Począwszy od Merced jechaliśmy wśród najpiękniejszego w świecie ogrodu owocowego; ilościowo królowały morele i brzoskwinie, lecz nie brakło winnic, gajów cytrynowych, sadów pełnych grusz, orzechów, jabłoni, a potem, na tle szmaragdowej zieleni wykwitły dziesiątki tysięcy złotych i czerwonych kul, pod których ciężarem ugięły się gałązki drzewek pomarańczowych...

W miarę podnoszenia się terenu ulegał radykalnej zmianie krajobraz mijanej okolicy. Niebawem znikły z oczu bogate sady, znikły małe pólka kukurydzy, jęczmienia i rzędy tyczek chmielu. Urodzajna wyżyna ustąpiła miejsca pagórkom, górcom, skałom. Jeszcze kilka mil zygzaków wśród lasem pokrytych stoków górskich, potem zakręt w lewo pod kątem prostym i ujrzelśmy Maripozę, wioskę starą, piękną i historyczną zarazem. Nasz przewodnik, wrzeszczący tak głośno jak gdyby przemawiał na przedwyborczym meetingu do pięciu tysięcy słuchaczy, nie omieszkiał przypomnieć, że “Mariposa, this quaint hamlet” była przedmiotem marzeń wszystkich niespokojnych duchów świata w roku 1849 i w następnych latach oraz celem wędrówek mnogich rzesz, które, nie bacząc na niebezpieczeństwa, jakie wówczas czyhały na każdym kroku olbrzymiej podróży, szły niezmordowanie od wschodnich brzegów Ameryki na “Far West”, by w złotodajnych złożach Maripozy znaleźć sowitą nagrodę za poniesione trudy...

- A tamta droga prosto, dokąd wiedzie? - spytał hodowca strusi, wysłuchawszy z nabożeństwem wykładu miodoustego mówcy...

- To the Big Trees of the Mariposa Grove - brzmiała odpowiedź.

Więc tam! Tam jest ów las drzew_olbrzymów, dostojnych starców, z których najmłodszy liczy sobie chyba z dwadzieścia wieków. Tam stoi owa prastara Świątynia Przyrody, której filary tworzą pnie Sequoia Gigantea, wysokie na dwieście do trzystu stóp, a sklepienie liście ich koron.

Przewodnik nie zaniedbał sposobności do nowej prelekcji.

- Są to najstarsze żyjące okazy na kuli ziemskiej. Taki “Grizzly Giant” ma tylko cztery tysiące wiosen... Czterdzieści stuleci! Ładny wiek, co? Obawiam się, proszę państwa, że nikt z nas takich lat nie dożyje...

Salwa śmiechu naszych niewybrednych towarzyszy wynagrodziła miodoustego za ten dowcip i skłoniła go do dalszych wywodów w podobnym stylu...

- Nie mniej stary i nie mniej głośny jest inny olbrzym, “Wawona Tree”. W pniu tego grubaska wycięto tunel, przez który wiedzie droga. Największe auta przejeżdżają tamtędy, a on patrzy zdumiony, niczym nieboszczyk Gulliver, który rozkraczywszy się, zrobił łuk triumfalny ponad maszerującą armią liliputów. Właśnie dzięki tunelowi “Wawona Tree” przypomina Gullivera... Znacie państwo zapewne to drzewo z przelicznych reprodukcji, rozpowszechnionych po całym świecie. Niemniej ośmielam się wątpić, czy mimo tej sławy chciałaby się któraś z pań zamienić z tym olbrzymem...

- Dlaczego, dlaczego? - dopytywały cztery niewiastki z naszej grupy, jak dopytywały zapewne przedtem i potem tysiące innych, a jednakowo inteligentnych turystek...

Teraz przyszła kolej na pointę dowcipu...

- Ponieważ “Wawona Tree” liczy sobie w obwodzie ponad osiemdziesiąt stóp, a w epoce smukłych sylwetek jest to cokolwiek za dużo...

Głośny ryk baraniego śmiechu rozległ się wśród domków pięknej Maripozy...

Przewodnik przyjmował te hołdy z łaskawą miną, ale bez specjalnej radości; przywykł do nich w ciągu długich lat stykania się z turystami tej samej marki fabrycznej. Wierzył święcie, że mu się należą, toteż niezycziwym okiem łypnął ku mnie i ku Dolly, bo tylko my dwoje nie potrafiliśmy ocenić całej błyskotliwości jego dowcipów.

- Ale ja tu państwu opowiadam to, co należy do programu trzeciego dnia wycieczki - przypomniał sobie - pojutrze pojedziemy do lasu drzew_olbrzymów z grupy Maripoza... Teraz proszę zająć miejsca w aucie... Już i tak mamy sześć minut spóźnienia...

- Sześć minut! O znakomity YTS przebaczył nam ową zwłokę, wynooszącą całe sześć minut, czyli trzysta sześćdziesiąt cennych sekund...

W jakiś czas potem droga zaczęła się obniżać, na przeciw Briceburg zjechaliśmy do malowniczego kanionu rzeki Merced i odtąd posuwaliśmy się równolegle do jej lewego brzegu, dążąc ku wyżej położonej, właściwej dolinie Yosemite...

Okolice była wszędzie jak w bajce, lecz począwszy od El Portal, końcowej stacji kolei żelaznej, co chwila doznawaliśmy wrażenia, że nasz zachwyt osiągnął swoje maksimum, że jest niemożliwym, abyśmy mogli ujrzeć coś jeszcze bardziej pięknego, imponującego, malowniczego, a przecież następne załamanie ściany kanionu odsłaniało nam nowe widoki, wobec których poprzednie bladły momentalnie i uciekały z pamięci bez żalu...

Niezatarte wrażenie pozostawił mi widok wodospadu "Bridal Veil". Jego okazała stosunkowo wysokość, 620 stóp, jest wprawdzie małą wobec "Ribbon Fall", największej kaskady Yosemite, która rzuca się w przepaść strugą na piętnaście kroków szeroką, a 2600 stóp wysoką, z czego na górny stopień przypada przeszło połowa. Toteż nie rozmiarami bynajmniej zasłużył sobie "Bridal Veil" na zajęcie pierwszego miejsca wśród licznych rodzeństwa yosemickich wodospadów, ani malowniczością tła, bo jeśli o tło chodzi, to pierwsze skrzypce gra leśna kaskada "Vernal", a może górny wodospad "Nevada", co wygląda jakby z nieba wytryskał.

"Bridal Veil" króluje pięknnością samej swej strugi...

Już jego nazwa mówi wiele: "Welon panny młodej"!

Ale trzeba dopiero zobaczyć ten zwiewny welon, kołyszący się z dużym odchyleniem na oba boki, utkany z bryzgów spienionej wody, te białe obłoki rozpylonych kropelek, co niby najdelikatniejsza gaza spowijają smukłą szyję oblubienicy, aż na pierś łabędzią spływając... trzeba dopiero ujrzeć ten diadem z brylantów bez liczby, bez ceny, który czoło wieńczy, a na którym złote strzały zakochanego słońca_małżonka grają tęczę cudnych kolorów...

Wówczas stoisz u stóp skalnego ołtarza, niezdolny wymówić słowa, a obok ciebie czeka w milczeniu orszak weselny: paziowie_świerki i drużny_sosny, pożółkłe z zazdrości na widok takiej krasy, lecz nieruchome, zastygłe w niemym zachwycie...

I milczy orszak weselny, póki wieczorny wiatr, który ślubu udziela, nie rozpocznie wygłaszać oklepanych formułek zadyszanyym głosem. Dopiero wtedy zaczynają szeptać, syczeć, plotkować i ciskać szyszkami na cudny welon.

Lecz na nic wszelkie knowania i spiski. Na próżno szukać plam na ślubnej szacie, gdy różowy rydwan jutrzeński wypadnie na błonie niebios. Znikły szyszki intrygi i zjadliwych plotek zielone igliwo. Lśnią niepokalaną bielą, zwiewny welon faluje z wdziękiem i błyszczy tęczyowy diadem panny młodej w promieniach gorącej miłości słońca...

Taki jest "Bridal Veil", jeśli patrzysz nań oczyma wdzięcznego dziecka przyrody i nie słuchasz przewodnika, który skrzeczy ci właśnie nad uchem.

- Ten wodospad jest cztery razy wyższy, niż Niagara, gdyż słupek wody jest, biorąc w przybliżeniu, wysoki na 620 stóp, podczas gdy Niagara... itd., itd.

"Bridal Veil" poróżnił mnie na serio z mioudoustym, tym razem bowiem nie pozwoliłem sobie odmierzać czasu na minuty, a Mr. Hudson, pan i władca sześciuset strusi, stanął po mojej stronie...

Ruszyliśmy w dalszą drogę...

Za dużo wrażeń, jak na jeden dzień. Stanowczo za dużo! W głowie mi już huczało od rozmaitych "Chinquapin Falls, Arched Rocs, Elephant Roc, Half Dome, Royal Arches, Happy Isles, North Dome" i kilkunastu innych, a w myślach powstał dziwny chaos jeziora, strumienie, kaskady, sosny, świerki, ośnieżone szczyty i urwiste skały rozpoczęły dziki taniec w mych wspomnieniach. Co mi się marzyło, że wodospad tryska z wierzchołka olbrzymiego drzewa, że rzeka Merced uprzykrzyła sobie dotychczasowy kierunek i, nawróciwszy, pędzi pod górę, że nasz wielki samochód jest statkiem i płynie zarówno gładko po lustrzanej tafli jeziora, jak i po obłokach, wierchach, turniach, lasach...

- "El Capitan" - wrzeszczał przewodnik...

Tępy wzrokiem spoglądałem na potworny blok skalny, sterczący zupełnie prostopadle aż ku obłokom, zatykałem uszy chwilę potem, by nie słyszeć ryku wodospadu "Ribbon", który ze względów fonetycznych najmniej chyba na nazwę "wstążki" zasługuje... lecz za to wydałem okrzyk radości, kiedy nasz autobus zajechał przed wspaniałym hotel Ahwahnee, gdzie mieliśmy nocować...

- "Good bye, ladies, gentlemen" - żegnał nas mioudusty. - Jutro o dziewiątej wyruszamy w stronę sztucznego jeziora Hetch Hetchy. Kto zaśpi, straci sposobność zobaczenia tamy O'Shaughnessy i zbiornika wody, którą pije, mieszkając we Frisco. Prócz tego pokażę państwu inną osobliwość w okolicy... Jest nią duży głaz, zawieszony nad drogą. Według podania ma runąć, gdy przejdzie pod nim pierwszy uczciwy człowiek. "Ladies and Gentlemen!" Piętnaście lat oprowadzałem turystów w tych stronach, tysiące osób przeszło ze mną pod owym głazem i nie runął... Jeśli więc ktoś z państwa uważa, że posiada kwalifikacje, wymagane przez legendę, niech

nas nie naraża na straszną śmierć i niechaj pozostanie w hotelu... Inni mogą iść...

- Ja zostanę na pewno - odrzekłem, lecz głos mój utonął bez echa wśród odmětów hałaśliwej wesołości, jaką wywołał nowy "świetny" kawał naszego "nieocenionego" przewodnika...

- Ja nie przejdę stanowczo pod tym głazem - zapewniała najstarsza z naszych przygodnych towarzyszek, robiąc minę niewinnego podlotka...

- Czemu, Ruth?

- Słyszałaś przecież, co mówił nasz niezrównany przewodnik. Skała ma runąć, skoro uczciwa kobieta pod nią przejdzie...

- Bądź spokojna, nie runie. Gdyby to było sześć lat temu, nie poszłabym z tobą tamtędy - rzekła jej przyjaciółka, dobrze widać poinformowana co do przeszłości miss Ruth...

Wywołało to nową eksplozję śmiechu u mężczyzn, słaby rumieniec u zainteresowanej kobiety oraz żywą utarczkę słowną, której się jednak nie miałem zamiaru przysłuchiwać i, podawszy ramię Dolly, wkroczyłem do hallu hotelu Ahwahnee...

XXVII

Nazajutrz rano Dolly oświadczyła mi, że pozostanie cały dzień w łóżku, gdyż czuje się niedobrze i jest zmęczona...

- Ale ty, "honey", nie krępuj się, proszę... Wykorzystaj, jak możesz najlepiej, krótki pobyt w Yosemite, a wieczorem opowiesz mi coś widział, co ci się najwięcej podobało - rzekła, kiedy z nieszczerą nutą w głosie objawiłem zamiar pozostania również w hotelu.

Zszedłem więc na dół, aby u portiera zasięgnąć języka co do jakiejś górskiej wycieczki...

- Rozumiem - mruknął portier, wysłuchawszy mnie z miną znakomitego lekarza, który stawia nieomylną diagnozę. - Rozumiem pana. Wycieczka indywidualna, trochę konno, trochę pieszo, małowówny przewodnik do własnej dyspozycji, zupełna swoboda co do czasu, terminu powrotu, wyboru celu wycieczki i drogi...

- O, właśnie! - zawołałem ucieszony... Ten odgadł szybko czego mi trzeba...

- Wypożyczenie konia na cały dzień kosztuje 5 dolarów, przewodnik przy mniejszej grupie turystów, niż pięć osób, 7 dolarów, no i drugi koń dla przewodnika, nieprzewidziane wydatki, jakiś posiłek w górach, hm, hm... wyniesie to około 25 dol. - wylicza, zezując z pod brwi, aby stwierdzić moją wrażliwość na wysokość wymienionych kwot. A kiedy machnąłem ręką na znak, że ta strona imprezy najmniej mnie interesuje, złożył mi ukłon pełen szacunku i oświadczył, że jeden z chłopców hotelowych zaprowadzi mnie natychmiast do biura YTS.

- Dokąd?! - krzyknąłem trochę za głośno...

- Do Yosemite Transpor...

- Rozumiem skrót, ale dlaczego właśnie do nich? Czy nie ma innych przewodników?

- Owszem, są; są także i konie, ale pożałuj Boże, co za konie. Sir, proszę mnie wysłuchać. Wczorajsza zbiorowa wycieczka nie zadowoliła pana, to zupełnie zrozumiałe, ale indywidualna wycieczka, to całkiem coś innego. Zobacz pan...

Przekonał mnie wreszcie, a raczej wytłumaczył, że nie mam innego wyboru, dzięki czemu pół godziny później zjawiłem się w biurze YTS, przebrany w kostium najbardziej odpowiedni do konnej jazdy. Ku lekkiemu zdziwieniu zastałem tam towarzysza wczorajszej eskapady, Mr. Hudsona, którego upodobania, jak się za chwilę okazało, biegły równoległe do moich...

- Rozumiem w dwie, trzy osoby - mówił właśnie - ale włączyć się z całą paczką, słuchać ich kiepskich kawałów... To nie dla mnie. Przyjechałem tu dla odpoczynku, szukam ciszy, spokoju; wrzasków mam w domu pod dostatkiem; po to nie potrzebowałem do was przyjeżdżać...

Szybko zawarliśmy przymierze i postanowiliśmy odbyć razem dzisiejszą wycieczkę...

- Hm, hm, hm - chrząknął urzędnik YTS - wszystko byłoby dobrze, tylko nie mam już ani jednego przewodnika; wszyscy zajęci. A może by się panowie przyłączyli do jakiej grupy...

- Panie! - warknął groźnie hodowca strusi. - Myśmy się właśnie odłączyli od takiego stada...

Więc ma pan kogo, czy nie, u licha?

- Chyba gdyby poszedł stary Uwah - podpowiedział z kąta młodszy clerk, czy elew...

- Ten mruk?... Panowie potrzebują inteligentnego przewodnika, elokwentnego...

Elokwentnego? Czyś pan nie słyszał, co mówiłem przed chwilą?... Dajcie mi takiego, który buzi nie otworzy, póki go o coś nie spytam...

- Hm, hm, hm; w takim razie Uwah byłby jedyny.

- Cóż to zacz, ten Uwah? - spytałem.

- Stary górą, metys, choć twierdzi, że jest Indianinem czystej krwi.

- I on poszedłby z nami?

- Oh, ucieszy się niezmiernie. Już od dawna nie daliśmy mu nic robić, bo jest mrukliwy i małomówny; wielu turystów żaliło się na niego z tego powodu...

- A ja mu dam dobry napiwek właśnie z tego powodu - oświadczył Mr. Hudson, klepiąc się po kieszeni, w której tkwił portfel lub książeczka czekowa...

Posłano więc po starego, Mr. Hudson przebrał się w międzyczasie i pół godziny później ruszyliśmy w drogę, w górę boskiej doliny Yosemite, wzdłuż brzegu rzeki Merced... Napasłszy oczy widokiem pięknych łąk, przetykanych obficie azaliami, wśród których spacerowały swobodnie oswojone jelenie... skręciliśmy w prawo, pozostawiając po lewej ręce stromą górę Halh Dome, a z tyłu cudne jezioro "Zwierciadło" i dotarliśmy do podnóża wodospadu "Vernal"; Vernal to nic innego, tylko śmiały skok Merced River...

Teraz nastąpił cięższy etap wycieczki, mianowicie wspinanie się po spadzistym zboczu góry oraz brawurowe przejazdy po karkołomnych ścieżynach, przylepionych do prostopadłych skał i zawieszonych nad przepaściami. Niekiedy robiło mi się ciepło lub na przemian bardzo zimno, lecz nasze małe koniki spisywały się dzielnie i żaden nigdy nie nastąpił na niepewny kamień w tej długiej wędrówce ku szczytom...

Milczeliśmy wszyscy trzej... Nie ręczę, czy w ciągu ośmiu godzin jazdy, marszu na piechotę, przystanków i krótkich odpoczynków, padło więcej, niż dwadzieścia słów, a ten kontrast w stosunku do poprzedniego dnia stanowił dla mnie niemały urok... Nie słysząc kawałów spoufalonego z turystami miodoustego przewodnika, ani śmiechów, rozmów, wrzasków, ani denerwujących okrzyków rozbawionego kółka wycieczkowców, mogłem całą uwagę poświęcić podziwianiu cudów przyrody i puścić wodze fantazji. Nic nie rozpraszało moich myśli, nie psuło mi nastroju, bowiem Mr. Hudson milczał, jak grób, a Uwah... Uwah był nadzwyczajnym wręcz przewodnikiem; pary z ust nie puścił, nie zapytany, a zapytany odpowiadał w ten sposób...

- Uwah, co to za wodospady?

- Nevada.

- A tamten szczyt w oddali?

- Lyell.

Ileż słów, ile zdań zużyłby nasz wczorajszy przewodnik na wypowiedzenie tego samego... Tak brzmiało by to mniej więcej: "Oto Mt. Lyell, najwyższy szczyt Sierra Nevada w tych stronach. 13 016 stóp! Panie i panowie, czy pojmujecie, jaka to diabelna wysokość? Znać chyba Woolworth Building; postawcie szesnaście takich gmachów jeden na drugim, lub pomnóżcie przez 37 wysokość National Capitolu w Washington, a będziecie mieli Mt. Lyell... Jest on... itd., itd."

Oh, zacny Uwah, czemuż nie było cię wczoraj, kiedy ujrzałem po raz pierwszy kaskadę "Ślubny Welon"...?!

Odpoczywaliśmy, siedząc na głazach, zapatrzeni w śnieżną czapę dość jeszcze odległego szczytu Lyell, zaszuchani w cudną symfonię wody, łkającej na fletach licznych źródełek, szemrzącej na strunach strumieni, huczącej basem na kotłach i bębnach potężnych wodospadów. Poza nami i u naszych stóp leżała piękna dolina, Yosemite, szmaragdowa oaza wśród szarego tła skał, wśród śniegiem pokrytych szczytów...

Długą chwilę ciszy przerwał w końcu hodowca strusi...

- Co, u diabła! - zakrzyknął, wyciągając do mnie dłoń po lornetkę...

- Coś pan ujrzał? - spytałem.

Nie od razu mi odpowiedział, zajęty dostosowywaniem szkielec do swego wzroku...

- Nie omyliłem się jednak - rzekł wreszcie.

- No?

- Orły, Mr. Bronson... Dwa piękne orły... Lecą w naszą stronę.

To rzekłszy, podał mi lornetkę i wskazał ręką kierunek...

- Rzeczywiście, orły! - zawołałem tak głośno, że nawet obojętny na wszystko Uwah dźwignął głowę, wspartą na dłoniach i łypnął wzrokiem w ślad moich spojrzeń...

Para królewskich ptaków płynęła ku nam przez rozświetnione powietrze... wolno, majestatycznie, niemal nie poruszając rozpostartymi skrzydłami. Śledziliśmy jej lot ze szczerym zachwytem, wykrzykując niekiedy:

- Oto jak wygląda orzeł na wolności!

- Król przestworzy w swoim państwie!

- I tych władców gór więżą ludzie w ciasnych klatkach zoologicznych ogrodów!

- Spójrz pan... Spójrz pan... Ten pierwszy zaczyna kołować.

- Wspaniały okaz. Rozpiętość skrzydła wynosi chyba z pół yarda...

- Na sześć stóp je liczę.

- Oto największy ptak, który... -

- Widziałem większego - wtrącił nagle Uwah, milczący do tej pory jak głaz.

- Jeszcze większego orła widzieliście? - spytał Hudson niedowierzająco...

- To nie był orzeł - mruknął i pykając fajeczkę odwrócił się tyłem do nas i do Mt. Lyell, skąd nadlatywały królewskie ptaki; uważał widocznie, że temat wyczerpany został całkowicie.

Mr. Hudson palnął się dłonią w czoło...

- Ale nas nabił w butelkę!... - zawołał. - Oczywiście, że są większe ptaki od orłów...

- Większe od orłów? - zdziwiłem się, zapominając na chwilę, jaki jest zawód mojego towarzysza.

- No, po prostu: strusie...

- Ah, prawda!...

Uwah potrząsnął głową na znak przeczenia...

- On był większy od strusia, biały i latał wysoko - rzucił przez ramię.

Spojrzelśmy po sobie i powiedzieliśmy sobie nawzajem oczyma, że stary metys ma niezupełnie w porządku klepki...

Nie zauważyliśmy, że tymczasem odwrócił ku nam swą pomarszczoną twarz, lecz niezaprzeczalnie piękną, i patrzy na nas badawczo...

A tak korzystne zrobił na mnie wrażenie - szepnął Hudson, pochylając się ku mnie, i umilkł szybko, dopiero teraz bowiem spostrzegłem, że przewodnik podsłuchuje, co mówimy...

Widząc urażoną minę jednego i zakłopotanie drugiego, zacząłem w te słowa.

- Uwah ma rację, choć niezupełnie... Były na naszym globie ptaki znacznie większe od strusiów nawet, bo wzrost ich dochodził do czterech metrów.

- Chyba przed potopem.

- Bynajmniej, Mr. Hudson... Nie dalej, jak sto kilkanaście lat temu zakończył życie ostatni moa.

- Ah, moa, dinornis, słyszałem... Widziałem także szkielety tych ptaków_olbrzymów w jakimś muzeum.

- No, widzi pan.

- Dobrze, dobrze... ale te "ptaszki" żyły sobie w Nowej Zelandii.

- I Australii.

- Niech będzie w Australii, a tam nasz Uwah chyba nie był, to po pierwsze, po drugie moa należał, o ile się nie mylę, do rodziny biegusów, jak moje strusie, więc nie mógł latać... Tymczasem Uwah twierdził przed chwilą...

- Dlatego też, Mr. Hudson, powiedziałem wyraźnie, że ma on rację, lecz niezupełnie. Po prostu słyszał od kogoś o istnieniu olbrzymiego moa i, słysząc teraz nasze zachwyty nad orłami, wtrącił uwagę, że orzeł nie jest bynajmniej największym ptakiem...

Sądziłem, że przewodnik będzie mi wdzięczny za tę obronę i rehabilitację jego reputacji w oczach hodowcy strusi, który zakończył naszą rozmówkę w ten sposób: - Wobec tego jednak, że

dinornisy dawno wymarły, musimy za największego z ptaków uznać strusia... strusia, panie Bronson, a kto jest innego zdania, temu najwidoczniej piątej klepki brakuje...

Tymczasem Uwah zrobił nam niespodziankę...

- Moa? Nie słyszałem, ale widziałem białą sowę, dużą, jak cztery orły - rzekł stanowczo.

- Białą sowę!... Hallo, Mr. Bronson, czy dobrze słyszałem? Ten człowiek widział białą sowę, ha, ha, ha, ha... sowę cztery razy tak wielką, jak orzeł... ha, ha, ha, ha, cztery razy tak wielką! Nie, Mr. Bronson... To jest śmieszne i tragiczne zarazem... Jeden przewodnik trajkoce ci nad uchem bez przerwy, sypie głupimi żartami, z zegarkiem w ręku wylicza czas, a drugi... drugi myśli, że turysta to idiota, którego można bezkarnie częstować bajkami o białych sowach... Stop, moi panowie!... Od jutra obywam się bez przewodników... Baedeker to mój przewodnik od jutra... Ten mi nie będzie opowiadał koszałek opalek... Biała sowa!... Ha, ha, ha, ha, ha...

Byłem wściekły na Hudsona. Nie wierzyłem oczywiście w istnienie jakiejś tam białej sowy, ale przeczuwałem, że Uwah chce opowiedzieć nieznaną mi dotychczas indiańską legendę, a dla spotęgowania efektu twierdzi, że sam ową sowę widział... "Uwaga, materiał do nowelki indiańskiej"!... szepnął Ralph_redaktor...

A teraz kpiny i śmiech Hudsona zepsuły wszystko. Uwah, urażony srodze, zaciął się, umilkł, nieczuły na moje prośby, aby opowiedział wśród jakich to okoliczności widział niezwykłego i nieznanego zoologom ptaka...

- Po co mówić? Panowie i tak nie wierzą - mruknął niechętnie, kiedy go moje nalegania znudziły...

- Kto wie? Może uwierzmy, może nas zdołacie przekonać...

- Nie, nie, nie - powtarzał z istic indiańskim uporem.

Potem otworzył skórzany woreczek, który był chyba równie stary, jak on sam, i pogrzebał w nim brązowymi palcami, pragnąc nabić wygasłą fajeczkę... Wyraz zawodu odmalował się dobitnie na jego twarzy; woreczek był pusty...

Spryciarz Hudson wyzyskał tę okoliczność znakomicie...

- Brakło wam tytoniu, Uwah?... Dam wam mojego i dołożę jeszcze pięć dolarów, ale...

Staremu oczy zabłysły chciwością... Wyciągnął drżącą rękę po obiecaną szczyptę tytoniu i patrzył pytająco na hojnego ofiarodawcę...

- Ale wpierrw opowiecie nam swoją bajeczkę o białej sowie... Rad posłucham...

Uwah zastygł z wyciągniętą dłonią. Namyślał się, rozważał czy biali panowie nie żartują z niego...

- A jak pan potem nie da? - rzekł podejrzliwie...

Hudson zachnął się gniewnie...

- Za kogo wy mnie bierzecie, człowieku?! - krzyknął i klepnął się z pasją w udo. - Nazywam

się Hudson... Skoro zejdziecie w doliny, spytajcie o Hudsona, hodowcę strusi. Spytajcie o mnie kupców w Los Angeles, a dowiedziecie się, że jest tam w modzie takie przysłowie: "Polegaj na nim, jak na słowie Hudsona". Tak, bratku... Tak mówią handlarze piór, właściciele wielkich magazynów... Mr. Bronson, czy wie pan, jaki kredyt mam w Guaranty Trust? Nie wie pan; nic nie szkodzi. Zapewniam pana, że chcę go okpić o pięć dolarów... O głupich pięć dolarów! Tu macie swoje pieniądze i tytoń, a teraz jazda... proszę gadać... jak to było z tą sową?

Uwah schował banknot, nabił fajeczkę z taką uwagą, jak gdyby losy świata od tego zależały, zapalił ją, pociągnął raz i drugi, uśmiechnął się błogo, po czym, nie wypuszczając fajki z zębów, zaczął mówić wolno, z dużymi przerwami.

- Prowadziłem czterech panów na Lyell. Nocowali w małym namiocie, będzie dwie mile stąd. Ja spałem na dworze. Duszno w takiej budce z płótna. Zbudziłem się, kiedy jeszcze księżyc świecił. Ujrzałem wysoko małą chmurkę, białą jak śnieg. Pędziła tam... (szerokim zamachem ręki wskazał na północny_wschód). - Myślę sobie, "chmurka, nic wielkiego, ale czemu pędzi tak ostro, kiedy wiatru żadnego nie ma?" I wydało mi się, że słyszę szum z góry...

- O wschodzie słońca wstałem, aby rozpaścić ogień dla panów, jak się zbudzą. Posłyszałem krzyk orła... Znam to. Orzeł milczy, gdy widzi zdobycz, ale wrzaśnie, kiedy walczy z drugim orłem. Zadarłem głowę... Zgłupiałem. W tę samą stronę, co przedtem owa chmurka, leciał biały ptak. Leciał niepewnie, jak sowa, co się zasiedzi na łowach i wraca, skoro dzień wstaje, lub jak nietoperze, za dnia wygnany z jaskimi... Ptak był biały, łeb miał całkiem nie ptasi, ale duży, kwadratowy... Uciekał przed parą orłów, które wyglądały przy nim, jak kolibry przy gołębiu, i napastowały go dzielnie. Walczyli, aż się pierze sypało... Biała sowa musiała być chora, czy zraniona, bo mimo swej wielkości słabo się tamtym odgryzała, nawet lot bardzo zniżyła... No i już...

- Jak to, już? - rozczarował się Hudson...

- No już, wszystko... Opadły niżej, lecz Lyell zasłonił je swoim ośnieżonym szczytem - dorzucił zmęczonym głosem Uwah, który zapewne w ciągu miesiąca nie wypowiedział tak wielu słów, jak w ciągu tych kilku minut... Pogrążył się też zaraz w milczeniu i pykał z zadowoleniem fajeczką, przekonany święcie, że uczciwie zarobił owe pięć dolarów...

- Ale Hudson innego był zdania i nie taił tego bynajmniej.

- Nie warte to pięciu dolarów, klnę się na moje 600 strusi... Wiedziałem, że bajkę usłyszę, lecz bajka bajce nierówna. Za dobrą, zajmującą, zapłaciłbym chętnie znacznie większą kwotę, ale za to... Phi, Uwah... Drugi raz mnie nie nabierzecie...

- A co pan sądzi o tej historyjce, Mr. Hudson? - zapytałem, pragnąc zatrzeć wrażenie jego słów i oszczędzić przewodnikowi dalszych wymówek...

- Co sądzę?... Nie posądzam go, żeby zmyślał tak dla przyjemności. Za poczciwie na to

wygląda i za głupio - dodał ciszej...

- Więc?

- Więc pozostają mi tylko dwa rozwiązania... Albo cała historia przysniła mu się kiedyś, lecz on nie bierze jej za sen, w najlepszej wierze zresztą...

- Albo?

- Albo wziął gołębia, czy mewę, za białego ptaka fantastycznych rozmiarów, a wróble, lub inne ptaszki za orły. Dzięki bujnej wyobraźni, w zdzięcinniałym mózgu starca wróble awansowały na orły, za pocziwy gołąb stał się białą sową, "Cztery razy tak wielką jak orzeł".

- Hm, hm... Przyznam się panu, że nie widziałem, niestety nigdy, aby wróble atakowały gołębia...

- Ja też wcale się nie upieram przy wróblach, ani przy gołębiu... Wziąłem pierwszy lepszy przykład... Rolę rzekomej sowy mogła w tym wypadku odegrać również duża mewa... Wie pan chyba, że istnieje odmiana mew, których rozpiętość skrzydeł dochodzi do czterech stóp. Widziałem taki wypchany okaz u jednego z mych przyjaciół, zapalonego myśliwego...

- Panie Hudson, cóżby mewa robiła w tych górach? Nie, nie... To wykluczone...

- Z pana także uparciuch. Czyż nie powiedziałem wyraźnie, że nie upieram się ani przy gołębiu, ani przy mewie? Podkreślam tylko, że Uwah wyolbrzymił to, co widział i że nie patrzył bynajmniej na walkę orłów z gigantyczną sową, lecz na jakieś średnie, lub nawet całkiem małe ptaszki.

- Ptaszki? No, to ja panu pokażę jedno piórko z tego ptaszka - wtrącił znów Uwah, który wypoczął snąc po opowiadaniu, będącym ciężkim trudem dla tak małomównego człowieka...

- Oooo, macie pióro z waszej sowy? Pokażcie no czym prędzej...

- Nie noszę go przy sobie... Mam w domu.

Teraz ja znowu zabrałem, głos, nacierając na Indianina, aby nam opowiedział, jak i kiedy zdobył pióro niesamowitego ptaka.

Skrzywił się, niezadowolony, że panowie każą mu mówić, lecz wypróbowana już raz metoda Hudsona rozwiązała mu język i tym razem.

- Spróbujcie dla odmiany mojego tytoniu - rzekłem, popierając czynem te słowa...

- Powiem - zaczął zwięźle. - Kiedy moi panowie się zbudzili, opowiedziałem im, com widział... Śmiali się ze mnie... Nie chcieli wierzyć...

- Zupełnie niezrozumiale - bąknął hodowca strusi...

- A kiedy ich poprosiłem, aby mi pozwolili odejść na godzinę, nie pozwolili...

- Po cóż chcieliście odejść? Przecież wszystkie trzy ptaki oddaliły się poza szczyt Lyell, walcząc po drodze; tak mówiliście przedtem.

- Uciekły, prawda... Ale mówiłem już, że biły się między sobą, aż pióra leciały... Chciałem

więc przynieść kilka piór, bo zapamiętałem sobie, gdzie opadły na ziemię....

- Aha, no i co dalej?

- Ano, panowie nie pozwolili mi odejść... "Szkoda drogiego czasu. Zaraz wyruszamy"... - powiedział jeden z nich. Musiałem słuchać; za to mi przecież płacą, żebym słuchał, co panowie turyści rozkażą... Więc poszedłem z nimi, ale odprowadziwszy ich trzy dni później do Yosemite Valley, powróciłem zaraz w góry... Szukałem długo... Cały dzień prawie...

- I znaleźliście duże pióro z tej "sowy"?

- Jedno tylko.

- Hm, jedno pióro...

- Piórko, pióreczko - rzekł z naciskiem Uwah i uśmiechnął się jakoś dziwnie...

Mr. Hudson nie zauważył tego, gdyż ziewał właśnie, a przeciągnąwszy się, aż kości zatrzeszczały w stawach, spojrzął na zegarek...

- A tośmy się zasiedzieli haniebnie! Wracajmy na dół, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, Mr. Bronson. Mam diabelny apetyt na dobry obiad...

Nie protestowałem, choć nie czułem głodu i było mi tu tak dobrze w tej chwili... Ale przyrzeczenie Indianina, że dziś jeszcze pokaże mi pióro tajemniczego ptaka, jego subtelna ironia, z jaką wymawiał słowo: piórko, pióreczko, zabiły mi porządnego klina do głowy. Ciekawość przechyliła szalę i przystałem chętnie na projekt natychmiastowego powrotu w dolinę.

W trzy godziny później, kiedy przyniesiono nam do pokoju kolację i kiedy zacząłem opowiadać żonie przebieg dzisiejszej wycieczki w góry, zadzwieczał dzwonek telefonu. Telefonowano z portierni, że przyszedł przewodnik Uwah i chce ze mną mówić...

- Dawać go tutaj na górę! - krzyknąłem w mikrofon.

Chwilę potem zapukał do drzwi Uwah. Zdziwiłem się już na widok okazałych rozmiarów futerału z papieru, jaki trzymał w dłoniach, lecz wydałem głośny okrzyk, kiedy go rozwinął...

- Jakie olbrzymie pióro! - zawołała Dolly, nie przesadzając całkiem. Było to pióro olbrzymie, w całym tego słowa znaczeniu. Odmierzywszy je później, przekonałem się, że ma ono 26 cali długości. Później zrobiłem także inne odkrycie lecz na razie opanowała mnie niezwykła żądza posiąść to pióro na własność...

- Ile chcecie za to? - spytałem, sięgając po portfel...

Uwah zawahał się z odpowiedzią. Znalezione pióro nie przedstawiało dlań niewątpliwie żadnej wartości, lecz widząc mój szczerzy zachwyty, zrozumiał, że nadarzyła się okazja dobrego zarobku i nie wiedział, jaką wymienić cenę, aby nie powiedzieć za dużo lub, co gorsza, za mało...

- A ile by pan dał? - zaczął dyplomatycznie.

- Dałbym wam... hm... dałbym trzy dolary.

Potrząsnął głową w taki sposób, że nie wiedziałem, czy odrzuca ofertę, czy jest nią

zachwycony...

- Pięć - rzekłem zniecierpliwiony przeciągającym się milczeniem.

- To niby daje pan i trzy i pięć... Niechby było...

- Ano, niechby było - zaśmiałem się, ubawiony jego naiwną chytrą...

Widząc, jak z lekkim sercem przystałem na osiem dolarów, zasepiłem się, żałując w duchu, że zamiast trzy i pięć, nie powiedziałem trzy razy po pięć; ale słowo się rzekło... Potem musiało mi przejść przez myśl, że opłaca się poszukać w górach piór, za które zwariowani turyści takie sumy płacą... bo poweselał i uśmiechnięty wyszedł z pokoju...

XXVIII

W San Francisco czekała na nasz powrót z Yosemite Valley spora paczka korespondencji, nadesłanej przez Mrs. Campbell z Nowego Jorku... Były to przeważnie spóźnione gratulacje od dalszych znajomych, którzy dowiedzieli się o naszym małżeństwie dopiero z dzienników, ale nie brakło również listów treści odmiennej...

- Nawet rachunki się przybłąkały - wykrzyknęła zdziwiona Dolly i odnośną korespondencję wysłała do rodziców, z małym dopiskiem: "Zaszczyt uregulowania tych drobiazków Wam oczywiście pozostawiamy".

Mnie zainteresowała przede wszystkim podłużna koperta, zaadresowana dobrze znajomym mi pismem profesora Scotta. Znakomity przyrodnik donosił na wstępie z humorem, że dopiero po powrocie do Nowego Jorku dowiedział się o "popęlnieniu krzywoprzysięstwa przez kochanego Ralpha B., chlubę kawalerskiego stanu", składał mi wyrazy "współczucia" z tego powodu, nadmieniał, że list niniejszy wysła za pośrednictwem mego teścia, który ma w tych dniach większą paczkę korespondencji do nas wyekspediować... po czym omawiał wyniki swej wycieczki w następujących słowach:

"Pamięta Pan zapewne, Drogi Przyjacielu, treść mego poprzedniego listu, jaki pozostawiłem w redakcji "Morning News" na wyjeździe z Nowego Jorku; przypuszczałem wówczas, że osiągnę wyniki, które pozwolą mi opublikować treść moich domysłów co do przyczyn tragicznie zakończonych przelotów nad oceanem.

Niestety, rezultat tej ostatniej podróży jest negatywny...

Nie znaczy to, bym zwątpił w słuszność swej hipotezy... O, przenigdy! Wierzę święcie, że nocną porą zagraża wielkie niebezpieczeństwo samolotom, które w tym czy owym kierunku przebywają nadbrzeżny pas, szeroki na kilkaset mil, a ciągnący się począwszy od północnych krańców Grenlandii po Nową Funlandię, w pewnych zaś miesiącach może aż po Florydę... Co więcej, wiem, jakiego rodzaju jest to niebezpieczeństwo, ale na razie nie posiadam w rękach przekonywujących, namacalnych, że tak powiem, dowodów, bez których moje oświadczenie wyglądałoby na bajeczkę, natomiast jej autor na człowieka obdarzonego chorobliwą wyobraźnią, no, po prostu na skończonego wariata...

Nie przesadzam bynajmniej, Drogi Panie Bronson. Pamięta Pan chyba jakiej wrzawy narobiło przed laty moje dzieło pt. "Fauna Kanady", z powodu rozdziału o Nyctea nyctea, w którym pozwoliłem sobie twierdzić, że, aczkolwiek nigdy nie spotkałem śnieżnej sowy większej niż dwie stopy, to jednak istnieją niewątpliwie okazy znacznie większe, co wnoszę ze znalezionych piór i odcisków szponów na śniegu. "Okaz, który tropiłem przez tydzień (bez skutku, niestety), musiał mieć przeszło cztery stopy długości"... napisałem tam dosłownie i za to nazwano mnie blagierem, że nie wspomnę gorszych epitetów... Jakąż burzę rozpętałbym więc wśród niechętnych

kolegów przyrodników, gdybym dziś wystąpił z moją teorią o przyczynach licznych katastrof lotniczych nad Atlantykiem, nie dostarczając równocześnie przekonujących dowodów???

Dlatego na razie: stop! Ale przyjdzie niebawem dzień, kiedy będę mógł opisać dokładnie to tajemnicze niebezpieczeństwo, nadać mu naukową nazwę i pokazać je zdumionemu światu... W tym celu wracam obecnie do ojczyzny, by zorganizować na wiosnę wyprawę w głąb Grenlandii, gdzie spodziewam się znaleźć to, czego nie mogłem znaleźć w Kanadzie. I wierzę, że znajdę.

Tak tedy, Drogi Przyjacielu, nie mogę na razie jeszcze wtajemniczyć Pana w treść moich domysłów i muszę Go nadal częstować samymi zagadkami, dopóki nie zdobędę dowodów, o których pisałem powyżej. Nie jest to brak zaufania do Pana, bo chociaż dziennikarze mają plotkarskie języki, to jednak Pan stanowi chlubny wyjątek. Obawiam się tylko, by przedwczesne opublikowanie mego odkrycia nie wywołało na Pańskich ustach ironicznego uśmiechu i uwagi "Ten Scott zwariował na starość". Tak by pan powiedział na pewno, stary Przyjacielu. Bo jeśli niewinna uwaga w mej "Faunie Kanady", że *Nyctea nyctea* może osiągnąć cztery stopy długości, wywołała taką wrzawę, to co dopiero nastąpiłoby, gdybym dziś zaczął mówić o "Upiorach Atlantyku"...

Upiory Atlantyku!... "co to znowu za лихо?" zawoła Pan zdziwiony. Niechże Pan więc przyjmnie do wiadomości, że takim mianem ochrzciłem owo niebezpieczeństwo, zagrażające samolotom w czasie nocnych lotów u wschodnich brzegów Północnej Ameryki. Nazwa fachowa, czy jak kto woli, naukowa, będzie bardzo prozaiczna, przeto pozwoliłem sobie na szumność przy nadaniu popularnego miana... Czy nie podoba się panu ono? Mam wrażenie, że jest zupełnie w stylu Pańskiego dziennika.

Ale tym razem rozписаłem się i najwyższy czas zrobić kropkę...

A zatem do widzenia, Drogi Przyjacielu, na wiosnę przyszłego roku w Nowym Jorku, w drodze bowiem do Grenlandii zawadzę niewątpliwie o Stany. Chcę stamtąd zabrać kilku kolegów. A kiedy będę wracał, gdzieś z końcem lata, obdarzę Pana ciekawymi zdjęciami z tej wyprawy... Być może, iż powiedzie mi się przywieźć także parę okazów lub choćby tylko jednego "Upiora Atlantyku"... Na razie proszę przyjąć mocny uścisk dłoni od szczerze oddanego

Edgara Scotta."

- Co on tu naopowiadał! - brzmiał pierwszy mój okrzyk, skoro ukończyłem lekturę przydługiego listu Scotta. Zrobiłem sobie też w duchu słuszną uwagę, że profesor zatracił dawną swą lakoniczność i każdy jego list jest znacznie dłuższy od poprzedniego...

- Wyobrażam sobie, jaki będzie następny - mruknąłem i po krótkim namyśle przeczytałem całe to pisanie raz jeszcze, powoli oraz uważnie...

- A to z nas osły! - zawołałem pod adresem własnym, jako też pod adresem Mr. Hudsona, przypomniawszy sobie nagle, że zaledwie trzy dni temu zaśmiewaliśmy się z pocziwego mruka

Uwaha, kiedy nam opowiadał fantastyczną historyjkę o białej sowie. Opisując jej rozmiary przesadził i dobrze przesadził, niemniej miał rację, utrzymując, że białe sowy istnieją, czemu my dwaj nie chcieliśmy dać wiary. Nic zresztą dziwnego. Świat Hudsona zamykał się w ramach hodowli strusi, ja zaś byłem dziennikarzem. Od dziennikarza wymaga się wielu wiadomości, trudno jednak żądać, aby się znał również na ornitologii i wiedział, że między licznymi odmianami sowej rodziny istnieje także jakaś śnieżka, czyli, jak ją Scott w swym liście określił: *Nyctea nyctea*...

W pewnej chwili olśniła mnie nowa myśl, którą natychmiast postanowiłem wprowadzić w czyn, mianowicie przesłać Scottowi kupione od indiańskiego przewodnika pióro i prosić go w zamian, by nie kazał mi czekać aż do lata, lecz, z zaręczeniem absolutnej dyskrecji z mej strony, by wyjaśnił mi już teraz czym są owe tajemnicze “Upiory Atlantyku”...

Wstałem z fotela, podszedłem do szafy i wyjąłem stamtąd olbrzymie pióro. Obejrzałem je uważnie, zapewne po raz dwudziesty w ciągu tych krótkich trzech dni od pamiętnej wycieczki w stronę pokrytych śniegiem szczytów Sierra Nevada...

Pióro było od spodu białe, jak mleko, a na wierzchu posiadało kilkanaście szaro_brazowych plamek. Niezależnie od nich, miało dwie niewielkie łatki innej barwy, jakby ciemnordzawej, które przeświecały na wylot, posklejały włoski i skalaly w dwóch miejscach śnieżną biel spodniej strony... Trzonek pióra był w nasadzie tak gruby, jak mały palec u dorosłego mężczyzny, potem stawał się coraz cieńszy, lecz sztywny był aż do końca...

- Hm, łatwo mogłoby się złamać - wyraziłem obawę i, połączywszy się telefonicznie z portierem, kazałem mu zamówić u jakiegoś stolarza skrzyneczkę na 74 cm długą, na 12 szeroką i trzy wysoką... - Muszę ją mieć dzisiaj - zaznaczyłem, po czym zabrałem się do pisania listu do Scotta... Podziękowawszy mu na wstępie za pamięć oraz za wiadomości “zarówno obfite, jak enigmatyczne”, rzuciłem na papier między innymi także takie zdania:

“W załączeniu przesyłam Panu pióro, znalezione przez indiańskiego przewodnika, nazwiskiem Uwaha, w pobliżu wodospadów Nevada, w Yosemite National Park. Znalazca opowiadał mi dość nieprawdopodobną historię o walce dwóch orłów z białą sową gigantycznych rozmiarów, która w trakcie tych zapasów uroniła jedno pióro. Podkreślił kilkakrotnie, że ów wielki ptak miał kwadratowy łeb sowy i leciał niepewnie, jak gdyby oślepiiony blaskami wschodzącego słońca. Wyśmiałem go, nie wiedząc nic o istnieniu śnieżnej sowy i nie wierząc, żeby jakikolwiek ptak mógł osiągnąć rozmiary tak pokaźne. Po pańskim liście, Drogi Profesorze, opowiadanie Uwaha nabiera cech prawdopodobieństwa. Może poczciwy Indianin miał szczęście widzieć na własne oczy bajeczny okaz *Nyctea nyctea*, brata czy kuzyna tego “ptaszka”, którego ślady odkrył Pan ongiś w Kanadzie. Może więc to pióro dopomoże Panu przekonać zawistnych kolegów przyrodników, że Jego uwagi o śnieżnej sowie nie były pozbawione realnych podstaw. A jeśli tak, to, Kochany Przyjacielu, przysługa za przysługę. Chcę już dzisiaj wiedzieć, czym są owe

tajemnicze “Upiory Atlantyku”... Nie potrzebuję chyba Pana zapewniać, że co do dyskrecji...” etc., etc.”

Zakończywszy list zapewnieniami, iż nie ma bardziej dyskretnego człowieka ode mnie, obejrzałem raz jeszcze owe dwie rdzawe łatki na piórze, niewątpliwie ślady krwawych zapasów potężnych ptaków, potem schowałem zarówno list, jak i pióro, do szafy, wzięłem kapelusz, laskę, rękawiczki i wyszedłem z pokoju...

W windzie przyszło mi na myśl, żeby zapytać portiera, czy żadaną przeze mnie skrzyneczkę zamówił i na którą godzinę będzie gotowa... “Tym panom nie można nigdy dowierzać. Przyrzekają, płaszcą się, lecz zawsze zapomną załatwić, zajęci obliczaniem swoich napiwków”, rzuciłem w duchu sceptyczną uwagę pod adresem służby hotelowej...

Podchodząc do portierni, usłyszałem mimowolnie urywek takiej rozmowy:

- Do Sacramento, proszę państwa? Owszem, jest pociąg. Odchodzi druga z minutami... Zaraz sprawdzę w rozkładzie.

- W takim razie mamy przeszło godzinę czasu. Można by spokojnie zjeść lunch; jak myślisz Kitty...

- Naturalnie, mój kochany grubasku... A czy będziemy mogli przed nocą tu powrócić? Niech pan zobaczy w rozkładzie...

Znowu zabrzmiał znajomy mi głos portiera:

- O dziesiątej dwadzieścia pięć opuszcza Sacramento pośpieszny linii “Shasta Route”...

- Wcześniejszego nie ma?

- Chyba o szóstej, ale w takim razie cóż państwu pozostanie czasu na zwiedzanie miasta?

- Całkiem słusznie... Wrócimy tym późniejszym - zdecydował małżonek i zgodne stado opuściło portiernię, zdążając w stronę sali restauracyjnej...

Nie poszedłem do portiera. Stałem w miejscu, wiercąc szpicem laski dziurę w marmurowej posadzce, a w duszy toczyłem ciężką walkę. Trzech Ralphów chwyciło się za bary na dźwięk słowa: Sacramento. “Oto ostatnia sposobność”, wołał Ralph_ten trzeci: “Dolly wyszła za sprawunkami zaraz po lunchu. Wróci zapewne koło siódmej, jak wczoraj. Wtedy ty będziesz już w Sacramento, gdzie mieszka ona. Będziesz już znał jej adres i...”. Ralph_dziennikarz parsknął śmiechem: “I wyrzuci cię za drzwi”; powiedział, chichocząc złośliwie. Ten trzeci nie dał za wygraną: “Nie musisz się do niej zbliżać. Wystarczy, że z daleka ją zobaczysz. A może i ona cię ujrzy i zrozumie twój błagalny wzrok”... “A Dolly?” spytał gentleman, który zawsze jednakowo zaczynał swoje przemówienie. Ten trzeci wzruszył ramionami: “Cóż, Dolly. Ani jej przez myśl nie przejdzie najlżejsze podejrzenie”. “Niemniej jednak zdradzisz żonę już w czasie podróży poślubnej; ładny początek”, zrzędził skrupulat, lecz bezstronny a cyniczny Ralph_dziennikarz odpalił z miejsca: “Jaka tam zdrada! Nieszkodliwa adoracja wzrokowa, ot co... A zresztą, mój drogi, nawet

rzeczywista zdrada nie zaczyna się od faktu wiarołomstwa, lecz od momentu, kiedy dojdzie do wiadomości oszukiwanego”. Moralista miał już replikę na języku, kiedy Ralph ten trzeci ruszył ku windzie: “Zostawcie tę dyskusję na wieczór. Na razie stwierdzam jedno, mianowicie, że każda minuta niepotrzebnej zwłoki może zniweczyć ostatnią sposobność. Jutro, pojutrze Dolly zażąda, aby natychmiast wyjechać na Hawaje. Termin pobytu w Kalifornii przeszedł już właściwie, a nie zapominajcie o treści zawartego kompromisu!” trąkotał przez drogę niezmiernie, pragnąc tamtych dwóch nie dopuścić do głosu...

Jak bomba wpadłem do swojego pokoju, pochwyciłem pióro i zasiadłem do pisania listu do żony...

“Darling!”

Lecz na tym się skończyło. Na próżno Ralph ten trzeci podszeptował setki wybiegów; nie ostał się żaden w huraganowym ogniu sarkastycznych uwag gentlemana i zjadliwych drwin redaktora. A czas kroczył naprzód nieubłaganie. Z przerażeniem stwierdziłem, że ledwie 25 minut dzieli mnie od chwili odejścia pociągu z Frisco i że równocześnie list posiada wprawdzie nagłówek, ale nic więcej. Lecz chciałem odjechać, uciec na pół dnia do Sacramento. Czułem, że nie zwalczę tym razem pokusy, która przyszła tak niespodzianie i dzięki temu była nie do zwyciężenia; nie pragnąłem zresztą jej zwalczać. Rozpaczliwym wysiłkiem woli skupiłem rozpierzchłe myśli i zacząłem pisać szybko, chaotycznie:

“Spotkałem przed hotelem starego znajomego, Mr. Monro'ego z Bostonu, który uparł się wyciągnąć mnie na małą przejażdżkę automobilową do...”

Dokąd? Co tu wymyślić, żeby się nie wyspać przed żoną, która znała świetnie całą okolicę San Francisco, i która choćby przez wrodzoną niewiastom gadatliwość zasypie mnie na pewno pytaniami na temat owej “automobilowej przejażdżki”.

Nagle drgnąłem i instynktownym ruchem wcisnąłem zaczęty list pod bibułę, odrzucając pióro. Nasz apartament składał się z dwóch pokoi oraz łazienki. Usłyszałem trzask szybko otwieranych drzwi i słowa najnowszego “szlagiera”, nuconego świeżym głosem Dolly.

- Ah, jesteś, honey - zawołała, stając w drzwiach, łączących oba pokoje. Była roześmiana, zadowolona z czegoś niezmiernie, wprost promieniowała radością... - To dobrze, że jesteś - paplała szybko, podchodząc ku mnie i siadając bez ceremonii na biureczku, na bibule, która zakryła niefortunny list... - Czy wiesz, co mam tutaj, w torebce? Zgadnij, kochanie... No, zgadnij...

- Czy ja wiem - wykrztusiłem ze ściśniętego gardła. - Zapewne bilet do łoża na jakieś przedstawienie...

Ooo, coś znacznie lepszego. - Pochyliła się do mego ucha z minką komicznie tajemniczą. - Bilet kabiny luksusowej na statku “President Roosevelt”... O siódmej wieczór odjeżdżamy z Frisco. Ralph, czy zdajesz sobie sprawę, że za kilka dni zobaczymy oryginalne hula_hula, odtąnczone

przez prawdziwe Kanaczki nie w jakimś kabarecie, ale w ich pięknej ojczyźnie, na tle dymiących w oddali wulkanów, przy smętnych dźwiękach ukulele? Darling, nie masz pojęcia, jak się cieszę... Będziemy próbowali pływać na deskach, jak to opisuje London... To było moim marzeniem od dzieciństwa!

Potok wartkiej wymowy urwał się nagle; Dolly spostrzegła dopiero teraz moją oświałą minę i niepewny wzrok, który unikał spotkania z jej roześmianymi spojrzeniami...

- Wyglądasz, jakby cię to wcale nie cieszyło - zauważyła z dąsem... - Myślałam, że sprawię ci niespodziankę...

Uśmiechnąłem się melancholijnie. Czyż mogła mnie spotkać większa niespodzianka w momencie, kiedy planowałem wycieczkę do Sacramento? Ale trudno. Nowy gmach nadziei, wzniesiony z takim pośpiechem, na sam dźwięk nazwy stolicy Kalifornii musiał równie szybko runąć w gruzy. Tak widocznie chciało przeznaczenie. Przeznaczenie chciało widocznie, bym dzisiaj odjechał wraz z Dolly, nie ujrawszy ani razu Haliny. Ralph_gentleman zacierał dłonie z radości, triumfując z powodu porażki przeciwnika...

I tegoż dnia wieczorem okręt "President Roosevelt", opuściwszy piękną zatokę wypłynął przez "Złotą Bramę" na szafirowe fale Oceanu Spokojnego. Dolly poszła się przebrać w wieczorową suknię do obiadu, a że jej zabiegi toaletowe trwały znacznie dłużej od moich, mogłem jeszcze z kwadrans pozostać na pokładzie. Sam tedy żegnałem zacierające się kontury malowniczego Frisco i góry Kalifornii, które obniżały się z wolna i jak gdyby zapadały w morze. Było mi smutno, a tęsknota za Haliną wzrastała w miarę, jak rosła odległość pomiędzy statkiem a lądem... Było mi bardzo smutno, lecz na dnie serca tliła się iskierka nadziei, że największa nawet przestrzeń nie zdoła przerwać zadzierzgniętych nitek uczucia, które zapuściło tak silne korzenie; i wierzyłem, że rozwinie się on kiedyś, rozkrzewi bujnie, wierzyłem, że urocza Polka odegra jeszcze swą wielką rolę w moim życiu. Na razie jednak trzeba było kroczyć drogami, na jakie mnie pchnęło przeznaczenie...

O pisarzu, który nazywał się Antoni Marczyński

Pisali o nim przed wojną: "Polski Karol May, z zawodu prawnik, z zamiłowania gawędziarz, z przypadku podróżnik z przeznaczenia literat". Po wojnie - nie licząc krótkiego okresu u schyłku lat 50 - pisali mniej lub zgoła nic. Zostało po nim 49 powieści i legenda tytana pracy. Ktoś wyliczył, że w ciągu dwu lat potrafił napisać 16 powieści, że każdy tom miał średnio 250 stron - musiał więc pan Antoni pisać 6 stron dziennie, 6 stron to 2000 wyrazów. O 1000 więcej niż produkował London!

Porównania z Londonem czy naszym rodzimym Kraszewskim, są jeżeli chodzi o tempo produkcji, zupełnie na miejscu. Gorzej z jakością. No, ale Marczyński nie ukrywał, że nie miała to być wielka literatura, ale towar księgarski i prasowy.

I - był to towar bardzo dobry. Zwłaszcza w ogromnej lawinie straszliwej szmiry.

Trudno dziś z pewnością ustalić, jak to było z początku kariery pisarskiej Antoniego Marczyńskiego. Kiedy konfrontowałem fakty zawarte w jego wspomnieniach ("Jak lekkomyślnie wdepnąłem w zawód pisarza") z opowieściami rodziny i przyjaciół, natrafiłem na zasadnicze rozbieżności. Ach, ten Antoś - wzdychali jego bliscy - zawsze miał niesamowite pomysły...

Ojciec, Roman Marczyński, przywędrował do Krakowa kędyś z Poznańskiego i założył nad Wisłą wytwórnię znakomitych wódek. Antoni kształcił się w kilku gimnazjach, by wreszcie uzyskać maturę w Chyrowie, a dyplom doktora praw - na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował w bankach Poznania, Bydgoszczy i Krakowa (Państwowy Bank Rolny). Zdołał uciulać tyle, że starczyło na pierwszą zamorską wycieczkę do Afryki i Anglii. Wrócił - i nudził się na potęgę. Kiedyś będąc z ojcem na śniadaniu w restauracji "Hawelka" - usłyszał jak ojciec młodego wówczas poety Brauna chwalił się, że jego syn sprzedał pismu "Światowid" za 3 tys. zł powieść nad którą pracował 30 dni. - 100 złotych za jeden dzień - pomyślał przyszły autor - to wcale nieźle. I postanowiłem tak pisać, by zarobić dziennie sto złotych.

Zaczął od obchodu wszystkich księgarni i wypożyczalni z błyskawiczną ankietą: które książki mają największe powodzenie? Wskazane pozycje dokładnie przeczytał. Odkrył, że czytelnicy gustują zwłaszcza w tych, które mają w tytule słowo "tajemnica". I tak zrodziły się "Tajemnice władców Abisyni". Dał je do przeczytania - skłaniając do lektury prośbą i towarzyskim szantażem - redaktorowi IKC Błazejowskiemu. Błazejowski dał mi wiele cennych uwag i błagał, bym na tym karierę pisarską zakończył. Ba, ale czekając na werdykt 5 miesięcy, napisał Marczyński 2 dalsze powieści. Dwa następne lata pracy w Banku Rolnym przyniosły 7 nowych tomów. Do roku 1927 było ich 10, w tym jedna wydana drukiem. Ojciec dalej nie wierzył, "że z tego można żyć", a redaktor Stwora - ojciec znakomitego Jacka - nadal powtarzał rodzinie, że "Antek nie ma ani nazwiska, ani pyska na pisarza".

Wykombinowałem sobie sposób zarabiania piórem odmienny od starych szablonów - pisze w swych wspomnieniach autor "Zegara śmierci". I rzeczywiście: w myśl zasady pisarz powinien być chytrym kupcem, a nie poczciwym głupcem wyciągnął Marczyński ze swych absolutnie oryginalnych umiejętności zupełnie niezły grosz. Pióro tuczyło mnie hojniej, niż ongi spekulacje akcjami i fabrykacja wódek.

Jak to robił? Ba, to jego tajemnica i talent. Jak to sprzedawał? Proste: każdą powieść drukował najpierw w odcinku w gazecie czy tygodniku. Bywało, że to samo "story" pod zmienionymi, rzecz jasna, tytułami drukował równocześnie w kilkunastu pismach!

Pierwszą swoją powieść wydał w formie książkowej dopiero, gdy "poszła" już w odcinku w 12 gazetach. Przyniosła mu w sumie 1650 złotych. Mało!

Ale w miarę zdobywania popularności i nazwiska popyt na jego utwory rósł, mnożyły się zamówienia z Bydgoszczy, Krakowa, Warszawy, Poznania z pism polonijnych Francji i Ameryki. Nie mógł podołać nie tyle zamówieniom, ile pracy administracyjnej. W 1931 roku zakłada Marczyński własne wydawnictwo, a pierwsza powieść, jaka się w nim ukazała - "Czarci jar" - była absolutnym bestsellerem. Założył biuro, zatrudnił w nim żonę i sekretarki, sam poprzestając na pisaniu coraz większej ilości utworów i - na handryczeniu się z właścicielem pism i innych wydawnictw.

Kiedyś byłem świadkiem, jak znacznie starszy i lepszy pisarz dostał za swą książkę 300 złotych, bo nie umiał się targować. Irena Zarzycka wzięła za "Dzikuskę" 150 zł., a wydawca zarobił na niej 70 tysięcy. Żarłoczność rekinów jest zaraźliwa - pisał o wydawcach, z którymi był w ustawicznej wojnie i których nazwisk używał z zemsty dla swych powieściowych szwarccharakterów. Cóż, dobry wojak Szwejk też nosi nazwisko człowieka, który raz w praskiej knajpie nie zapłacił za postawione panu Haszkowi piwo...

Nawet określenie "tytan pracy" nie oddaje w pełni ogromu codziennych wysiłków Antoniego. Wspominał przyrodni brat pisarza znakomity artysta_malarz Adam Marczyński:

- Pierwsze opowiadania zaczął Antoni klecić już w gimnazjum, potem, gdy pisarstwo stało się dla niego źródłem utrzymania - potrafił narzucić sobie ogromną dyscyplinę i świetną organizację. Pracował głównie nocami, ale pamiętam, że ilekroć do niego niespodziewanie zajrzałem, zawsze siedział przy maszynie i stukał, stukał, stukał - w niesamowitym tempie. Maszynę woził ze sobą wszędzie - w rodzinne odwiedziny, w podróże zagraniczne, na urlopy. Potrafił pisać równocześnie dwie książki.

- Skąd brał pomysły?

- Nie wiem, nigdy się z tego nie zwierzał. Był towarzyski, pełen humoru, ale nigdy nie był gadułą, trudno go było pociągnąć za język "co pan ma teraz na warsztacie". Nie pamiętam, by inspiracją do nowej książki było głośne wydarzenie, proces, afera. Ten człowiek miał niesamowitą

fantazję i zadziwiającą łatwość komponowania fabuły...

Bodajże w 1935 roku, na jubileuszowym zjeździe absolwentów gimnazjum w Chyrowie, ksiądz prefekt cofnął wyciągniętą do byłego wychowanka rękę: - Ty jesteś Marczyński? Ten Marczyński? O, biada ci gorszycielu maluczkich!

Dziś niewinne “świntuszenie” Marczyńskiego wydaje nam się naiwne, niczym pornografia dziadków. Pan Antoni był pisarzem, ale był i kupcem. Dobrym kupcem. Zdawał sobie zresztą sprawę z niedostatków swej twórczości, ale cóż... Kiedy już miałem własne wydawnictwo nastąpiło u mnie rozdwojenie jaźni: Marczyński_pisarz chciał pisać wolniej i lepiej, Marczyński_wydawca żądał od swego jedyne go autora sensacji, pikanterii, egzotyki i erotyki - co najmniej tyle, ile dają naśladowcy i konkurenci. I jeszcze jeden istotny fakt Najslabiej kasowo poszły te moje książki, w których pod płaszczykiem sensacyjnej, jak zawsze, fabuły przemycałem pacyfizm, liberalizm, humanitaryzm i nienawiść do faszyzmu, przygotowującego wtedy tragedię Abisynii, Hiszpanii i Polski...

I to jest prawda: gdy tylko powieść Marczyńskiego wydała się władzom zbyt “liberalna” - stosowano prosty chwyt: nie dopuszczano jej do sprzedaży w księgarniach i kioskach na dworcach kolejowych, 40% nakładu szło na przemiał. Marczyński_wydawca zrobił pisarzowi piekielną awanturę: koniec z aluzjami, drażniącymi endeków!

Jeśli nawet pisarz_fabrykant powieści nie chciał być oportunistą to był nim pisarz_wydawca. Miejmy pretensje do tego drugiego. Ten pierwszy nie zmieścił się w Encyklopedii powszechnej prawdopodobnie dlatego, że kiedyś, na początku kariery, nie usłuchał dobrych rad profesora Aleksandra Birkenmajera: niech pan pisze jedną książkę na 10 miesięcy.

Kiedy mistrz Marczyński pisał swą pierwszą powieść, na tak zwanym rynku księgarskim pełno było powieści typu “Błada hrabina, czyli walka o milion”, “Hrabia Bogumił Kamiński, czyli ponury dom w Warszawie”, “Jan III Sobieski, czyli ślepa niewolnica z Sziras”. Z importu był Sherlock Holms i Arsen Lupin. Polską literaturę sensacyjną reprezentowali Antoni Ossendowski i Aleksander Błazejowski - obaj - podobnie jak Antoni Marczyński - z tytułami doktorów, co życzliwa im krytyka skwapliwie podkreślała. Pierwszą “seryjną” postać detektywa, polskiego powieściowego detektywa, stworzył właśnie Marczyński. Był nim reporter_obieżyświat, sympatyczny o dużej dozie autoironii, inteligentny, sprawny fizycznie i kochliwy Rafał Królik. Ba, któż ze starszego pokolenia nie zna jego przygód na grancuskich plażach, w hiszpańskich zamkach, w rezydencjach polskich milionerów_nafciarzy...

W Bibliotece Jagiellońskiej zwrócono mi wszystkie zamówienia na książki Marczyńskiego z adnotacją “brak”. Próbowałem w antykwariatach i wypożyczalniach prywatnych: wruszano ramionami. Wreszcie za kilkusetzłotową kaucją udało mi się wypożyczyć kilka powieści.

Ostatni raz czytałem je dawno, dawno temu na lekcjach matematyki i chemii.

Skonfiskowane, krążyły wśród grona pedagogicznego wydzierane sobie z rąk do rąk. Teraz przeczytałem je na świeżo.

I co?

Są one znakomitym materiałem na scenariusz filmowy - zresztą kilka z nich doczekało się tego i chyba jeszcze doczeka. Czy doczekają się wznowień, należy wątpić. Choć... ćwierć wieku temu, na łamach "Dookoła świata" Kazimierz Koźniewski skazał książki Karola Maya na "dożywotnie wyrzucenie na śmietnik". No i co?

Marczyński nadal ma zagorzałych zwolenników i to wśród ludzi obdarzonych nie najgorszym smakiem literackim. Tempo akcji jego powieści wciąga, każe nie zwracać uwagi na niedostatki formy.

Tuż przed wojną Antoni Marczyński wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Różnie się tam układały jego losy. Trochę pisał pod własnym nazwiskiem, trochę w charakterze "murzyna" - autora scenariuszy, pomysłów do powieści i sztuk teatralnych i telewizyjnych. Po latach opowiadał ówczesnemu redaktorowi naczelnemu krakowskiego "Dziennika Polskiego", Zbigniewowi Turkowi, że ilekroć zaproponowany przez niego, a reprezentujący sympatyczne cechy bohater książki czy słuchowiska był Polakiem natychmiast zmieniano go na Niemca, czy Anglika...

Zmarł w Stanach, 17 listopada 1968 roku.

Leszek Mazan